TROWANY



KALENDARZ POWIEŚCIOWY



Wolne Chwile

1920

ILUSTROWANY
KALENDARZ POWIEŚCIOWY
WOLNE CHWILE

NA ROK

1920



ROCZNIK VII.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „SENZACYA“, KRAKÓW, ZIELONA 7.

Z DRUKARNI PRZEMYSŁOWEJ W KRAKOWIE.



Styczeń

ma dni 31.

Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońce Wsch. g. m.	Słońce Zach. g. m.	Księżyc Wsch. g. m.	Księżyc Zach. g. m.
1 C.	Nowy Rok. Miecz.	19 Hrudeń 1919.		8 0	4 5	12 27	2 33
2 P.	Makarego	20 Ihnatija j.		8 0	4 6	1 7	3 48
3 S.	Genowefy	21 Juliany		8 0	4 7	1 58	5 3
4 N.	1 po N. R. *Im. Jez.*	22 Anastazyia m.		8 0	4 8	3 0	6 10
5 P.	Telesfora p. ☉	23 10 mucz. w Kr.		8 0	4 9	4 11	7 9
6 W.	Św. Trzech Króli	24 Jewhenyi † *Wih.*		8 0	4 10	5 28	7 56
7 Ś.	Lucyana	25 Rożdest Chrysta.		8 0	4 12	6 47	8 34
8 C.	Seweryna i Maks.	26 Sobor Pr. Boh.		7 59	4 13	6 4	9 5
9 P.	Juliana m.	27 Stefana p. mucz.		7 59	4 14	9 17	9 33
10 S.	Agatona p.	28 2000 Mucz.		7 59	4 15	10 28	9 56
11 N.	1 po 3 Kr. Honoraty	29 SS. Mład. ubit.		7 58	4 16	11 37	10 19
12 P.	Ernestyna	30 Anysyi		7 58	4 18	— —	10 42
13 W.	Hilarego ☾	31 Mełanyi		7 57	4 20	0 43	11 7
14 Ś.	Feliksa m.	1 Siczeń 1920.		7 57	4 21	1 47	11 35
15 C.	Pawła I. pustelnika	2 Sylwestra, papy		7 56	4 22	2 49	12 7
16 P.	Marcelego	3 Małachia		7 55	4 23	3 49	12 43
17 S.	Antoniego pusteln.	4 Sobor 70 Ap.		7 54	4 25	4 43	1 26
18 N.	2 po 3 Kr. Piotra	5 Fteopempta		7 54	4 26	5 33	2 16
19 P.	Ferdynanda	6 Bohojawłenije H.		7 53	4 28	6 16	3 12
20 W.	Fabiana	7 Ioana Chrest.		7 52	4 29	6 55	4 12
21 Ś.	Agnieszki ●	8 Hryhorya jep.		7 51	4 31	7 27	5 16
22 C.	Wincent. i Anast.	9 Połyjekta m.		7 50	4 32	7 55	6 23
23 P.	Zaśl. NMP.	10 Hryhorya•		7 49	4·34	8 21	7 32
24 S.	Tymoteusza bisk.	11 Fteodota		7 47	4 36	8 15	8 42
25 N.	3 po 3 Kr. N.ś.Paw.	12 Tatyany mucz.		7 46	4 38	9 8	9 53
26 P.	Polikarpa	13 Jermyła		7 45	4 40	9 33	11 5
27 W.	Jana Chryzostoma	14 SS. Otec w S.		7 44	4 41	9 59	— —
28 Ś.	Walerego ☽	15 Pawła		7 43	4 43	10 30	0 19
29 C.	Franciszka Salez.	16 Petra Weryho		7 41	4 44	11 5	1 33
30 P.	Martyny p.	17 Antonyja		7 40	4 46	11 50	2 46
31 S.	Marceli wd.	18 Athanazya, Kir.		7 39	4 48	12 44	3 54

Zmiany księżyca:
☉ Pełnia dnia 5. o godzinie 10 min. 5 wieczorem.
☾ Ostatnia kwadra dnia 13. o godz. 1 min. 9 rano.
● Nów dnia 21. o godz. 6 min. 27 rano.
☽ Pierwsza kwadra dnia 28. o godz. 4 min. 38 popoł.

Luty
ma dni 29.



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońce Wsch. g. m.	Słońce Zach. g. m.	Księżyc Wsch. g. m.	Księżyc Zach. g. m.
1 N.	**Starozap.** Ignacego	**19** Makarja pr.		7 38	4 49	1 48	4 54
2 P.	**NMP. Gromniczn.**	20 Jewtymja		7 36	4 51	3 1	5 44
3 W.	Błażeja i Hipolita ○	21 Maksyma		7 34	4 53	4 18	6 26
4 Ś.	Weroniki	22 Tymofteja		7 32	4 55	5 35	7 2
5 C.	Agaty panny m.	23 Kłymenta j.		7 31	4 57	6 51	7 31
6 P.	Doroty p. m.	24 Ksenyi pr.		7 30	4 58	8 5	7 57
7 S.	Romualda op.	25 Hryhorja Bł.		7 28	5 0	9 16	8 21
8 N.	**Mięsop.** Jana z Maty	**26** Xenofonta prep.		7 26	5 2	10 25	8 45
9 P.	Apolonii	27 Joana Złotoust.		7 25	5 3	11 32	9 10
10 W.	Scholastyki	28 Jefrema prep.		7 23	5 5	noc	9 37
11 Ś.	Obj. NMP., Łuc. ☾	29 Ibnatia		7 21	5 7	0 36	10 7
12 C.	Modesta męcz.	**30 Trech światytelej**		7 20	5 9	1 37	10 41
13 P.	Katarzyny	31 Kyra		7 18	5 10	2 33	11 22
14 S.	Walentego kapł.	1 Lutyj. Tryfona		7 17	5 12	3 25	12 9
15 N.	**Zapust** Faustyna	**2 Strytenje Hosp.**		7 15	5 13	4 11	1 2
16 P.	Juliana	3 Symeona i Anny		7 13	5 25	4 51	2 0
17 W.	Konstacyi	4 Izydora prep.		7 12	5 27	5 27	3 3
18 Ś.	*Popielec.* †	5 Ahaftji m.		7 10	5 28	5 57	4 10
19 C.	Konrada wyzn." ●	6 Wukoła prepod.		7 8	5 20	6 24	5 19
20 P.	Leona b. †	7 Parten		7 6	5 22	6 49	6 29
21 S.	Andrzeja †	8 Fteodora		7 4	5 24	7 13	7 41
22 N.	**1 P. Wstępna.** Kat.	**9** Nykyfora mucz.		7 2	5 26	7 38	8 54
23 P.	Piotra Dam.	10 Charłampia m.		6 0	5 27	8 5	10 8
24 W.	Macieja	11 Własya		6 58	5 29	8 34	11 23
25 Ś.	Zygfryda †	12 Mełetja		6 56	5 31	9 8	noc
26 C.	Wiktora, Fortun.	13 Martyniana d.		6 54	5 32	9 50	0 36
27 P.	Aleksandra ☽ †	14 Auksentija		6 52	5 34	10 40	1 44
28 S.	Leandra †	15 Onysyma		6 50	5 36	11 38	2 45
29 N.	**2 P. Sucha.** Rom.	**16** Pamfiłjona		6 47	5 37	12 45	3 37

Zmiana księżyca:
○ Pełnia dnia 4. o godzinię 9 min. 42 przedpołudniem.
☾ Ostatnia kwadra dnia 11. o godz. 9 min. 49 wieczór.
● Nów dnia 19. o godz. 10 min. 35 wieczór.
☽ Pierwsza kwadra dnia 27. o godz. 12 min. 50 w nocy.

Marzec

ma dni 31.



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1 P.	Albina i Antonina	17 Fteodora mucz.		6 45	5 39	1 58	4 21
2 W.	Symplicyusza	18 Lwa pap.		6 43	5 41	3 13	4 59
3 Ś.	Kunegundy †	19 Archyppa		6 41	5 43	4 29	5 30
4 C.	Kazimierza (pełnia)	20 Lwa ep.		6 39	5 45	5 43	5 57
5 P.	Euzebiusza †	21 Tymofteja		6 37	5 46	6 55	6 22
6 S.	Fryderyka †	22 SS. Mucz. w Ewh.		6 35	5 48	8 5	6 47
7 N.	3 P. Głucha. Tom.	23 Połykarpa jep.m.		6 33	5 49	9 13	7 12
8 P.	Jana Bożego	24 Obriz. Hoł. ś. J.		6 31	5 51	10 19	7 38
9 W.	Franciszka	25 Tarasja ar.		6 29	5 53	11 22	8 8
10 Ś.	40 męczenników †	26 Porfyrja		6 27	5 54	—	8 40
11 C.	Konstantyna	27 Prokopia ar.		6 25	5 56	0 22	9 18
12 P.	Grzegorza W. ☾ †	28 Wasyłya		6 23	5 57	1 16	10 2
13 S.	Katarzyny i Krys. †	29 Kasyana		6 21	5 59	2 4	10 53
14 N	4. P. Srodop. Leona	1 Mareć. Jewd.		6 19	6 0	2 46	11 49
15 P.	Klemensa, Longina	2 Fteodota mucz.		6 17	6 2	3 23	12 48
16 W.	Hilarego	3 Jewtropia m.		6 14	6 4	3 55	1 53
17 Ś.	Gertrudy †	4 Harasyma		6 11	6 6	4 24	3 0
18 C.	Edwarda	5 Konona M.		6 9	6 7	4 50	4 10
19 P.	*Józefa Oblub.* †	6 SS. 42 mucz.		6 7	6 9	5 15	5 22
20 S.	Eufemii, Edm. ● †	7 Wasyłyja mucz.		6 5	6 10	5 40	6 36
21 N.	5 P. Czarna Bened.	8 Fteofyłakła		6 3	6 12	6 7	7 52
22 P.	Katarzyny Szw.	9 SS. 40 mucz.		6 1	6 13	6 36	9 8
23 W.	Wiktora	10 Kondrata mucz.		5 59	6 15	7 9	10 23
24 Ś.	Gabryela archan. †	11 Sofronija prep.		5 56	6 17	7 49	11 35
25 C.	Zwiastowanie NMP.	12 Teofana		5 54	6 19	8 38	— —
26 P.	Emanuela, Dyzmy †	13 Nykifora		5 51	6 20	9 34	0 39
27 S.	Jana Damas., ☽ †	14 Wenedykta		5 49	6 22	10 39	1 35
28 N.	6 P. Palmowa. Syks.	15 Ahapia m.		5 47	6 23	11 49	2 21
29 P.	Cyryla i Eust.	16 Sawyna, Juliana		5 46	6 24	1 2	2 59
30 W.	Kwiryna	17 Ałeksia prep.		5 44	6 25	2 15	3 32
31 Ś.	Balbiny p. †	18 Kiryła archiep.		5 42	6 27	3 72	3 59

Zmiany księżyca:
- (pełnia) Pełnia dnia 4. o godzinie 10 minut 13 wieczór.
- ☾ Ostatnia kwadra dnia 12. o godz. 12 min. 57 w nocy.
- ● Nów dnia 20. o godz. 11 min. 56 przedpołudniem.
- ☽ Pierwsza kwadra dnia 27. o godz. 7 min. 45 rano.

Kwiecień

ma dni 30.



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1 C.	*W. Czw.* Hugona †	19 Chryzanta		5 40	6 28	4 38	4 25
2 P.	*W. Piątek.* Franc. †	20 Prep. Ot. w Ob. S.		5 38	6 30	5 48	4 50
3 S.	*W. Sobota.* ○ †	21 Jakowa ep.		5 35	6 32	6 56	5 14
4 N.	**Wielkanoc.** Izydora	**22** Wasyłya		5 33	6 34	8 3	5 40
5 P.	**Pon. wielk.** Winc.	23 Nikona		5 30	6 35	9 7	6 8
6 W.	Celestyna pap.	24 Zacharya		5 28	6 37	10 8	6 40
7 Ś.	Rufina	**25 Błahow. pr. Boh.**		5 26	6 38	11 6	7 15
8 C.	Dyonizego	26 Sobor. Hawr.		5 24	6 40	11 56	7 57
9 P.	Maryi Kleofas.	**27 Piatok Wełykij**		5 22	6 41	— —	8 45
10 S.	Ezechiela	28 Iłaryona		5 20	6 43	0 40	9 38
11 N.	**1 po Wielk.** Leo. ☾	**29 Woskresenije Chr.**		5 18	6 44	1 18	10 35
12 P.	Zenona b. m.	**30 Ponediłok Switłyj**		5 15	6 46	1 53	11 37
13 W.	Justyna	**31 Wtorok Switłyj**		5 13	6 48	2 23	12 42
14 Ś.	Tyburtiusza	1 Cwiteń. Maryi J.		5 11	6 49	2 49	1 50
15 C.	Anastazyi	2 Tyta		5 9	6 51	3 14	3 0
16 P.	Urbana, Joach.	3 Kseni		5 7	6 52	3 39	4 13
17 S.	Rudolfa	4 Josyfa, Hreh.		5 5	6 54	4 5	5 28
18 N.	**2 po W.** Apol. ●	**5** Fteoduła		5 3	6 55	4 34	6 45
19 P.	Tymona	6 Jewtychia episk.		5 1	6 57	5 5	8 3
20 W.	Wiktora	7 Hrehorya		4 59	6 59	5 44	9 19
21 Ś.	Anzelma bisk.	8 Irydyona		4 57	7 1	6 31	10 28
22 C.	Sotera	9 Jewpsychia		4 55	7 2	7 26	11 29
23 P.	Wojciecha bisk. m.	10 Terentia		4 53	7 4	8 30	— —
24 S.	Fidelisa, Jerzego	11 Antypy jep.		4 51	7 5	9 40	0 19
25 N.	**3 po W.** Marka ☽	**12** Wasyłyja prep.		4 49	7 7	10 53	1 0
26 P.	Kleta i Marcelina	13 Artemona J.		4 47	7 8	12 6	1 35
27 W.	Anastazego	14 Martyna papy		4 46	7 10	1 18	2 4
28 Ś.	Pawła od k., Wital.	15 Arystarcha		4 44	7 11	2 28	2 29
29 C.	Piotra męcz.	16 Ahapii		4 42	7 13	3 37	2 53
30 P.	Katarzyny Sen p.	17 Symeona		4 40	7 14	4 45	3 17

Zmiany księżyca: ○ Pełnia dnia 3. o godzinie 11 min. 55 przedpołudniem.
☾ Ostatnia kwadra dnia 11. o godz. 2 min. 24 popołudn.
● Nów dnia 18. o godz. 10 min. 43 wieczór.
☽ Pierwsza kwadra dnia 25. o godz. 2 min. 25 popoł.

Maj
ma dni 31.



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1 S.	Filipa i Jakóba ap.	18 Joanna Dekap.		4 39	7 16	5 51	3 42
2 N.	4 po W. Zygmunta	19 Chryzanta		4 37	7 17	6 56	4 9
3 P.	3 Maja. Zn. ś. K. ☺	20 Joana weł.		4 35	7 18	7 58	4 39
4 W.	Floryana	21 Januaria mucz.		4 34	7 20	8 56	5 13
5 Ś.	Piusa pap.	22 Teodora pap.		4 32	7 21	9 50	5 53
6 C.	Jana w Oleju	23 Heorhija		4 30	7 23	10 37	6 39
7 P.	Domiceli, Gizeli	24 Saw. m.		4 29	7 24	11 17	7 13
8 S.	Stanisława bisk.	25 Marka Ewang.		4 27	7 25	11 53	8 26
9 N.	5 po W. Grzegorza	26 Wasyłyja.		4 25	7 27	— —	9 25
10 P.	Izydora rolnika	27 Symeona jepisk.		4 23	7 29	0 24	10 28
11 W.	Adolfa ☾	28 Św. 9 mucz.		4 22	7 31	0 51	11 33
12 Ś.	Pankracego	29 Jasona ap.		4 20	7 32	1 16	12 40
13 C.	Wniebowstąp. P. J.	30 Jakowa ap.		4 19	7 33	1 40	1 50
14 P.	Bonifacego m.	1 Maj. Jeremy pr.		4 18	7 35	2 5	3 3
15 S.	Zofii, Jana Chrz.	2 Atanazya		4 16	7 36	2 31	4 18
16 N.	6 po W. Jana Nep.	3 Tymofteja		4 15	7 37	3 1	5 35
17 P.	Paschalisa W.	4 Pełahyi mucz.		4 13	7 39	3 35	6 53
18 W.	Feliksa kapł. ●	5 Iryny m.		4 11	7 41	4 18	8 7
19 Ś.	Piotra Celest.	6 Jowa Prawedn.		4 10	7 42	5 11	9 14
20 C.	Bernarda	7 Woznesenje Hosp.		4 9	7 43	6 12	10 11
21 P.	Julii p. m. i Anieli	8 Joana Bohosł.		4 9	7 44	7 23	10 57
22 S.	Faustyna, Emila †	9 Isaji proroka		4 8	7 45	8 38	11 36
23 N.	Zielone Świątki	10 Symeona		4 7	7 46	9 53	—
24 P.	Poniedz. Ziel. św. ☽	11 Mokia		4 6	7 47	11 7	0 7
25 W.	Grzegorza VII.	12 Jepyfania		4 5	7 49	12 19	0 34
26 Ś.	Filipa Ner. †	13 Hłykeryi		4 4	7 50	1 29	0 59
27 C.	Jana pap.	14 Izydora		4 3	7 51	2 37	1 23
28 P.	Wilhelma †	15 Pachom. Wełyk.		4 2	7 52	3 43	1 47
29 S.	Maksyma i Teod. †	16 Fteodora		4 1	7 53	4 48	2 13
30 N.	1 po S. Feliksa	17 Soszestw. ś. Ducha		4 0	7 55	5 50	2 42
31 P.	Anieli i Petroneli	18 Ponediłok Sosz.		3 59	7 56	6 50	3 13

Zmiany księżyca: ☺ Pełnia dnia 3. o godzinie 2 min. 47 rano.
☾ Ostatnia kwadra dnia 11. o godzinie 6 min. 51 rano.
● Nów dnia 18. o godzinie 7 min. 25 rano.
☽ Pierwsza kwadra dnia 24. o godz. 10 min. 7 wieczór.

Czerwiec

ma dni 30.



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1 W.	Jakóba b. ○	19 Patrykia		3 58	7 57	7 45	3 51
2 Ś.	Marcelina	20 Ftałatea		3 57	7 58	8 34	4 35
3 C.	Boże Ciało. Erazma	21 Konst. i Ołeny		3 57	7 59	9 16	5 24
4 P.	Franciszka Carrac.	22 Wasyłyja		3 56	8 0	9 54	6 19
5 S.	Bonifacego b. m.	23 Mychajła epysk.		3 55	8 1	10 26	7 17
6 N	2 po S. Norberta	24 Symeona		3 55	8 1	10 54	8 18
7 P.	Roberta	25 Obr. bł. Joana		3 54	8 2	11 19	9 22
8 W.	Medarda b.	26 Karpa		3 54	8 3	11 43	10 27
9 Ś.	Felicyana i Pel. ☾	27 Teraponta		3 54	8 4	— —	11 34
10 C.	Małgorzaty	28 Nykyty pr.		3 53	8 4	0 7	12 43
11 P.	*Serca Jez.* Barnaby	29 Fteodosyi mucz.		3 53	8 5	0 32	1 55
12 S.	Jana, Onufrego	30 Izakyja		3 53	8 6	0 59	3 9
13 N.	3 po S. Antoniego	31 Jeremija ap.		3 53	8 6	1 30	4 25
14 P.	Bazylego b.	1 Czerw. Justyna		3 53	8 7	2 7	5 41
15 W.	Wita i Modesta	2 Nykyfora, Alex.		3 52	8 7	2 54	6 52
16 Ś.	Benona b. ●	3 Łukiłyana		3 52	8 8	3 50	7 56
17 C.	Adolfa b.	4 Mitrofana		3 52	8 8	4 58	8 49
18 P.	M. B. Nieust. P.	5 Doroftea jep.		3 52	8 8	6 13	9 31
19 S.	Juliana	6 Wissaryona		3 53	8 9	7 31	10 7
20 N.	4 po S. Sylwerego	7 Teodota		3 53	8 9	8 49	10 37
21 P.	Alojzego Gonzagi	8 Fteodora jep.		3 53	8 10	10 4	11 3
22 W.	Paulina b.	9 Kyryła arch.		3 53	8 10	11 17	11 28
23 Ś.	Agrypiny p. ☽	10 Tymofteja m.		3 53	8 10	12 27	11 52
24 C.	Jana Chrz.	11 Wartołomeja		3 54	8 10	1 34	— —
25 P.	Wilhelma, Prosp.	12 Onufrya		3 54	8 10	2 40	0 18
26 S.	Jana i Pawła	13 Akiliny i Tryf.		3 54	8 10	3 43	0 46
27 N.	5 po S. Władysł.	14 Jełysseja p.		3 55	8 10	4 44	1 17
28 P.	Leona pap. wyz. †	15 Amosa proroka		3 55	8 10	5 40	1 52
29 W.	Piotra i Pawła ap.	16 Tychona		3 56	8 10	6 31	2 33
30 Ś.	Emilii i Lucyny	17 Mauniła mucz.		3 56	8 10	7 16	3 20

Zmiany księżyca: ○ Pełnia dnia 1. o godzinie 6 minut 18 wieczorem.
☾ Ostatnia kwadra dnia 9. o godz. 7 min. 59 wieczór.
● Nów dnia 16. o godz. 2 min. 41 popołudniu.
☽ Pierwsza kwadra dnia 23. o godz. 7 min. 50 rano.

Lipiec

ma dni 31.



Dni		Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1	C.	Teobalda ●	18 Łeontja m.		3 57	8 10	7 55	4 13
2	P.	Naw. NMP., Ottona	19 Judy Ftad. ap.		3 58	8 9	8 30	5 9
3	S.	Anatola, Heliodora	20 Meftodya św. m.		3 59	8 9	8 59	6 10
4	N.	6 po S. Ireneusza	21 Juljana m.		3 59	8 9	9 25	7 13
5	P.	Antoniego, Filom.	22 Jewsewya jep.		4 0	8 8	9 49	8 18
6	W.	Izajasza pr.	23 Ahrypiny m.		4 1	8 8	10 13	9 24
7	Ś.	Cyryla i Metodego	24 Rożdest. Joana		4 1	8 7	10 37	10 31
8	C.	Elżbiéty kr.	25 Feuronii pr.		4 2	8 7	11 2	11 40
9	P.	Weroniki, Mikoł. ☾	26 Dawyda prepod.		4 3	8 6	11 13	12 51
10	S.	7 Braci męcz.	27 Sampsona		4 4	8 6	— —	2 4
11	N.	7 po S. Piusa Pel.	28 Kyra i Joana		4 5	8 5	0 3	3 17
12	P.	Jana Gw., Feliksa	29 Ap. Petra i Pawła		4 6	8 4	0 44	4 29
13	W.	Małgorzaty	30 ŚS. 12 Apostoł.		4 7	8 3	1 34	5 36
14	Ś.	Bonawentury	1 Łypeń. Kosmy		4 8	8 2	2 34	6 35
15	C.	Henryka ●	2 Poł. r. Pr. B.		4 10	8 1	3 45	7 23
16	P.	*NMP. Szkapl.* Eust.	3 Jakynfta mucz.		4 11	8 0	5 3	8 2
17	S.	Aleksego i Marceli	4 Andreja kryt.		4 12	7 59	6 23	8 35
18	N.	8 po S. Szymona	5 Atfanasya		4 13	7 58	7 41	9 4
19	P.	Wincentego z P.	6 Łukji i Łukija		4 14	7 58	8 57	9 31
20	W.	Czesława	7 Ftomy pr.		4 15	7 57	10 11	9 56
21	Ś.	Praksedy	8 Prokopa mucz.		4 16	7 56	11 21	10 22
22	C.	Maryi Magd. ☽	9 Pankratja		4 17	7 55	12 28	10 49
23	P.	Apolinarego, Syd.	10 SS. 45 mucz.		4 18	7 54	1 33	11 19
24	S.	Krystyny, Franc. S.	11 Jeftymiji, Ołeny		4 19	7 53	2 25	11 52
25	N.	9 po S. Krzysztofa	12 Prokła i Iłarya		4 21	7 52	3 34	— —
26	P.	Anny, matki NMP.	13 Hawryiła arch.		4 23	7 50	4 26	0 32
27	W.	Pantaleona, Aurelii	14 Akyły ap.		4 24	7 48	5 13	1 17
28	Ś.	Wiktora	15 Kyryka		4 26	7 47	5 55	2 8
29	C.	Kunęgundy	16 Atynogena		4 27	7 46	6 32	3 2
30	P.	Abdona, Julity ●	17 Maryny mucz.		4 28	7 44	7 3	4 2
31	S.	Ignacego Loyoli	18 Jemyłyana		4 29	7 43	7 30	5 5

Zmiany księżyca: ● Pełnia dnia 1. o godzinie 9 min. 41 przedpołudniem.
☾ Ostatnia kwadra dnia 9. o godz. 6 min. 6 rano.
● Nów dnia 15. o godz. 9 min. 25 rano.
☽ Pierwsza kwadra dnia 22. o godz. 8 min. 20 wieczór.
● Pełnia dnia 31. o godz. 12 min. 19 w nocy.

Sierpień

ma dni 31.



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1 N.	**10 po S.** Piotra	**19** Makryny		4 31	7 42	7 55	6 9
2 P.	*NMP. Anielskiej*	20 Iłyi proroka		4 32	7 40	8 19	7 15
3 W.	Znal. św. Szczepana	21 Symeona pror.		4 33	7 39	8 43	8 22
4 Ś.	Dominika	22 Maryi Mahdał.		4 35	7 37	9 8	9 30
5 C.	*NPM. Śnież.*	23 Trofyma		4 37	7 35	9 35	10 40
6 P.	Przem. P. J., Sykst.	24 Chrystyny mucz.		4 38	7 33	10 6	11 51
7 S.	Kajetana w. ☾	25 † Uspen ś. Anny		4 40	7 31	10 41	1 3
8 N.	**11 po S.** Cyryaka	**26** Jermołaja m.		4 41	7 30	11 26	2 13
9 P.	Romana, Juliana	27 Pantełejmona		4 43	7 28	— —	3 19
10 W.	Wawrzyńca	28 Prochora ap.		4 44	7 27	0 19	4 20
11 Ś.	Zuzanny	29 Kałynyka mucz.		4 45	7 25	1 24	5 12
12 C.	Klary, Hil.	30 Syły ap.		4 47	7 23	2 37	5 55
13 P.	Hipolita, Kassyana	31 Ewdokima		4 48	7 21	3 54	6 32
14 S.	Euzebiusza b. ● †	1 Serpeń. Proisch.		4 50	7 19	5 13	7 3
15 N.	**12 po S. Wn. NMP.**	**2** Stefana m.		4 52	7 17	6 31	7 31
16 P.	Joachima, Rocha	3 Isaakya prepod.		4 53	7 15	7 47	7 58
17 W.	Liberta	4 7 Otrokov w Ef.		4 54	7 13	9 0	8 24
18 Ś.	Heleny ces.	5 Ewsygnia mucz.		4 55	7 12	10 11	8 51
19 C.	Juliusza	**6 Preobr. Hospod.**		4 57	7 10	11 18	9 21
20 P.	Bernarda, Samuela	7 Dometya prep.		4 58	7 9	12 22	9 53
21 S.	Jacka, Joanny ☽	8 Jemyłyana jep.		4 59	7 7	1 24	10 31
22 N.	**13 po S.** Tymot.	**9** Mafteja ap.		5 1	7 5	2 19	11 14
23 P.	Poc. NMB., Filipa	10 Ławrentya m.		5 3	7 2	3 8	— —
24 W.	Bartłomieja	11 Jewpła m.		5 5	7 0	3 52	0 2
25 Ś.	Ludwika kr.	12 Fotia mucz.		5 6	6 58	4 30	0 56
26 C.	Zefiryna m.	13 Maksyma		5 7	6 56	5 4	1 53
27 P.	Józefa Kalasant.	14 Michea proroka		5 9	6 54	5 33	2 55
28 S.	Augustyna, Aleks.	**15 Uspen. preśw. Boh.**		5 10	6 52	5 59	3 59
29 N.	**14 po S.** Sc. ś. Jana ●	**16** Nerukotwor. Ob.		5 12	6 50	6 24	5 8
30 P.	Róży z Lim., Fel.	17 Myrona m.		5 13	6 48	6 38	6 12
31 W.	Rajmunda	18 Flora i Ławra		5 15	6 46	7 41	7 21

Zmiany księżyca: ☾ Ostatnia kwadra dnia 7. o godz. 1 min. 51 popołudniu.
● Nów dnia 14. o godz. 4 min. 44 rano.
☽ Pierwsza kwadra dnia 21. o g. 11 m. 52 przedpołudn.
● Pełnia dnia 29. o godz. 2 min. 3 popołudniu.

Wrzesień

ma dni 30.



Dni		Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1	Ś.	Idziego	19 Andreja Str.		5 17	6 43	7 40	8 31
2	C.	Stefana kr.	20 Samuiła		5 18	6 41	8 10	9 42
3	P.	Bronisławy, Euf.	21 Ftadea apost.		5 20	6 39	8 44	10 53
4	S.	Rozalii i Róży	22 Ahatfona mucz.		5 21	6 37	9 25	12 3
5	N.	15 po S. Wawrz. ☾	23 Łuppa m.		5 23	6 35	10 15	1 10
6	P.	Zacharyasza pr.	24 Jewtychia mucz.		5 24	6 33	11 14	2 11
7	W.	Anastazego, Reginy	25 Warftołomeja		5 26	6 31	— —	3 4
8	Ś.	Nar. Najśw. Maryi P.	26 Adryana m.		5 27	6 29	0 22	3 49
9	C.	Gorgoniusza	27 Pymena		5 28	6 26	1 33	4 27
10	P.	Mikołaja z T.	28 Moysea m.		5 30	6 23	2 50	5 1
11	S.	Prota, Jacka mm.	29 Us. nł. św. Joana		5 32	6 21	4 7	5 30
12	N.	16 po S. *I. Maryi* ●	30 Ałeksandra		5 33	6 19	5 23	5 57
13	P.	Waleryana m.	31 Poł. poi. Pr. B.		5 34	6 18	6 37	6 24
14	W.	Podnies. św. Krz.	1 Weresen. Sym.		5 35	6 16	7 49	6 51
15	Ś.	Nikodema †	2 Mamanta m.		5 37	6 14	8 59	7 20
16	C.	7 bol. NMP. Ludm.	3 Antyma		5 38	6 12	10 6	7 53
17	P.	Piętna ś. Franc. †	4 Wawyły świasz.		5 41	6 9	11 9	8 28
18	S.	Józefa z K., Zofii †	5 Zacharyasza pr.		5 40	6 7	12 8	9 9
19	N.	17 po S. Januarego	6 Wosp. cz. Mar.		5 43	6 4	1 0	9 55
20	P.	Eustachego ☽	7 Makarya		5 45	6 3	1 45	10 47
21	W.	Mateusza	8 Rożdest. Pr. Boh.		5 46	6 2	2 26	11 43
22	Ś.	Tomasza	9 Joakima i Anny		5 48	5 58	3 2	— —
23	C.	Lina, Tekli	10 Minodory		5 49	5 56	3 33	1 42
24	P.	NMP. Wyk., Gerar.	11 Fteodory prep.		5 51	5 54	4 0	2 45
25	S.	Ładysława, Kleof.	12 Awtenoma mucz.		5 52	5 51	4 26	0 50
26	N.	18 po S. Cypryana	13 Kornyła		5 54	5 49	4 51	3 57
27	P.	Kosmy i Damian.	14 Wozn. ś. Kresta		5 55	5 47	5 16	5 6
28	W.	Wacława m. ○	15 Nykity m.		5 57	5 44	5 42	6 16
29	Ś.	*Michała arch.*	16 Josafata arch.		5 58	5 42	6 12	7 28
30	C.	Hieronima	17 Sofii		5 59	5 40	6 45	8 41

Zmiany księżyca: ☾ Ostatnia kwadra dnia 5. o godz. 8 min. 5 wieczorem.
● Nów dnia 12. o godz. 1 min. 52 popołudniu.
☽ Pierwsza kwadra dnia 20. o godz. 5 min. 55 rano.
○ Pełnia dnia 28. o godz. 2 min. 57 rano.

Październik

ma dni 31.



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1 P.	Remigiusza, Julii	18 Jewmenia	♉	6 1	5 38	7 25	9 53
2 S.	Aniołów Stróżów	19 Trofyma mucz.	♊	6 3	5 36	8 13	11 2
3 N.	19 po S. Kandyda	20 Eustachia m.	♊	6 5	5 33	9 9	12 5
4 P.	Franciszka Seraf.	21 Kondrata apost.	♋	6 6	5 31	10 14	1 1
5 W.	Placyda m. ☾	22 Foky m. i Jowy	♋	6 8	5 29	11 23	1 47
6 Ś.	Brunona	23 Zaczat. Joan. Kr.	♌	6 10	5 27	— —	2 26
7 C.	Justyny	24 Tekły m.	♌	6 11	5 25	0 63	3 1
8 P.	Laurencyi, Pelagii	25 Jewfrosyniji pr.	♍	6 12	5 23	1 51	3 31
9 S.	Wincentego Kadł.	26 Joan. Bohosł.	♍	6 14	5 21	3 5	3 58
10 N.	20 po S. Franc. B.	27 Kołystrata	♍	6 15	5 19	4 18	4 24
11 P.	Gereona i Tow.	28 Charytona	♎	6 17	5 17	5 30	4 51
12 W.	Maksymiliana ●	29 Kyriaka pr.	♎	6 18	5 15	6 41	5 20
13 Ś.	Edwarda	30 Hryhorya mucz.	♏	6 20	5 13	7 49	5 51
14 C.	Kaliksta	1 Żowteń. Pokr. B.	♏	6 21	5 11	8 54	6 25
15 P.	Jadwigi i Teresy	2 Kapryana św. m.	♐	6 23	5 8	9 55	7 4
16 S.	Saturnina, Florent	3 Dionysya	♐	6 25	5 6	10 50	7 48
17 N.	21 po S. Wiktora	4 Jerofteja j.	♐	6 27	5 4	11 39	8 40
18 P.	Łukasza, Trytonii	5 Charytyny m.	♑	6 28	5 2	12 22	9 32
19 W.	Piotra z Al.	6 Tomy ap.	♑	6 30	5 0	1 0	10 29
20 Ś.	Felicyana ☽	7 Serhya i Wakha	♒	6 31	4 58	1 32	11 30
21 C.	Urszuli p.	8 Pelagii	♒	6 33	4 56	2 0	— —
22 P.	Filipa b., Korduli	9 Jakowa apost.	♒	6 34	4 54	2 26	0 33
23 S.	Ignacego b., Teod.	10 Jewłampia m.	♓	6 36	4 52	2 51	1 39
24 N.	22 po S. Jana Kant.	11 Fyłypa ap.	♓	6 38	4 50	3 16	2 46
25 P.	Kryspina męcz.	12 Tarasia	♈	6 40	4 48	3 42	3 55
26 W.	Ewarysty, Łucyana	13 Karpa i Papyła	♈	6 42	4 46	4 10	5 7
27 Ś.	Sabiny ○	14 Nazarya mucz.	♉	6 43	4 44	4 41	6 12
28 C.	Szymona i Tad.	15 Eutymja	♉	6 43	4 43	5 20	7 36
29 P.	Zenobiusza, Narc.	16 Lonhyna mucz.	♊	6 45	4 41	6 7	8 48
30 S.	Marcela, Klaud.	17 Osiji, Andreja	♊	6 46	4 39	7 1	9 55
31 N.	23 po S. Lucyli m.	18 Łuki ew.	♋	6 49	4 37	8 4	10 55

Zmiany księżyca:
- ☾ Ostatnia kwadra dnia 5. o godz. 1 min. 54 w nocy.
- ● Nów dnia 12. o godz. 1 min. 50 w nocy.
- ☽ Pierwsza kwadra dnia 20. o godz. 1 min. 20 w nocy.
- ○ Pełnia dnia 27. o godz. 3 min. 9 popołudniu.

Listopad
ma dni 30.



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1 P.	**Wszystkich Święt.**	19 Joiła proroka		6 51	4 35	9 14	11 46
2 W.	*Dzień Zaduszny*	20 Artemia m.		6 53	4 34	10 27	12 28
3 Ś.	Huberta b. ☾	21 Iłariona		6 54	4 32	11 41	1 4
4 C.	Karola Bor.	22 Awerkja		6 56	4 31	— —	1 35
5 P.	Zacharyasza pror.	23 Jakowa apost.		6 58	4 29	0 54	2 2
6 S.	Feliksa, Leonarda	24 Arefty mucz.		6 59	4 28	2 6	2 28
7 N.	**24 po S.** Amaranta	**25** Markyana		7 1	4 26	3 61	2 54
8 P.	Opieki NMP.	**26 Św. Dymytra**		7 2	4 25	4 26	3 21
9 W.	Teodora żoł.	27 Nestora m.		7 4	4 23	5 34	3 50
10 Ś.	Andrzeja ●	28 Terentya mucz.		7 6	4 21	6 40	4 22
11 C.	Marcina b.	29 Anastazyi		7 8	4 20	7 42	4 59
12 P.	Chrystyana, Marc.	30 Zynowiji i Zyn.		7 10	4 18	8 41	5 42
13 S.	Stanisława Kostki	31 Stachija, Narkis		7 11	4 17	9 33	6 30
14 N.	**25 po S.** Jozafata	**1** Padołyst. Kosmy		7 13	4 16	10 18	7 22
15 P.	Leopolda, Gertrudy	2 Akindina, Pigas.		7 15	4 14	10 57	8 18
16 W.	Edmunda	3 Josyfa, Heortia		7 16	4 13	11 31	9 18
17 Ś.	Salomei	4 Joannykja		7 18	4 12	12 1	10 19
18 C.	Romana m. ☽	5 Hałaktyma		7 19	4 11	12 28	11 22
19 P.	Elżbiety, Dyoniz.	6 Pawła archiep.		7 21	4 10	12 52	— —
20 S.	Feliksa Val., Eust.	7 Jerona, Łazarja		7 23	4 8	1 16	0 27
21 N.	**26 po S.** Of. NMP.	**8 Mychaiła Arch.**		7 25	4 7	1 41	1 34
22 P.	Cecylii p. m.	9 Onysifora mucz.		7 26	4 6	2 8	2 43
23 W.	Klemensa	10 Erasta ap.		7 28	4 5	2 58	3 55
24 Ś.	Jana od Krzyża	11 Miny mucz.		7 29	4 4	3 12	5 9
25 C.	Katarzyny	12 Joana m.		7 30	4 3	3 55	6 24
26 P.	Sylwestra, Konr. ●	13 Joana Złotoust.		7 32	4 2	4 47	7 37
27 S.	Waleryana,	14 Fyłypa apost.		7 33	4 2	5 48	8 42
28 N.	**1 Adw.** Grzegorza	**15** Hurya, Samsona		7 35	4 1	6 58	9 39
29 P.	Saturnina, Illum.	16 Matftea ew.		7 36	4 0	8 13	10 26
30 W.	Andrzeja	17 Hryhorya		7 38	4 59	9 29	11 5

Zmiany księżyca: ☾ Ostatnia kwadra dnia 3. o godz. 8 min. 35 rano.
● Nów dnia 10. o godz. 5 min. 5 popołudniu.
☽ Pierwsza kwadra dnia 18. o godz. 9 min. 13 wieczór.
● Pełnia dnia 26. o godz. 2 min. 42 rano.

Grudzień

ma dni 31.



Dni	Kalendarz rzymsko-katolicki	Kalendarz grecko-katolicki	Bieg	Słońca Wsch. g. m.	Słońca Zach. g. m.	Księżyca Wsch. g. m.	Księżyca Zach. g. m.
1 Ś.	Eligiusza b. †	18 Płatona		7 39	3 58	10 44	11 39
2 C.	Bibianny ☾	19 Awdija pr.		7 40	3 58	11 57	12 7
3 P.	Franciszka Ksaw. †	20 Prokła, Hryhorya		7 41	3 58	— —	12 33
4 S.	Barbary, Piotra †	**21 Wowed. Pr. D. M.**		7 42	3 57	1 8	12 59
5 N.	**2 Adw.** Anastazego	**22** Fyłymona		7 44	3 57	2 18	1 25
6 P.	Mikołaja b. i w.	23 Amfyłochya		7 45	3 57	3 25	1 53
7 W.	Ambrożego	24 Kataryny		7 46	3 56	4 31	2 24
8 S.	**Niep. Pocz. NMP.**	25 Kłymenta papy		7 47	3 56	5 34	2 58
9 C.	Leokadyi	26 Ałypja		7 48	3 56	6 34	3 38
10 P.	NMP. Loretań. ● †	27 Jakowa mucz.		7 49	3 56	7 27	4 24
11 S.	Damazego, Sab. †	28 Stefana Pr. m.		7 50	3 56	8 15	5 15
12 N.	**3 Adw.** Aleksan.	**29** Paramona		7 51	3 56	8 56	6 10
13 P.	Łucyi p. m., Eugen.	30 Andreja apost.		7 52	3 56	9 33	7 8
14 W.	Izydora	1 Hrudeń. Nauma		7 53	3 56	10 4	8 8
15 S.	Wiktora †	2 Awakuma pr.		7 53	3 56	10 31	9 10
16 C.	Euzebiusza	3 Sofonija		7 54	3 56	10 56	10 13
17 P.	Łazarza, Olimpii †	4 Warwary mucz.		7 55	3 57	11 20	11 18
18 S.	Oczekiw. NMP. ☽ †	5 Sawy pr. mucz.		7 56	3 57	11 44	— —
19 N.	**4 Adw.** Tymot.	**6 Nykołaja C.**		7 56	3 57	12 8	0 24
20 P.	Teofila, Juliusza	7 Amwrozya		7 57	3 58	12 35	1 32
21 W.	Tomasza, Sewer.	8 Patapia pr.		7 57	3 58	1 6	2 43
22 S.	Zenona †	**9 Nep. Zaczat. Boh.**		7 58	3 58	1 43	3 56
23 C.	Wiktoryi p.	10 Miny		7 58	3 59	2 29	5 9
24 P.	Adama, Ewy *Wig.* †	11 Danyiła Stołpn.		7 59	4 0	3 24	6 18
25 S.	**Boże Narodzenie** ❂	12 Spiridona jep.		7 59	4 0	4 31	7 21
26 N.	**Szczepana męcz.**	**13** Eustratija		8 0	4 1	5 46	8 16
27 P.	Jana apost. i ew.	14 Tyrsya i Lew.		8 0	4 2	7 5	9 0
28 W.	Młodzianków	15 Ełewterya j.		8 0	4 2	8 24	9 38
29 Ś.	Tomasza b.	16 Aheja proroka		8 0	4 3	9 41	10 10
30 C.	Sabina	17 Danyiła		8 0	4 4	10 55	10 38
31 P.	Sylwestra p.	18 Sewastyana m.		8 0	4 5	— —	11 4

Zmiany księżyca:
- ☾ **Ostatnia kwadra dnia 2. o godz. 5 min. 29 popołudniu.**
- ● **Nów dniu 10. o godz. 11 min. 4 przedpołudniem.**
- ☽ **Pierwsza kwadra dnia 18. o godz. 3 min. 40 popoł.**
- ❂ **Pełnia dnia 25. o godz. 1 min. 39 popołudniu.**

Kalendarz żydowski.

Styczeń. 1 stycznia 10 Thebeth 5680, 21 stycznia 1 Schebat.
Luty. 1 lutego 12 Schebat, 20 lutego 1 Adar.
Marzec. 1 marca 11 Adar. 3 marca 13 Adar, Post Estery. 4 marca 14 Adar. Purim. 5 marca 15 Adar, Szuszan Purim. 20 marca 1 Nisan.
Kwiecień. 1 kwietnia 13 Nisan. 3 kwietnia 15 Nisan, Początek Paschy. 4 kwietnia 16 Nisan, Drugie święto Paschy. 9 kwietnia 21 Nisan, Siódme święto Paschy. 10 kwietnia 22 Nisan, Koniec świąt Paschy. 19 kwietnia 1 Ijjar.
Maj. 1 maja 13 Ijjar. 18 maja 1 Siwan. 23 maja 6 Siwan, Pierwszy dzień Zielonych świąt. 24 maja 7 Siwan, Drugi dzień Zielonych świąt.
Czerwiec. 1 czerwca 15 Siwan, 17 czerwca 1 Thamus.
Lipiec. 1 lipca 15 Thamus. 4 lipca 18 Thamus, Post, Zdobycie świątyni. 16 lipca 1 Ab. 26 lipca 10 Ab, Post, Spalenie świątyni.
Sierpień. 1 sierpnia 17 Ab. 15 sierpnia 1 Elul.
Wrzesień. 1 września 18 Elul. 13 września 1 Tischri. Nowy Rok 5681. 14 września 2 Tischri, Drugie święto N. R. 22 września 10 Tischri Święto pojednania. 27 września 15 Tischri, Pierwsze święto Kuczek. 28 września 16 Tischri Drugie święto Kuczek.
Październik. 1 października 19 Tischri. 4 października 22 Tischri, Zgromadzenie czyli koniec Kuczek. 13 października 1 Marcheszwan.
Listopad. 1 listopada 20 Marcheszwan, 12 listopada 1 Kislew.
Grudzień. 1 grudnia 20 Kislew. 5 grudnia 24 Kislew, Poświęcenie świątyni. 12 grudnia 1 Tebet. 13 grudnia 2 Tebet Koniec poświęcenia świątyni.

Rok 1920 pod względem chronologicznym i astronomicznym.

Cztery pory roku.

Według czasu środkowo-europejskiego wiosna zaczyna się dnia 20. marca o godz. 10 min. 59 wieczór; lato dnia 21. czerwca o godz. 6 min. 40 wieczorem; jesień dnia 23. września o godz. 9 min. 28 przedpołudniem; zima dnia 22. grudnia o godz. 4 min. 17 rano.

Zaćmienia w roku 1920.

W roku 1920 będą 2 zaćmienia słońca i 2 zaćmienia księżyca, z tych tylko pierwsze zaćmienie księżyca widzialnem będzie w Europie środkowej.

I. Całkowite zaćmienie księżyca dnia 3. maja 1920 r. Początek zaćmienia o g. 1 m. 0·8 w nocy; początek całkowitego zaćmienia o g. 2 m. 14·8 rano; centralne zaćmienie o g. 2 m. 51·0 rano; koniec całkowitego zaćmienia o g. 3 m. 27·2 rano; koniec zaćmienia w ogólności o g. 4 m. 41·1 rano.

Zaćmienie to widocznem będzie w Azyi zachodniej, Afryce, w zachodniej części oceanu Indyjskiego, w Europie, na oceanie Atlantyckim, w północnej i południowej Ameryce i na wschodnich częściach oceanu Spokojnego.

II. Częściowe zaćmienie słońca dnia 18. maja 1920 r. Początek zaćmienia o g. 5 m. 16·9 rano; największe zaćmienie o g. 7 m. 14·8 rano; koniec zaćmienia o g. 9 m. 12·7 przedpołudniem. Wielkość zaćmienia średnicy słońca = 0·97.

Zaćmienie to widocznem będzie w południowej części oceanu Indyjskiego i w Australii z wyjątkiem północnych skrawków.

III. Całkowite zaćmienie księżyca dnia 27. października 1920 r. Początek zaćmienia o g. 1 m. 25·6 popołudn.; całkowite zaćmienie o g. 2 m. 28·6 popołudn.; środek zaćmienia o g. 3 m. 11·4 popołudn.; koniec całkowitego zaćmienia o g. 3 m. 54·3 popołudn.; koniec zaćmienia w ogólności o g. 4 m. 57·3 popołudniu.

Zaćmienie to widocznem będzie w zachodnich częściach Ameryki północnej, oceanu Spokojnego, Australii, Azyi, oceanu Indyjskiego, w wschodniej Afryce i w wschodnich częściach Europy.

IV. Częściowe zaćmienie słońca dnia 10. listopada 1920. Początek zaćmienia o g. 2 m. 47·2 popołudn.; centralne zaćmienie o g. 4 m. 52·2 popoł.; koniec zaćmienia o g. 6 m. 57·1 wieczorem. Wielkość zaćmienia średnicy słońca = 0·74.

Zaćmienie to jest widocznem w północno-wschodniej części Ameryki północnej, w północnej części oceanu Atlantyckiego, w północno-zachodniej Afryce i w zachodnich częściach Europy.

Panującym planetą w r. 1920 jest „Wenus“.

Do siedmiu znanych planet, do których też słońce i księżyc zaliczają, należy i Wenus. Według astronomicznych wierzeń Wenus swojem częstszem zjawianiem się na horyzoncie niebieskim oznacza zmianę godziny dnia, później zmianę każdego dnia w tygodniu, jak też zmianę roku. Z pojawieniem się tego panującego planety biorą astronomowie wnioski i obliczenia przepowiedni zmian pogody i powietrza, gdyż te zwykle co 7 lat się powtarzają, dlatego też astronomowie obliczenia te opierają na większem prawdopodobieństwie.

Wenus jako drugi z pomiędzy planet, oddalony jest od słońca o 108 milionów kilometrów i obiega je w 227·7 dniach. Od ziemi oddalonym jest, w czasie kiedy znajduje się między ziemią a słońcem, o 38 milionów kilometrów, zaś kiedy jest w obiegu górnym jest oddalonym o 260 kilometrów. Wenus w obiegu swej drogi okazuje podobne zmiany jak księżyc. W czasie górnego obiegu widzimy tło jego pełne jasne, zaś w niższym obiegu tło jego jest przyćmione, czasami do połowy zasłonięte. Przy sprzyjającej pogodzie podczas największej elongacyi można Wenus dostrzedz gołem okiem, jeżeli się zna drogę jego biegu. Znamy go też w czasie wschodu lub zachodu słońca pod nazwą gwiazdy porannej lub wieczornej. Kiedy Wenus odbywa swą drogę między ziemią a słońcem, daje się dostrzedz gołem okiem, kiedy obok tarczy słonecznej nieznacznie przesuwa się, później jako ciemna plama przesuwa się przez tarczę słoneczną. W czasie tym zwykle astronomowie obliczają oddalenie słońca od ziemi. Przejście takie oczekiwane jest dopiero na dzień 8. czerwca 2004 roku.

Przepowiednie pogody.

Rok 1920 będzie przeważnie więcej wilgotny jak suchy, także parny i ciepły. **Wiosna** będzie późna, przyjemna, żyzna na owoce. **Lato** przez niedługo trwające deszcze przez wiosnę będzie ciepłe i parne, natomiast jeżeli przez wionę będą silne, długotrwałe deszcze, lato będzie suche i upalne. **Jesień** z początku będzie piękna, lecz w połowie listopada nastaną przymrozki trwające prawie do Bożego Narodzenia. **Zima** dokuczliwa, z początku sucha, zaś w połowie lutego do końca wilgotna i ulewna.

TARYFA POCZTOWA.

Opłata pocztowa wynosi w Galicyi w koronach, w Królestwie Polskiem w markach:

Za listy zwykłe do 20 gramów	—·25
za każde dalsze 20 gramów .	—·15
dopuszczalne do 250 gramów	1·45
Za kartki zwykłe lub z widokiem	—·15
Za druki do wagi 50 gramów .	—·10
za każde dalsze 50 gramów .	—·05
dopuszczalne do 100 gr. = 1 kg.	1·05
Za polecone kartki, listy, druki lub próbki oprócz zwykłej należytości, jak powyżej podane	—·25

Za listy, kartki, druki i próbki wysłane *poza granice Polski* opłaca się p o d w ó j n ą należytość, jak powyżej podane.

Za listy pieniężne i wartościowe do 20 gramów i wartości do 100 koron . . . . 1·—
za każde dalsze 20 gramów . —·15
i za każde dalsze 100 koron —·20

Za przekazy pieniężne do 10 K —·40
ponad 10 kor. do 100 kor. . —·70
za każde dalsze 100 kor. . . —·20
dopuszczalne do 1000 kor. na jednym przekazie . . . . 2·50
Formularz przekazu kosztuje . . —·05

Za próbki do 250 gramów . . —·25
za każde dalsze 250 gramów —·25
dopuszczalne do 1000 gramów 1·—

Za paczki pocztowe do 5 kg 2·—
za każdy dalszy kilogram . 1·—
dopuszczalne do 10 kg, za które opłata wynosi . . . . 7·—
Adres przesyłkowy kosztuje . . —·15

Za telegramy w obrębie Rzeczypospolitej polskiej najmniej 10 słów . . . . 2·—
za każde dalsze słowo . . . —·20
Zagranicę najmniej 6 słów:
do Anglii . za każde słowo 2·10
„ Austryi niem . . . . . —·75
„ Belgii . . . . 1·80
„ Czech . . . . —·75
„ Danii . . . . 3·—
„ Francyi . . . . 1·35
„ Holandyi . . . . 2·70
„ Jugosławii . . . . . . —·90
„ Niemiec . . . . —·50
„ Norwegii . . . . 3·—
„ Rumunii . . . . 1·50
„ Szwajcaryi . . . . . . 1·20
„ Szwecyi . . . . 3·15
„ Węgier . . . . —·90
„ Włoch . . . . 1·50
„ Stanów Zjednoczonych . . 10·50
„ Ameryki północnej . . . 18·—
Blankiet telegraficzny kosztuje . —·05

SKALE STEMPLOWE.

Opłata wynosi w Galicyi w koronach, w Król. Pol. w markach:

Skala I. wekslowa				Skala II. na dokumenta				Skala III. na kontrakty			
powyżej	do	Należytość		powyżej	do	Należytość		powyżej	do	Należytość	
—	100	—	10	—	40	—	20	—	20	—	20
100	150	—	20	40	80	—	40	20	40	—	40
150	300	—	40	80	120	—	60	40	60	—	60
300	600	—	80	120	200	1	—	60	100	1	—
600	900	1	20	200	400	2	—	100	200	2	—
900	1200	1	60	400	600	3	—	200	300	3	—
1200	1500	2	—	600	800	4	—	300	400	4	—
1500	1800	2	40	800	1600	8	—	400	800	8	—
1800	2400	3	20	1600	2400	12	—	800	1200	12	—
2400	3000	4	—	2400	3200	16	—	1200	1600	16	—
3000	4500	6	—	3200	4000	20	—	1600	2000	20	—
4500	6000	8	—	4000	4800	24	—	2000	2400	24	—
6000	9000	12	—	4800	6400	32	—	2400	3200	32	—
9000	12000	16	—	6400	8000	40	—	3200	4000	40	—
12000	15000	20	—	8000	9600	48	—	4000	4800	48	—
15000	18000	24	—	9600	11200	56	—	4800	5600	56	—
Za każde dalsze 3000 K o 4 K więcej, licząc kwoty niżej 3000 K za pełne.				Za każde dalsze 1600 K o 8 K więcej licząc kwoty niżej 1600 K za pełne.				Za każde dalsze 800 K o 8 K więcej licząc kwoty niżej 800 K za pełne.			

Skala na rachunki: do 20 K 2 h; od 20 K do 100 K 10 h; od 100 do 1000 K 20 h; ponad 1000 K 60 h lub fenigów.

Na Nowy Rok 1920.

Witaj nam roku wolności i sławy,
Kiedy minęły owe dni upiorne,
Gdyśmy musieli wieść bój długi, krwawy
O nasze życie swobodne i wolne!

Panuj nam roku dziewięćset dwudziesty
I ukuj rany, które jeszcze krwawią....
Przywódź na pamięć sztandarów szelesty,
Niech nas wspomnienia ich uczą i bawią.

Utul w dni swoje tych cierpiących wiele,
Co niezgojonych ran mają zarzewie,
Ulecz cierpiących na duszy i ciele
Z ran, o których świat i ludzkość nie wie!

Popatrz! tam idzie kaleka bez ręki,
A tu znów inny wlecze się o kuli...
Pełne w nich wielkiej, życiowej udręki,
A przecież obaj za wolność walczyli...

Weź ich w opiekę i umil im lata,
Które w kalectwie pędzić im przychodzi;
Wzbudź dla nich litość szerokiego świata
Niechaj im ból ich sercem wynagrodzi!

Popatrz! Tam wdowa! Utraciła męża,
Bezradna z losem twardą walkę toczy....
Odkąd od wrogów mąż poległ oręża,
Z łez jej na chwilę nie schną biedne oczy...

Pociesz ją po tym, który jej był drogim,
Wesprzyj w potrzebie, jaką życie niesie...
Niech jej świat będzie druhem, a nie wrogiem,
Niech pod cierpieniem życiowem nie gnie się.

Tam znów sierota bez matki i ojca:
Oboje padli w wojennej zawiei....
Samo, biedactwo, bez niedoli końca,
A szczęścia zaznać nie ma ni nadziei...

Pociesz ją, Roku, w życiowej rozterce,
Znajdź jej przyjaciół w dni życia bezkresne,
Otwórz biedactwu społeczeństwa serce,
Niech z ócz jej łezki nie płyną bolesne.

Bądź wszystkim, Roku, rokiem wyzwolenia
Z życiowych nieszczęść i zawodów wielu,
Niechaj się rozpacz w dniach twych w szczę-
[ście zmienia
Miej wszystkich szczęście jedynie na celu.

Co to jest Polska i Polacy?

Najdawniejsze osady na ziemiach polskich, sława i potęga Polski, jej upadek i obecne zmartwychwstanie.

Jesteśmy Polakami, żyjemy na ziemi polskiej, przelewaliśmy krew za jej wolność, a jakżeż mało znamy jej przeszłość i wielkie dzieje naszej przepięknej Ojczyzny. I nie nasza w tem wina, że nie znamy tego, cośmy jak nalepiej znać powinni. Byliśmy tyle lat pod jarzmem przemocy, gdzie tłumiono w nas ducha narodowego, gdzie kształcono nas w duchu niepolskim, gdzie zabraniano nam czuć i myśleć po polsku, gdzie starano się wpoić w nas trójlojalizm dla państw zaborczych.

Na takiem podłożu wyrastało nasze wychowanie narodowe, nie dziw też, że jeżeli w niem są luki i to nieraz bardzo znaczne. Ale tembardziej teraz, gdyśmy doczekali się tej upragnionej wolności, gdy można swobodnie czuć, myśleć i mówić, powinniśmy kształcić myśl naszą narodową, wspominać nasze dawne dzieje i tak jeszcze świeżą niewolę, aby tem łatwiej unikać tego, co nas do zguby przywiodło, a czynić to, co nam moc i siłę dawało.

A rozpamiętywań tych nigdy nie może być za dużo, owszem, choćbyśmy co dnia nawet powtarzali dzieje nasze, to zawsze przecież znajdzie się w nich coś nowego, coś nieznanego, co z prawdziwą przyjemnością i pożytkiem odczytamy i w myśli naszej utrwalimy.

W tej myśli postanowiliśmy i naszym Czytelnikom podać garść wspomnień historycznych, które oby były cegiełką w wielkiej budowie narodowego uświadomienia.

Kraina, która do niedawnych dni znajdowała się pod zaborem pruskim, tam, gdzie Warta wije się wśród żyznych pól, gdzie Gniezno i Poznań leżą, przed tysiącem lat osiedlił się naród, zajmujący się uprawą pól, i stąd Polanami, a później Polakami zwany. Kraj zaś, przez lud ten zamieszkały, nazywali sami jego mieszkańcy Polską

i nazwa ta, jako najbardziej odpowiadająca jego charakterowi, do dziś dnia się utrzymała.

Ówcześni Polacy nie znali prawdziwego Boga, lecz czcili wielu bożków, byli więc poganami. Nie umieli ani czytać, ani pisać, dlatego nie spisywali ówczesnych wypadków, to też bardzo mało co o nich wiemy. A że nie pisali o nich i sąsiedzi najbliżsi, najlepszy to dowód, iż nie wchodzili nikomu w drogę, pilnując jedynie swoich bujnych pól, które ich żywiły, co im wystarczało w zupełności. To, co wiemy o Polakach z owych czasów, są to tylko podania, niczem niestwierdzone, a więc mogą być narówni prawdziwe, jak i zmyślone. Otóż podania te powiadają, że pierwszym księciem w Polsce był Lech, który założył miasto Gniezno, że po nim panowali wojewodowie, a następnie Krakus, który zbudował zamek na górze Wawelu i założył miasto Kraków. Dalej piękne podania opowiadają nam o Wandzie, „co to nie chciała mieć za męża Niemca“ i o jej bohaterskiej śmierci w nurtach Wisły, o Leszkach, Popielach i wreszcie o praojcu królów polskich kmieciu Piaście.

Są to podania piękne i znane prawie każdemu, ale nieoparte na pewnikach historycznych, pozostać muszą jedynie pięknymi bajeczkami, a zdarzenia, związane z ich rzekomem życiem, mogły być w rzeczywistości, lub nie być, co jednak w gruncie rzeczy nie wpływa ani dodatnio, ani ujemnie na naszą przeszłość.

To atoli jest pewnem, że w tym pierwszym okresie naszego bytu narodowego, gdzieś w VI. wieku na ziemiach nad Wisłą i Odrą skupiła się pewna grupa drobnych ludów słowiańskich w jeden naród i państwo polskie. Urządzenie tego państwa było patryarchalnem, bo siła, łącząca pojedyncze ludy w jedną całość, polegała na wspólności pochodzenia, na węzłach ścisłego pokrewieństwa; panujący zaś uważał się za ojca jednej wielkiej rodziny i na podstawie tej rodzicielskiej władzy rozkazywał i rządził, nadawał prawa, zaprowadzał kościół, organizował społeczeństwo i państwo. Stosunki takie trwały mniej więcej do czasu, kiedy na Polskę spadły nawały Mongołów, t. j. około połowy XIII. wieku.

Napady Mongołów, Tatarów i Turków, wyniszczyły i wyludniły kraj nad wszelkie pojęcie, zmusiły go szukać nowego punktu oparcia do dalszego rozwoju i życia. Sprowadzono kolonistów niemieckich, zaludniono nimi miasta i mnóstwo wsi opustoszałych, a w ten sposób rozpadło się społeczeństwo polskie, niegdyś tak jednolite, na dwa żywioły: polski i niemiecki, z których jeden od drugiego różnił się odrębnymi prawami i przywilejami i samodzielnie się rządził. Duchowieństwo polskie nie chciało też żadnemu z nich ulegać, oddzieliło się i utworzyło stan trzeci, o własnych siłach stojący. Przyszła z tem wprawdzie korzystna pod niejednym względem

rywalizacya w kraju, ale na jedności i spoistości narodu odbiło się to w znacznej mierze ujemnie. Panujący nie mógł się już teraz za ojca jednej rodziny uważać, nie mógł się w sprawy wewnętrzne każdego z tych trzech stanów mieszać, zostawił im swobodne ręce, a sam pilnował tylko ich zgody, ażeby do groźnej ze sobą nie wystąpiły walki, i strzegł kraju od nieprzyjaciół zewnętrznych. Takim był ustrój państwa polskiego średniowiecznego, aż do końca XV. w.



Żółkiewski pod Cecorą.

Z końcem XV. wieku rozbudziły się w narodzie polskim nowe dążenia. Różnice między stanami zacierały się, żywioł polski zyskał bezwzględną przewagę i dążył do zupełnej jednolitości społeczeństwa. Naród polski po dwuwiekowej pracy doszedł do wielkiej zamożności i oświaty i pragnął wzmocnić władzę rządową, ażeby władza ta mogła mu w dalszej pracy przodować i skutecznem poparciem ją potęgować. Złamano średniowieczne przywileje i urządzono państwo nowożytne, tak zwane prawne. Niestety, urządzenie to nie dało się wykończyć, a tymczasem zapanowały w Polsce nierząd i swawola, które w XVI. wieku złamały i ubezwładniły wszelkie usiłowania dal-

szej reformy i postępu i popchnęły kraj w najstraszniejszy upadek, który przy końcu XVIII. wieku rozbiorami Polski się zakończył.

Już po pierwszym rozbiorze w 1772 roku, w którym Prusy otrzymały Prusy Zachodnie i Warmię, Rosya Białą Ruś po rzekę Dniepr i Dźwinę i Województwo Inflanckie, zaś Austrya z tak zwaną później Galicyę, prócz Krakowa, ocknął się nagle naród Polski i zaczął myśleć o ratowaniu reszty kraju. Komisya edukacyjna zajęła się podniesieniem oświaty w Polsce, a sejm czteroletni uchwalił szereg nowych a dobrych ustaw, które dnia 3 maja 1791 przyjął król i naród. Ale wszystko to nie podobało się Moskalom, gdyż widzieli, że Polska wówczas mogłaby się była podnieść z upadku i nie pozwoliłaby się dalej gnębić swoim ciemiężcom.

Zaczęła się więc nierówna walka: z jednej strony stanęli do boju Moskale i część Polaków, złączonych w tak zwaną konfederacyę targowicką, z drugiej nieliczne wojsko polskie. Do większej bitwy przyszło w czerwcu 1792 r. pod Zielińcami i pod Dubienką, w której odznaczył się Tadeusz Kościuszko. Król ucieszył się z wygranej, ale lękając się carowej, przystąpił do Targowicy. Wskutek tego rozwiązano część armii, zniesiono Konstytucyę, a Rosya zabrała Ukrainę, Podole, część Wołynia i resztę Biało Rusi, zaś Prusy Wielkopolskę, Kujawy i część Mazowsza.

Tymczasem patryoci, którzy gorąco miłowali swoją nieszczęśliwą ojczyznę, w cichości gotowali się do zbrojnego powstania, aby raz położyć kres panoszeniu się najeźdźców na polskiej ziemi. Na naczelnika powołano byłego jenerała, Tadeusza Kościuszkę, bawiącego wówczas w Saksonii. Kościuszko, przybywszy do Polski, dnia 24 marca 1794 r. złożył na rynku krakowskim przysięgę, że dopóty nie spocznie, póki wroga nie wypędzi z Polski, wezwał pod broń szlachtę, mieszczan i chłopów i wyruszył na Moskali. Przyszło do wiekopomnej bitwy pod Racławicami w dniu 4 kwietnia, w której taką chwałą okryli się chłopi polscy pod przewodem Wojciecha Bartosa. Równocześnie wybuchło powstanie w Warszawie, z której wypędzono wojska moskiewskie. Wsławił się tam szewc, Jan Kiliński. Podobnie oczyszczono z wrogów Wilno, stolicę Litwy. Dnia 6 czerwca zwyciężył Kościuszko Rosyan pod Szczekocinami.

Ale i nieprzyjaciele nie tracili czasu. Prusacy oblęgli Warszawę, ale nie mogąc jej zdobyć, cofnęli się do Wielkopolski, w której walczyli jenerałowie: Henryk Dąbrowski, Wybicki, i książę Józef Poniatowski.

Tymczasem Moskale rzucili dwie wielkie armie pod Warszawę. Wyruszył przeciw nim Kościuszko. Dnia 10 października przyszło do zażartej bitwy pod Maciejowicami, gdzie, pomimo przewagi rosyjskiej, byłby niechybnie zwyciężył, gdyby nie jenerał Poniński, który

spóźnił się z posiłkami. Kościuszko, pod którym trzy konie ubito, został ciężko ranny i wzięty do niewoli. Następnie Moskale zdobyli przedmieście Warszawy, Pragę, poczem 8 listopada poddała się stolica. Z upadkiem Warszawy skończyło się powstanie Kościuszkowskie, a wkrótce (1795 r.) nastąpił trzeci rozbiór Polski, w którym Rosya zabrała Litwę i resztę Wołynia, Prusy zajęły ziemie na zachód od Pilicy, Bugu i Niemna z Warszawą; Austryi dostał się Kraków i kraj



Atak kosynierów na armaty ros. pod Racławicami.

między Pilicą a Bugiem. Król, Stanisław Poniatowski, złożył koronę i wyjechał do Petersburga, gdzie w 1798 r. umarł. Polska przestała istnieć jako niezależne państwo.

W dwa lata po upadku Polski powstały na ziemi włoskiej Legiony polskie pod dowództwem jenerałów Henryka Dąbrowskiego i Kniaziewicza. Pułki te, złożone ze starych wiarusów z czasów konfederacyi barskiej oraz z młodych żołnierzy, rekrutujących się z pośród szlachty i chłopów, były na żołdzie i na usługach Napoleona sławnego cesarza francuskiego, a walczyły przeciw Austryi, Rosyi i Prusom razem z wojskami napoleońskimi, a biły się także w Egipcie i w Ameryce na wyspie San Domingo. Legiony walczyły po stronie

francuskiej w tej nadziei, że Napoleon pomoże Polakom odbudować ich ojczyznę.

Jakoż nadzieje ich poczęły się ziszczać. Kiedy bowiem Napoleon pobił Prusaków pod Jeną (1806 r.), w których posiadaniu były Wielkopolska i Warszawa, wtedy i Polacy na wezwanie Henryka Dąbrowskiego ruszyli się i wypędzili z granic swych nieprzyjaciela, a połączyli się z cesarzem. Napoleon z części ziem polskich, odebranych Prusom i Rosyi, utworzył w roku 1807 Księstwo Warszawskie, a księciem tego kraiku zrobił króla saskiego, Fryderyka Augusta.

W tym czasie Austrya przygotowywała się do wojny z Napoleonem. Przedewszystkiem więc postanowiła uderzyć na Księstwo Warszawskie, które wspierało cesarza. Ale książę Józef Poniatowski pobił Austryaków pod Raszynem (1809 r.), a wkroczywszy do Galicyi, zajął Lwów, a następnie Kraków.

Sukcesy oręża polskiego i tak szybkie rozszerzanie granic Księstwa zaniepokoiło mocno cara. Najpierw więc sutymi obietnicami starał się pozyskać dla siebie księcia, a gdy to nie pomogło, postanowił uderzyć na Polskę i Francyę. Napoleon jednak uprzedził go i już z wiosną 1812 roku wkroczył przez Polskę i Litwę do Rosyi i podążył wprost na jej stolicę, Moskwę.

Początkowo wszystko szło dobrze. Książę Józef Poniatowski na czele Polaków zdobył Smoleńsk, wprawiając Francuzów w podziw męstwem swych żołnierzy. Napoleon podążył teraz bez większej przeszkody i dotarł aż pod mury Moskwy, gdzie pokonawszy słabsze siły nieprzyjacielskie, wkroczył do stolicy państwa. Moskale, opuszczając miasto, podpalili je, a pożar zniszczył prawie połowę Moskwy i resztę zapasów żywności, których nieprzyjaciel nie zdołał już z sobą zabrać. Brak żywności i ostre mrozy, od których żołnierze francuscy ginęli masami, zmusiły Napoleona do zarządzenia odwrotu, który stał się grobem armii francuskiej. Wyginęła prawie cała armia Napoleona bądź to od głodu i mrozu, bądź to od oręża nieprzyjacielskiego. Tysiące ofiar pochłonęły fale rzeki Berezyny, przez którą przechodzono. Z wielkiej i walecznej półmilionowej armii zostało tylko kilkadziesiąt tysięcy francuskich i polskich niedobitków. Sam Napoleon tylko z trudem w przebraniu zdołał ujść z pogromu.

Jeszcze raz Napoleon próbował szczęścia; zebrał nową armię i wyruszył do Prus. Pod miastem Lipskiem w Saksonii przyszło do trzydniowej bitwy, w której z jednej strony walczyły trzy mocarstwa: Austrya, Prusy i Rosya, a z drugiej Francuzi z garstką Polaków pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego. Napoleon przegrał bitwę, a ks. Poniatowski, wytrwawszy do końca na polu walki, ranny, zginął w rzece Elsterze. Później, kiedy wojska nieprzyjacielskie zajęły Paryż, stolicę Francyi, Napoleon został ujęty i wywieziony na

wyspę Elbę, a następnie na wyspę św. Heleny, gdzie umarł w r. 1821. Z upadkiem Napoleona prysły nadzieje na odbudowanie Polski.

W roku 1815 zebrał się w Wiedniu kongres, który miał za zadanie ukształtowanie na nowo mapy Europy, zmienionej przez Napoleona. Między innymi na kongresie tym z części Księstwa Warszawskiego utworzono Królestwo Polskie Kongresowe, zwane krótko Kongresówką, a królem tego małego kraiku został car rosyjski, Aleksander I. Część Wielkopolski z Poznaniem oddano Prusakom, a z Krakowa z okręgiem utworzono Rzeczpospolitą krakowską, która przetrwała do roku 1846. Nowe Królestwo Polskie otrzymało własne wojsko, którego wodzem został brat carski, wielki książę Konstanty. Książę ten był człowiekiem nielubianym, bo nie szanował praw polskich, a stąd zaczęły się tworzyć w kraju spiski przeciw Rosyi, które wkońcu doprowadziły do zbrojnego powstania narodu.

Stało się to dnia 29. listopada 1830 roku. Rozpoczęli je wychowankowie szkoły wojskowej w Warszawie, którzy pierwsi z bronią w ręku rzucili się na pałac wielkiego księcia Konstantego. Wkrótce przyszło do rozruchów w całej Polsce i Litwie. Rząd narodowy, wybrany w Warszawie, mianował naczelnym wodzem jenerała Chłopickiego, który mimo swej waleczności nie nadawał się na wodza, gdyż już z góry nie wierzył w powodzenie powstania.

Armia polska liczyła wówczas około 30 tysięcy żołnierzy, a nadto przybywali licznie ochotnicy. Na wiadomość o powstaniu wyruszyło 130 tysięcy Moskali do Królestwa. Do pierwszej potyczki przyszło pod Dobrem, gdzie dowodził jenerał Skrzynecki; pod Wawrem pobili Moskali jenerałowie Krukowiecki, Szembek i Żymirski, zaś pod Stoczkiem przyszło do większej bitwy, w której okrył się chwałą jenerał Dwernicki. Do największych należała bitwa pod Grochowem (24 lutego 1831), trwająca trzy dni, w której ze 130 tysiecy walczących Moskali poległo 30 tysięcy, podczas gdy Polaków poległo niespełna 9 tysięcy. Wódz naczelny, Chłopicki, został ranny, a dowództwo po nim objął jenerał Skrzynecki.

Po bitwie grochowskiej przyszło do zawieszenia broni, które jednak nie trwało długo, gdyż z dniem 1. kwietnia wybuchło powstanie na nowo. Pobito Moskali pod wsią Wielkie Dęby, pod Domanicami i Iganiami, lecz odtąd zaczęło się niepowodzenie powstania.

Na wiosnę wybuchło powstanie na Litwie, gdzie z powodu słabych sił walczono małymi oddziałami po lasach, a jednym takim oddziałem dowodziła kobieta, Emilia Platerówna. Dopiero później przybył na pomoc Litwie jenerał Chłapowski, który wspólnie z Dębińskim i Giełgudem uderzył na Wilno, lecz go nie zdobył, a co gorsza musiał się cofnąć z wojskiem do Prus, gdzie został rozbrojony.

Nie powiodło się naszym również na Wołyniu i Podolu. Na

ziemiach ruskich podobnie jak na Litwie, wybuchło powstanie. Jenerał Dwernicki pobił Moskali pod Boremlem 19. kwietnia 1831 r., ale niedługo potem, ścigany przez większe siły nieprzyjacielskie, przeszedł do Galicyi, gdzie został rozbrojony przez Austryaków i osadzony w więzieniu.

Nieszczęście nie chodzi nigdy samo. Do Królestwa wkroczyli Moskale z wielką siłą i pod Ostrołęką, niedaleko Warszawy, pobili jenerała Skrzyneckiego, który utracił 8 tysięcy ludzi. Polacy upadli na duchu, zwątpili w zwycięstwo. Najwyższą władzę objął jenerał Krukowiecki, który doprowadził powstanie do upadku. Dnia 6. września Moskale oblegli Warszawę, której dzielnie bronił jenerał Sowiński, lecz już 8. września Krukowiecki podpisał kapitulacyę i oddał miasto w ręce nieprzyjaciela. Załoga miasta wyszła z bronią z Warszawy i udała się częścią do Prus, częścią do Galicyi, gdzie została rozbrojona.

Powstanie nie powiodło się, bo nie było wodza, któryby dorósł do tak wielkiego zadania, a co najważniejsze brakło w narodzie zapału, gdyż lud wiejski nie rozumiał jeszcze wówczas znaczenia własnej ojczyzny, wskutek czego poza znikomymi wyjątkami nie brał udziału w powstaniu. Inaczejby było, gdy lud polski posiadał był taką oświatę przynajmniej, jaką dziś posiada.

Skutki powstania były dla Polaków wprost straszne. Car Mikołaj I. zniósł w Królestwie konstytucyę, zabrał majątki tym, którzy brali udział w powstaniu, zniósł wojsko polskie, urzędy obsadził Moskalami, a tysiące Polaków skazano na śmierć, dziesiątki tysięcy pognano na Syberyę. Ocalał tylko ten, kto ratował się ucieczką poza granice Polski. Szczególniej Francya dała wielu emigrantom gościnny przytułek.

Królestwo zostało ogołocone z najlepszych synów Polski, to też kaci nasi mogli być pewni spokoju przez czas dłuższy. I byli spokojni. Inaczej jednak miała się rzecz w Galicyi; tu bądź co bądź pozostała większa ilość szlachty, która wówczas prawie wyłącznie była uświadomiona narodowo, tu była większa ilość inteligencyi polskiej, pochodzącej z pod strzechy wieśniaczej.

Ci zaczęli organizować potajemnie społeczeństwo polskie, aby było gotowe na każde zawołanie. Najbardziej czynnymi byli Teofil Wiśniowski i Kapuściński. Dowiedział się o wszystkim rząd austryacki i postąpił w sposób, na jaki nie zdobył się nikt dotychczas, w sposób ohydny, podły, przynoszący na wieki hańbę imieniowi Austryi. I jeżeli dziś tak srogo odpokutowuje swoją przeszłość, to niechajże to będzie słuszną karą za jej straszną zbrodnię. Oto rząd austryacki za pośrednictwem z czci wyzutego chłopa Szeli podburzył włościan przeciw szlachcie i inteligencyi, często z ludu pochodzącej,

a ci, podpojeni wódką, rzucili się na „panów“ i w lutym 1846 sprawili okrutną rzeź w Galicyi. Do powstania nie przyszło, rząd austryacki osiągnął cel zamierzony.

W Królestwie tymczasem dorastało młode pokolenie, któremu za wzór służyły czyny ojców jego. Po chwilowym spokoju, już w 1860 roku zaczęli Polacy w Warszawie urządzać manifestacye narodowe, ażeby zaświadczyć przed światem, że „jeszcze Polska nie zginęła“. Pierwsza taka manifestacya odbyła się w czerwcu 1860 r. w dzień pogrzebu wdowy po jenerale Sowińskim, a później co pewien czas inne, przeciw czemu znów Moskale poczęli występować z represyami. Najstraszniejszą masakrę urządzili dnia 8. kwietnia podczas pogrzebu Sybiraka Stobnickiego, kiedyto wojsko rosyjskie wymordowało 500 bezbronnych Polaków. W rocznicę śmierci Tadeusza Kościuszki, dnia 15. października, Moskale wpadli do kościoła, wyciągali stamtąd zgromadzonych i osadzali bez żadnej winy w więzieniach.

Wobec takich gwałtów lud warszawski postanowił się zemścić na swoich katach i jął się potajemnie przygotowywać do powstania. Dowiedzieli się o tem Moskale i zarządzili wśród młodzieży przymusową brankę do wojska rosyjskiego. To przyspieszyło powstanie, które wybuchło dnia 22. stycznia 1863 roku. Przestrzegano młodzież przed nierówną walką, ale powstańcy odpowiadali: „Mało nas jest, aby zwyciężyć, ale dość, aby umrzeć za Ojczyznę“.

Jakoż do boju stanęło na początku powstania zaledwie 10 tysięcy, przeważnie nieuzbrojonej młodzieży, i zaczęło walkę partyzancką. Ruch wojenny objął wkrótce całe Królestwo, Litwę i Żmudź, ale Polacy walczyli w nadzwyczaj trudnych warunkach, bo nie mieli ani wojska, ani broni, ani pieniędzy, a państwa inne przyjść im z pomocą nie chciały. Mimo to potrafili wytrwać przez półtora roku, podczas czego stoczyli przeszło tysiąc bitew większych i mniejszych, niejednokrotnie zwyciezkich, a zawsze bohaterskich.

Po upadku powstania znów setki skazano na śmierć męczeńską, tysiące na wygnanie na Sybir, zaczęły się konfiskaty majątków, najokrutniejsze prześladowania wszystkiego, co polskie, i taki stan trwał aż do wybuchu wielkiej wojny, która nam przyniosła nareszcie wyzwolenie z ciężkiej niewoli.

W takich stosunkach najdzielniejsi synowie Ojczyzny pracowali nad przygotowaniem rodaków do wielkiej chwili dziejowej, a najznakomitszym z tych pracowników był Józef Piłsudski.

Pierwszy Naczelnik wolnej i zjednoczonej Polski
Józef Piłsudski.
Jego życie, czyny i walka o niepodległość Polski.

Wprawdzie w dziejach naszych mieliśmy już raz Naczelnika narodu polskiego, Tadeusza Kościuszkę, ale były, to przecież czasy tak odmienne od obecnych, tak różne pod każdym względem. Wszak wówczas Polska miała jeszcze przynajmniej pozór niepodległości, posiadała własnego monarchę i jaki taki rząd. Tadeusz Kościuszko stanął na czele gotowych, choć nielicznych wojsk, był już przedtem jenerałem i miał za sobą sławę i doświadczenie wojenne. Natomiast Józef Piłsudski wszystko, co zdziałał, do czego doprowadził i czem został, zawdzięczać może jedynie swojej mrówczej pracy i tej litewskiej upartości, jakiej tylekroć mieliśmy przykład w ostatnich latach.

Porównanie powyższe przeprowadziliśmy nie dlatego, aby stawiać Piłsudskiego wyżej ponad Kościuszkę, lub odwrotnie, boć czasy Kościuszkowskie tak inne były od obecnych, że porównanie takie jest wprost niemożliwe, ale przedstawieniem tych dwóch wielkich postaci chcemy wykazać różnicę, jaka panowała w 1794 r., a w r. 1914. Na tem tle zarysuje się nam wyraźniej postać pierwszego Naczelnika wolnej i zjednoczonej Polski.

Józef Piłsudski urodził się w listopadzie 1867 roku w Zułowie, na Litwie, rodowym majątku Michałowskich, który drogą spadku dostał się Maryi Piłsudskiej z domu Bilewiczównie, matce Naczelnika. Tu upłynęło jego dzieciństwo wśród licznego rodzeństwa, miał bowiem pięciu braci i cztery siostry, tu słuchał dawnych opowieści i legend o strasznym ucisku swych nieszczęśliwych braci, a słuchając, bolał nad cierpieniami Polski, a młody umysł roił plany, zapomocą których możnaby zwalczyć wrogiego najezdźcę i wypędzić go z rodzinnej ziemi. Ale nie sam Piłsudski marzył o tem; takich marzycieli było od lat wielu liczba wielka, lecz marzenia ich pozostawały marzeniami, bo z latami brał górę realizm życia i marzenia odsuwał na plan dalszy.

Los życiem „Ziutka“, jak go powszechnie zwano, pokierował inaczej. Wielka fortuna Piłsudskich, oparta na wielkich przedsiębiorstwach, chwiać się poczęła, dobił ją wielki pożar, który w r. 1874 zniszczył w ciągu paru godzin wszystko, co posiadali. Piłsudscy z ludzi bogatych stają się nagle średnio zamożną szlachtą, przenoszą się na mieszkanie do Wilna, gdzie oddają synów do rządowego gimnazyum rosyjskiego na naukę. Tu poraz pierwszy przyszły bohater spotyka się oko w oko z swoim krzywdzicielem. Szkoła rosyjska i jej system gnie i miażdży dusze młodzieży, starając się z nich wyplenić wszystko, co wzniosłe i szlachetne, a zaszczepić w nie lęk i posłuszeństwo niewolników. Ale postępowanie to wypaczyło tylko nieliczne jednostki, w innych wytwarzało hart ducha i moc woli, których już nic w przyszłości zmienić nie potrafiło.

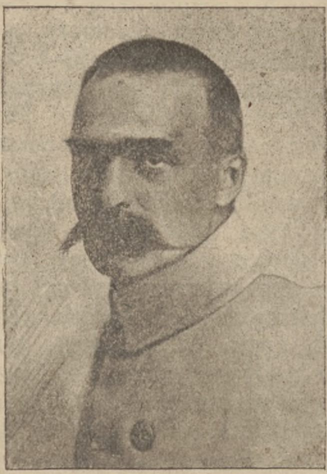
Następstwem takiego postępowania Moskali była w klasach niższych „krnąbrność“ wśród uczniów-Polaków, która w klasach wyższych przeradza się w tajne spiskowanie, dyskusye o patryotyzmie i o socyaliźmie, tej ucieczce wszystkich niezadowolonych i pokrzywdzonych, którego teorye są najczęściej tylko złudą i mrzonką. W takiej atmosferze hartował się i mężniał charakter Piłsudskiego. Tak przygotowany do życia politycznego, po ukończeniu gimnazyum, udał się na wydział medyczny do Charkowa, gdzie po raz pierwszy wziął udział w rozruchach studenckich. Wydalony za to ze szkoły, powrócił do Wilna, gdzie rzucił się w wir pracy rewolucyjnej.

Za współudział w organizowaniu zamachu na cara Aleksandra III. został aresztowany i skazany na pięć lat na Sybir. Przejścia w podróży, podczas której za protest, podniesiony w obronie haniebnie przez Moskali obrażonej Polki, został wraz z innymi okrutnie zbity i sponiewierany, osłabiły jego organizm i nabawiły go choroby płucnej. Wskutek tego przeniesiono go do południowej Syberyi.

Wiadomo, że wszelkie cierpienia, ponoszone za przewinienia polityczne, wzmagają jedynie zaciętość u skazanych, a często nawet z przeciętnych jednostek wyrabiają ludzi mężnych, a z wybranych czynią bohaterów. To też i w Piłsudskim pobyt jego na Syberyi nie zdołał przyćmić uczuć, jakie się w nim wytworzyły w ojczyźnie, ale owszem spotęgował je i utrwalił. Na wygnaniu skrystalizowała się w jego umyśle idea wyzwolenia i niepodległości Ojczyzny. Jej też postanowił poświęcić życie po powrocie do kraju. Dużo czytał po rosyjsku i uważnie słuchał, co się w koło niego mówiło, a wskutek tego poznał dokładnie Rosyę i ducha jej ludu.

Gdy w 1892 r. wrócił do Wilna, był już zupełnie politycznie wyrobionym człowiekiem. Przystąpił natychmiast do pracy organiza-

cyjnej i stał się jednym z założycieli ruchu rewolucyjno-narodowego, kierowanego wówczas przez Polską Partyę Socyalistyczną. Owocem tej pracy, popieranej przez liczne jednostki z pośród patryotycznych kół polskich, było wyszkolenie kilku tysięcy szeregowców, około stu oficerów i kilkudziesięciu podoficerów, którzy wrazie zbrojnego ruchu narodowego mogli natychmiast wziąć udział w walce. Aż przyszła wreszcie tak długo przez niego oczekiwana chwila; zbliżały się czasy, brzemienne w wypadki! Piłsudski, gdzie tylko mógł, zapomocą pism i słowa szerzył myśl, iż czas przejść od marzeń do wolności, do stworzenia sił i organizacyj, mogących podjąć o nią walkę. I poczęła się cicha robota, szczególniej pod zaborem austryackim



Naczelnik Józef Piłsudski.

Prędzej, niż się spodziewano, zastukała wojna do wrót europejskich. Piłsudski postanowił natychmiast przeszkodzić mobilizacyi w Królestwie Polskiem, aby największy wróg naszej ojczyzny jak najmniej sił mógł zebrać do przyszłych bojów, dla nas zaś, aby zostało jak najwięcej sił niezużytych. To było jego programem na wypadek wojny z Rosyą i program ten postanowił zrealizować. Zaraz w pierwszych dniach wojny, bo 3. sierpnia przyszło do porozumienia z „Drużynami Strzeleckimi“, a 6. sierpnia pierwsza kompania przeszła granicę Królestwa Polskiego i na drugi dzień po małej utarczce zajęła Miechów. Dnia 8. sierpnia zostaje ona wzmocniona przez kompanie II. i III., zajmuje Jędrzejów i 13. w sile 340 ludzi maszeruje na Kielce, które obejmuje w swoje posiadanie.

Siły polskie zostają tam jednak otoczone przez dwie dywizye wojska rosyjskiego pod dowództwem jenerała Nowikowa, który ogniem armatnim zmusza je do odwrotu. Odwrót ten pod dowództwem podpułkownika Sosnkowskiego odbywa się w tak groźnej postawie i w takim porządku, że dziesięćkroć liczniejszy nieprzyjaciel nie śmie przystąpić do ataku. W drodze pod Chęcinami Sosnkowski spotyka się ze spieszącym mu na pomoc batalionem strzelców, a nad połączonymi siłami obejmuje dowództwo Piłsudski osobiście i dnia 14. o świcie, na wzgórzach, panujących nad drogą do Jędrzejowa, rozbija Rosyan, którzy maszerowali na to miasto, aby je spalić za przy-

chylne zachowanie się wobec wojska polskiego. Dnia 15. sierpnia, obszedłszy prawe skrzydło Rosyan, strzelcy zajęli poraz drugi Kielce i umocnili się tam na czas dłuższy.

Społeczeństwo polskie oceniło należycie ten pierwszy poryw Piłsudskiego i postanowiło przyjść jego akcyi z pomocą. Dnia 16. sierpnia zapada w Krakowie uchwała, postanawiająca formowanie Legionów polskich i odtąd Piłsudski ma oparcie wśród prawie całego narodu polskiego, szczególniej w byłym zaborze austryackim.

Nie tu miejsce rozpatrywać bohaterskie czyny żołnierza polskiego i zasługi jego wodza na polach walki, gdyż na to ramy małego artykułu za szczupłe. Krzywopłoty, Łowczówek, Dęblin i tyle innych zwycięskich bitew zostały już wielokrotnie z drobnymi szczegółami opisane, a opisy te jeszcze historya uzupełni i bohaterstwo wodza i żołnierza polskiego uwypukli i uzupełni. Nam wystarczy stwierdzić, że tu począwszy od wodza samego, a skończywszy na ostatnim szeregowcu, każdy był bohaterem godnym, aby mu naród stawiał pomniki.

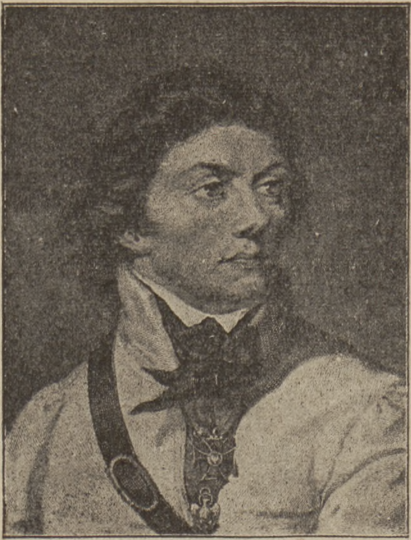
„Piłsudczycy“, jak również później zorganizowana Brygada karpacka przeszli wiele, zdziałali wiele, aż za swe bohaterskie czyny doczekali się Szczypiórny, Benjaminowa i Marmarosz-Szigeth! I zdawało się, że wszystko przepadło dla Polski. Najlepsi jej synowie zapełnili więzienia, lub ginęli nad Piawą za obcą sprawę, a Polska za czyny jej synów otrzymała pokój brzeski. Przedarcie się Hallera przez front wschodni zdawało się pogarszać jedynie sprawę. Była obawa, że reszta bohaterów pójdzie na zatracenie, z którego jej nic nie uratuje.

Stało się jednak inaczej. Buta krzyżacka pękła pod naporem koalicyi, pięść pruska wyprostowała się do prośby o pokój. Zmieniło się wszystko na widowni wojennej, a dla Polski zabłysła jaśniejsza przyszłość. Polacy najpierw w Galicyi, później w Królestwie zrzucają ciężkie jarzmo niewoli. Wypadki następują szybko, a pod ich wpływem Piłsudski zostaje uwolniony z pruskiego więzienia i przybywa do Warszawy. Rada regencyjna oddaje władzę w jego ręce i ten, który pierwszy stworzył z niczego armię polską, staje na czele odbudowy Ojczyzny.

Na drodze owej napotyka zaledwie znikomą garść swoich sympatyków, socyalistów, większość spogląda na niego, jeżeli nie wprost niechętnie, to przynajmniej obojętnie. Czyni to nie dlatego, aby nie uznawała jego olbrzymich zasług dla Ojczyzny, lecz z obawy, że on, stanąwszy silnie przy jednej partyi, i to tembardziej radykalnej, działalność swoją rozwinie przeciw programom większości narodu. Pierwsze miesiące jego rządów zdawały się usprawiedliwiać te obawy, zwłaszcza gdy powołał do rządu gabinet partyjny Andrzeja Mora-

czewskiego, z którego, prócz socyalistów, nikt w Polsce nie był zadowolony. Piłsudski, przekonawszy się jednak, że wbrew woli olbrzymiej większości narodu rządzić się nie da, nie obstawał przy rządach socyalistycznych, ale powołał do steru państwem ludzi bezpartyjnych, aby ci mogli budować to, co było do zbudowania.

Przedewszystkiem sejm, ten sejm, któryby był wyrazicielem woli narodu. Wybory, pomimo nieuregulowanych stosunków, nietylko w Polsce, ale w całym świecie, odbywały się nadzwyczaj spokojnie. Wybrani posłowie zjechali się w Warszawie i poczęli radzić nad odbudową Ojczyzny. A choć ich uchwały nie zawsze były takie, jakichby sobie życzyć należało, to nic w tem dziwnego, bo większości brakło wyrobienia politycznego, a nieraz i zwykłego szerszego wykształcenia, którego nie można było nabyć w ciężkiej niewoli. I to, co mogłoby być niekorzystnem w przyszłości dla Polski, da się później jeszcze odrobić, gdy reprezentacyę naszą będą tworzyli ludzie, którzy nabiorą więcej doświadczenia życiowego.



Tadeusz Kościuszko.

Może być, że na pośpiech w niejędnym kierunku wpływała także szalejąca jeszcze wojna z Ukraińcami i bolszewikami na wschodzie.

Piłsudskiemu i tu nie oszczędzono niejednej przykrej pigułki. Zarzucano mu, że gdy Lwów ginął prawie pod nożami hajdamackimi, on nie udzielił mu na czas pomocy. Zwolennicy Naczelnika twierdzili, że stało się to z powodu braku sił. Uciszyło się trochę, ale gdy wkrótce rzucił dwie dywizye na odsiecz Wilna, zawrzało znowu, bo powiedziano, że dla obrony Wilna znalazł wojska, których mu brakło na oswobodzenie Lwowa. Piłsudski jednem słowem mógł albo zbić zarzuty, jeżeli były niesłuszne, lub usprawiedliwić się, jeżeli błąd popełnił. Nie uczynił tego, gdyż miał zapewne plan swój własny, według którego postępował.

A że tak być musiało, najlepszy dowód w jego manifeście do

mieszkańców Litwy po oswobodzeniu Wilna. Sejm uchwalił był żądanie, aby wszystkie obszary Litwy i Biało Rusi, zamieszkałe przez Polaków, zostały przyłączone do Polski. Piłsudski stanął wbrew uchwale sejmu na innem stanowisku, i w ogłoszonym manifeście oznajmił, że mieszkańcy Litwy i Biało Rusi sami rozstrzygną o swej przyszłości. Chwilowo zawrzało wśród narodu, ale wkrótce nawet ci, którzy najbardziej krzyczeli, przekonali się, że w owej chwili jedynie takie postawienie kwestyi przyszłości tych ziem mogło je uratować dla Polski.

Czyny i działalność pierwszego Naczelnika wolnej i zjednoczonej Polski na polu jej odbudowy osądzi i należycie oceni dopiero historya; dziś względy partyjne utrudniają sąd objektywny i zamącają bezstronne omawianie tej sprawy. To jedno atoli już dziś stwierdzić należy, że Piłsudski wszelkie swoje siły oddał bez zastrzeżeń na usługi Ojczyzny, a gdyby nawet w szczegółach swej działalności pobłądził, to któż z nas jest nieomylny?...

Z WIOSNĄ.

Zasiał zboże na roli o wiośnie
I spogląda w dal ciemną nieśmiało,
Czy też ono w łan szumny wyrośnie?
Dziś spełnionych nadziei tak mało...

I wsłuchuje się w wichru poszumy,
Czy nie spłynie wieść jaka z oddali?
Nic nie mąci grobowej zadumy,
Tylko wicher się skarży i żali.

Wiele czyha na plony demonów,
Co krwawicę mozolną rozwieją;
Do zielonych się wedrą zagonów.
O! Już wtedy — żegnaj się z nadzieją!

Bo spienione fal rzecznych odmęty
Ławą żwiru zasypią ci łany.
W dal uniosą kłos ziarnem nadęty
I cóż poczniesz bezradny, złamany?

Więc zadumał się stary niezmiernie;
Łza spłynęła po licu brzemienna,
Że to życie — to głogi i ciernie,
Dola ciężka — bezwzględna i zmienna.

J. JARMUŁA.

Bogactwa i skarby naszej ziemi.

Polska! jakież to słowo piękne i ileż myśli rodzi w duszy każdego Polaka. A mimo to jakżeż ona mało nam jest znaną. Wszystkie trzy państwa zaborcze wszystkie swe wysiłki kierowały w tym kierunku, abyśmy tę naszą drogą Ojczyznę jak najmniej znali, a przez to, abyśmy jej nie mogli tak kochać, jak na to zasługuje. To też jeszcze i dziś można znaleźć Polaków, nawet z uniwersyteckiem wykształceniem, którzy lepiej znają Francyę, Włochy, Anglię lub Amerykę, nie mówiąc już o państwach, do którecheśmy z konieczności należeli, aniżeli Polskę, którą przedewszystkiem znać byli powinni. A cóż dopiero mówić o braci wieśniaczej, której nie miał kto opowiedzieć o tej naszej ziemicy ukochanej, bo nauka w szkołach ludowych była tak obwarowana przez państwa zaborcze, aby z niej jak najmniej uświadomienia narodowego mogło przedostać się do duszy polskiej.

Dla tych, którzyby pragnęli choć pobieżnie poznać tę macierz naszą, postanowiliśmy pokrótce przedstawić to, co mamy obecnie na naszą niepodzielną własność. Szkic to będzie zbyt krótki, ale niechże on zachęci każdego do szczegółowszego zaznajomienia się z Ojczyzną naszą, bo rzeczywiście jest się z czem zapoznać.

Dziś, kiedy jeszcze granice Polski nie są ustalone, trudno o Polsce mówić, jako o całości zamkniętej. Kresy nasze, które przed rozbiorami należały do Polski, a z których przynajmniej znaczna część i w przyszłości do niej należeć będzie, pozostawimy w półcieniu, całą naszą uwagę skierowując ku tym okolicom, gdzie w zwartej masie mieszka ludność Polska.

Nie mogąc narazie oznaczyć ściśle przyszłych granic Polski, dziś tylko zaznaczyć należy, że Ojczyzna nasza rozciąga się między morzem Bałtyckiem a Karpatami, a że nie jest, prócz południa, ograniczona żadnymi górami, może wpływy swoje rozszerzać we wszystkich kierunkach i tak się też działo od najdawniejszych wieków. Ale

z drugiej strony i najazd na jej ziemie jest nadzwyczaj ułatwiony, toteż od najdawniejszych wieków była terenem wielkich walk i najazdów, a i w czasie ostatniej wojny krwawy pług przeorał ją kilkakrotnie wzdłuż i wszerz.

Na widownię dziejową wystąpiła Polska w dziesiątym wieku, jako państewko małe, prawie nikomu nieznane, a zawiązkiem jej był kraj nad Wartą i Notecią. Pod panowaniem rodzimej dynastyi Piastów rozszerzyła swe panowanie aż po Odrę, a później po zatokę Ryską i Dniepr, a były czasy, że dochodziła na południu aż do morza Czarnego. Polska przed pierwszym rozbiorem obejmowała 756 tysięcy kilometrów kwadratowych, z których 300 tysięcy zamieszkiwali Polacy, na innych zaś obszarach byli gęsto pomięszani z innymi narodami.

Polskę od południa ku północy przecina rzeka Wisła, do której spływają rzeki Małopolski, Mazowsza i Kujaw. Na północy od tych krain leżą Prusy Królewskie, zamieszkałe przeważnie przez Polaków, Prusy Książęce, czyli Wschodnie, w których południowych powiatach mieszkają Mazurzy-protestanci, a dalej Litwa ze Żmudzią, gdzie znów południowe okolice wraz z Wilnem zamieszkują Polacy, północne natomiast Litwini. Od wschodu zaś są: Białoruś z ludnością bardzo zbliżoną językowo do polskiej, Podlasie, w większości swej polskie, Polesie, Wołyń, Podole i Ukraina, gdzie ludność polska pomięszana jest z ludnością ruską, a choć jej jest mniej, to przecież kulturą góruje nad większością. Na południu, poza Karpatami, leżą niewielkie krainy, zamieszkałe wyłącznie przez Polaków: Spisz i Orawa, oraz powiat Czaczański, które przed wojną należały do Węgier. Od zachodu znajduje się Śląsk Cieszyński, na którym obok ludności polskiej jest pewna ilość Niemców i Czechów, a dalej Śląsk Górny, gdzie większość stanowią Polacy, zaś mniejszość Niemcy i wreszcie Wielkopolska, kolebka narodu polskiego, którą Niemcy w czasie swych rządów, przeszło stuletnich starali się wynarodowić.

Polska jest niżem, wzniesionym przeciętnie na 170 metrów nad poziom morza, a tylko tu i ówdzie podnosi się w wyżyny, przechodząc jedynie na południu w góry Karpaty i Tatry.

Klimat na tych rozległych obszarach jest urozmaicony; na zachodzie, dzięki bliskości morza jest łagodniejszy, na wschodzie ostrzejszy, więcej stepowy.

W chwili rozbiorów liczyła Polska około 15 milionów mieszkańców, dziś na tych samych obszarach mieszka przeszło 60 milionów ludzi, czyli w tym czasie powiększyła się czterokrotnie. Rozmieszczenie ludności na tych przestrzeniach nie jest jednak jednakowe, bo gdy przeciętnie na 1 kilometr wypada 70 mieszkańców, to w rzeczywistości na Śląsku Cieszyńskim mieszka ich 199, w Galicyi 102,

w Królestwie Polskiem 98, na Górnym Śląsku 167, w Poznańskiem 72, w Prusach Zachodnich 67, na Rusi 75, zaś na Litwie i Białorusi tylko 42. Ale i na tych obszarach ludność niejednakowo jest rozmieszczona: w miastach skupia się jej więcej na wsiach mniej. Wprawdzie nie posiadamy tak wielkich miast, jak inne kraje, ale przecież i w Polsce są miasta, liczące po kilkaset tysięcy ludności, a Warszawa wraz z przedmieściami dochodzi nawet do miliona stu tysięcy mieszkańców. Po niej idą Łódź (600.000), Sosnowiec, Będzin, Dąbrowa górnicza z z przedmieściami (po 300.000), Wilno, Lwów, Kraków (przeszło po 200.000), Gdańsk, Poznań, Częstochowa (przeszło 100.000), Lublin, Huta Królewska na Śląsku Górnym, Kalisz, Bytom, Gliwice, Zabrze, Radom, Brześć Litewski, Bydgoszcz, Przemyśl (przeszło po 50.000) a ponadto wiele większych i mniejszych miast i miasteczek.



Typ ludowy z powiatu sieradzkiego.

Ziemie polskie mają ludność pod względem narodowości, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, niejednolitą. Tylko w dorzeczu Wisły i Odry mieszkają Polacy w zwartej masie, zresztą zaś są pomieszani z Rusinami, Białorusinami, Litwinami, Czechami i Niemcami. Ogólna

liczba Polaków na dawnych ziemiach polskich wynosi przeszło 24 miliony, a doliczywszy do tego około 4 miliony na obczyźnie, otrzymamy około 28 milionów, a nawet niektórzy statystycy obliczają ich na przeszło 30 milionów. Zajmujemy tedy szóste miejsce wśród narodów europejskich, a przewyższają nas tylko Rosyanie, Niemcy, Anglicy, Francuzi i Włosi.

Polacy prawie wszyscy są katolikami, a tylko niewielki procent wyznaje religię protestancką, a nadto drobna garstka żydów przyznaje się do narodowości polskiej.

Oświata w Polsce stoi, niestety, na dość niskim poziomie, a winny temu rządy zaborcze, które skąpiły funduszów na utrzymanie szkół polskich, a naukę w istniejących szkołach przystosowywały do swoich potrzeb. Obecnie szkolnictwo w Polsce coraz bardziej się rozszerza, a rząd nie skąpi starań, aby je podnieść jeszcze wyżej. Mimo to szkół ludowych na ziemiach polskich było dotychczas około 42 tysiące, szkół średnich blizko tysiąc, 6 uniwersytetów (Kraków, Lwów, Warszawa, Lublin, Poznań i Wilno), dwie politechniki we Lwowie i Warszawie, a oprócz tego szkoły przemysłowe wyższe i niższe, akademie handlowe, szkoły rolnicze i inne. Ludność ziem polskich trudni się przeważnie rolnictwem, bo na stu ludzi, mieszkających na obszarach ziem polskich, rolnictwu oddawało się 65 ludzi, a zaledwie 35 trudniło się handlem, było urzędnikami, profesorami, księżmi, lub robotnikami fabrycznymi.

Ziemie polskie, pomimo swej piękności, nie wszędzie rodziły i rodzą obfite plony. Oprócz ziem rędzinnych, pierwszej jakości, jest tu dość nieużytków, bo na sto mórg około 15 było nieużytków, służących co najwyżej na pastwiska. Północ i środek ziem polskich zajmują piaski i bielice, na których jedynie żyto i ziemniaki uprawiać można. Drugim gatunkiem ziemi w Polsce jest żółtoziem, złożony z drobnych cząsteczek gliny, wapnia i piasku, a udają się na niej doskonale pszenica, buraki, ziemniaki, jęczmień, owies, konicz i t. p. Żółtoziem występuje obficie w Krakowskiem, Sandomierskiem, Lubelskiem i w Galicyi. Natomiast rędziny są przeważnie w Radomskiem i Lubelskiem, ale te, jakkolwiek są również bardzo urodzajne, wymagają jednak bardzo starannej uprawy. Czarnoziem, w który obfituje przedewszystkiem Wołyń, Podole i Ukraina, jest glebą próchnicową, potrzebującą bardzo mało nawozu, i należy do ziem nadzwyczaj urodzajnych. Najwięcej ziemi rolnej zajmuje Poznańskie, bo 63%, potem Królestwo Polskie 56%, najmniej Galicya bo 48%, a to dlatego, że całą południową część Galicyi zajmują góry, w których jest dużo nieużytków.

Cała ziemia polska podzielona jest pomiędzy poszczególnych właścicieli, lecz nadzwyczaj nierównomiernie. Nie mówiąc już o tych,

którzy wcale ziemi nie posiadali, czyli tak zwani bezrolni, z właścicicieli ziemi jedni mieli jej zaledwie małe skrawki, inni natomiast, mniej liczni, skupiali w swem ręku olbrzymie obszary. Dość wspomnieć, że w samej byłej Galicyi jest 21 właścicieli, którzy posiadali więcej niż 10 tysięcy hektarów, a jeden z nich miał nawet 66,000 hektarów. Aby temu bądź co bądź niewłaściwemu rozdziałowi ziemi zapobiedz, pierwszy sejm polski uchwalił przymusowe wywłaszczenie większych posiadłości i rozsprzedaż ich pomiędzy małorolnych i bezrolnych. Czy to przyniesie Polsce korzyść, czy szkodę, dopiero przyszłość pokaże.



Typy ludowe z powiatu zamojskiego.

Jak z powyższego widzieliśmy, Polska jest przedewszystkiem krajem rolniczym, choć nie brak jej warunków, aby podnieść się na najwyższy stopień uprzemysłowienia. Popatrzmy tylko, jakie bogactwa posiada Ojczyzna w swem wnętrzu. A więc najpierw węgiel.

Zasoby węgla mamy ogromne. Warte są one więcej, niż zasoby wszystkich innych kopalń razem. Pokład węgla obejmuje naogół około 6.000 kilometrów kwadratowych powierzchni, a warstwy jego

są tak grube, że wystarczyć może na setki lat. Węgiel kamienny znajduje się na Śląsku Górnym, na Śląsku Cieszyńskim, w Królestwie Polskiem i w Galicyi. W produkcyi węgla ziemie polskie zajmują czwarte miejsce na ziemi, ustępując tylko Stanom Zjednoczonym, które wydobywają go siedm razy więcej, Anglii (4 razy więcej) i Niemcom (3 razy więcej).

Przy wydobywaniu węgla pracuje przeszło 200 tysięcy robotników w przeszło 100 kopalniach. Na Śląsku Górnym właścicielami kopalń są przeważnie Niemcy, zaś robotnikami Polacy. Jest tam kopalń 57, a głównem ogniskiem górnictwa są miasta; Bytom, Katowice i Zabrze. W Zagłębiu Dąbrowskiem było przed wojną 31 kopalń, które w trzech czwartych częściach były własnością Francuzów. Na Śląsku Cieszyńskim jest kopalń kilkanaście w okręgu ostrawsko-karwińskim. W Galicyi mamy siedm kopalń w okręgu krakowskim, których większa część jest własnością kraju.

Również mamy podostatkiem rud żelaza; niestety kopalnie ich są prawie wyłącznie w rękach obcych, a jedynie robotnicy są Polakami. Rudy żelazne znajdują się w Zagłębiu Dąbrowskiem, koło Częstochowy, w Radomskiem, na Śląsku Górnym i Cieszyńskim, oraz na Podkarpaciu. Zasób rud u nas jest bardzo znaczny tak, że wystarczy nam na setki lat, mimo to do wytapiania żelaza sprowadzano dotychczas rudy węgierskie, szwedzkie i hiszpańskie.

Trzecie miejsce zajmuje nafta i wosk ziemny, z których słynie dawna Galicya na cały świat. Kopalnie nafty znajdują się na Podkarpaciu, od Gorlic aż po Bukowinę. Ropę galicyjską tylko w małej ilości oczyszczały rafinerye krajowe, większość rafinerye na Morawach, w Czechach, na Węgrzech, nawet w Dalmacyi. Nad wydobywaniem nafty i wosku ziemnego pracowało około ośm tysięcy robotników. Gotową naftę i wytwory naftowe wywożono do krajów dawnej monarchii austryacko-węgierskiej, do Niemiec, Francyi, Szwajcaryi, Belgii, Włoch i Turcyi. Ilością wydobywanej nafty przewyższały Galicyę jedynie Stany Zjednoczone, Rosya, Meksyk, Rumunia i Indye holenderskie.

Do bogactw kraju należy sól, w którą obfitują kopalnie w Wieliczce i Bochni. Ażeby dać wyobrażenie o ich rozmiarach, dość wspomnieć, że kopalnie wielickie dosięgły 302 metry głębokości, a chodniki ich mierzą 118 metrów długości, zaś kolejki 46 m. Głębokość kopalń bocheńskich jest większa, bo dochodzi do 400 metrów, lecz mimo to produkują one cztery razy mniej soli. Oprócz soli kamiennej mamy warzelnie soli w Galicyi wschodniej w Drohobyczu, Delatynie i t. d. Do kopalń bocheńskich przywiązaną jest piękna legenda o początku kopalni. Według niej królowa polska, św. Kinga, kiedy opuszczała swe rodzinne Węgry, prosiła ojca, aby w posagu

ofiarował jej sól, której Polacy nie mieli, a której Węgry posiadały poddostatkiem. Ojciec jej, Bela, z uśmiechem na ustach zgodził się na, zdaniem jego, śmieszną prośbę. Św. Kinga podziękowała ojcu za szczodry dar, przyczem rzuciła pierścień do jednej z kopalń. Przyjechawszy do Polski, poleciła w miejscu, gdzie dziś są saliny bocheńskie, kopać głęboką studnię Robotnicy po pewnym czasie natrafili na coś twardego. Była to sól. Kiedy wydobyli jedną bryłę na po-



Typy ludowe z powiatu suwalskiego.

wierzchnię ziemi, kazała ją św. Kinga rozbić, a gdy to uczyniono, znaleziono w niej pierścień św. Kingi, ten sam, który rzuciła do kopalni na Węgrzech. Soli mamy nietylko dla siebie poddostatkiem, ale możemy jej jeszcze dość dużo innym odstępować.

Prócz węgla, rudy żelaznej, nafty i soli mają ziemie polskie obfitość innych kopalin, lecz produkcya ich nie wystarczała na potrzeby krajowe Do tych należą przedewszystkiem rudy cynku i ołowiu, znajdujące się w południowo-zachodniej części Polski: od Miękini i Alwernii, przez Chrzanów, Olkusz, Sławków, Będzin i Siewierz do Bytomia i Tarnowic na Górnym Śląsku. Rudy miedzi są w okolicach Chęcin i Kielc, siarka w Swoszowicach, na

Podkarpaciu, przy ujściu Nidy do Wisły (w Czarkowej jedyna w Polsce kopalnia i huta siarki). Sole potasowe, potrzebne do produkcyi nawozów sztucznych wydobywają w Kałuszu i Stebniku. Bursztyn jest w okolicach nad morzem Bałtyckiem, kamienie budowlane (granit tatrzański, porfir krzeszowicki, andezyt czorsztyński, piaskowiec ciosowy), wapień i marmur (dębnicki, kielecki i chęciński), glina, a nawet glinka porcelanowa, gips (koło Buska) i alabaster (w Galicyi koło Szczerca, Mikuliniec i Trembowli) oto dalsze bezcenne kopaliny.

W kopalniach na ziemiach polskich pracowało przed wojną przeszło ćwierć miliona ludzi, wydobywając kopalin przeszło za miliard koron, niestety większa część zysków szła do kieszeni obcych. Jest nadzieja, że po wyswobodzeniu się Polski z obcego ucisku stosunki i pod tym względem zmienią się na lepsze. Dotychczas wytwórstwo górnicze na ziemiach polskich przewyższały jedynie Stany Zjednoczone, Niemcy i Anglia, a dorównywała mu zaledwie olbrzymia Rosya. Mamy więc bogactwa w łonie naszej ziemi, trzeba nam je tylko umieć wykorzystać.

Jeżeli już mowa o tem, co nam wnętrze ziemi daje, należy wspomnieć również o źródłach mineralnych, które z niej wytryskują, a które przynoszą krajowi wiele pożytku Jest ich dość dużo wzdłuż Karpat (Rabka, Szczawnica, Żegestów, Krynica, Rymanów, Truskawiec), w Królestwie: Ciechocinek, Busk, Solec, lecz niestety, choć źródła te nie ustępują w niczem zagranicznym w dobroci, nie nauczyliśmy się ich jeszcze dostatecznie cenić, wobec czego wielu ludzi, szczególniej bogatych, szukało na obczyźnie tego, co miało tak blisko u siebie. Dzieje się to i dlatego, że nasze uzdrowiska były przez obce rządy zaniedbane, lecz jest nadzieja, iż polskie władze pomyślą o nich serdeczniej, aby nietylko swoich nie puszczać za granice Polski, ale i obcych do niej ściągnąć. Dostawszy część Bałtyku, będziem mieli również własne polskie kąpiele morskie, a nie będziemy potrzebowali wyjeżdżać wrazie potrzeby do obcych na kuracyę.

Z krótkiego powyższego zestawienia widzimy, iż Polska posiada skarby, które powinny być podstawą olbrzymiego przemysłu. Niestety, dotychczas tak nie było, bo z bogactw naszych korzystali obcy, tamując u nas wszelkimi sposobami rozwój przemysłu, jakby z obawy, abyśmy się zanadto nie wzbogacili. A mimo to i pod tym względem nie staliśmy na ostatniem miejscu. Na ziemiach polskich (dokładnie obszarów określić nie można, gdyż w chwili, gdy to piszemy, granice Polski są jeszcze nie ustalone), pracowało w przemyśle przeszło 2 miliony robotników, którzy wytwarzali za 7 i pół miliarda towarów. Większe rzesze robotników przemysłowych miały:

Anglia, Niemcy, Stany Zjednoczone, Francya i Włochy, ale też tam nikt nie przeszkadzał rozwojowi przemysłu, lecz owszem rządy tamtejsze usilnie go popierały.

Na dość dużą skalę rozwinęło się w Polsce cukrownictwo, ale nie w tym stopniu, jakby się tego należało spodziewać w kraju przeważnie rolniczym, gdzie przecież najłatwiej o buraki cukrowe. Najwięcej cukrowni posiada Poznańskie, liczące 20 cukrowni, następnie ziemia Warszawska 18, Lubelska 13, Płocka 7, zaś Galicya tylko dwie: w Przeworsku i Chodorowie. Na Podolu było ich 53, w ziemi Kijowskiej 74. Więcej cukru, niż ziemie polskie, wytwarzały tylko Niemcy, mniej Czechy i Morawy, oraz Francya, gdzie już przemysł cukierniczy bardziej się rozwijać nie może, gdyż wszystkie pola, nadające się pod uprawę buraków, były nią objęte. Natomiast w Polsce zaledwie znikoma część pól, na których udają się buraki, była uprawą ich objęta. Toteż jest nadzieja, że przemysł cukrowniczy w przyszłości rozwinie się bardziej, o ile nie przeszkodzi mu zbyteczne rozdrobnienie gruntów po przeprowadzeniu wywłaszczenia, lub jeżeli włościanie więcej będą uprawiali buraków cukrowych.

Najwięcej cukru zjadają Anglicy, bo przeciętnie 39 kilogramów na osobę, później Duńczycy (35 kg), Szwajcarzy (29 kg), Szwedzi (24 kg), Holendrzy i Niemcy po 20 kg, zaś Francuzi po 17 kg, a dopiero po nich idą Polacy, na których przypada po 10 kg rocznie. Ludzie zjadają nietylko cukier z buraków cukrowych, ale nawet nieco więcej wytwarzanego z trzciny cukrowej, który jest również tańszy od buraczanego.

Browarów, wyrabiających piwo, było w Królestwie 194, w Poznańskiem 113, w Galicyi 85, a wszystkie browary na ziemiach polskich wyrabiały około pięć milionów hektolitrów piwa, wartości blisko 300 milionów koron. Jeszcze więcej było na ziemiach polskich gorzelni, bo około 3 tysiące, a wyrabiały spirytusu wartości około 150 milionów koron. Tyleśmy, po największej części bezpotrzebnie, pieniędzy tracili na marne, niszcząc zdrowie i mienie, a często cześć zatracając. Do przemysłu spożywczego należy jeszcze młynarstwo i piekarstwo, oraz masarstwo, które rozwijały się przedewszystkiem w większych miastach i dostarczały znaczną ilość swych wyrobów na wywóz zagranicę.

Częściowo do przemysłu spożywczego należy również uprawa tytoniu, którego nam jednak z własnej produkcyi nie wystarczało, lecz sprowadzaliśmy go z Rosyi. Samo Królestwo do własnej produkcyi dokupywało tytoniu przeszło za 50 milionów koron, a ponieważ Polska produkowała na własnych obszarach wyrobów tytoniowych za około 70 milionów koron, przeto przed wojną puszczaliśmy z dymem z górą 120 milionów koron, nie mówiąc już o cenach wo-

jennych, które są wprost zawrotne, ani o paskarskich, które ani w przybliżeniu obliczyć się nie dadzą.

Przemysł tkacki nie stał w Polsce na tej wyżynie, jakby sobie tego życzyć należało, mimo to liczył pokaźną ilość fabryk, i tak samo Królestwo miało ich 1160, gdzie pracowało 150 tysięcy robotników, Poznańskie i Prusy Zachodnie 675 fabryk z 1821 robotnikami, Śląsk Cieszyński 208 fabryk, 7687 robotników i wreszcie Galicya 56 fabryk z 5300 robotnikami.

Z przymysłu przędzalniczo-tkackiego rozwinęło się przedewszystkiem bawełnictwo, a głównem jego ogniskiem była Łódź, dalej Zawiercie, Pabjanice, powiat Będziński. Zgierz, Ozorków, powiat piotrkowski, Warszawa i Częstochowa. Sukiennictwo posiada fabryki w Łodzi, Sosnowcu, Częstochowie, Pabjanicach, Tomaszowie Rawskim i t. d., oraz w Kętach, Rakszawie i Białej. Płóciennictwo, uprawiane jeszcze po dziś dzień, jako przemysł domowy, skupia się przedewszystkiem w wielkich zakładach w Żyrardowie, a także w Częstochowie i w Warszawie, w Galicyi w Andrychowie i Korczynie.

Metalurgia, pomimo że zatrudnia około 300 tysięcy robotników, stoi u nas jeszcze dość nisko, co ocenić można po zapotrzebowaniu gotowych wyrobów żelaznych. I tak kiedy np. w Stanach Zjednoczonych wypada na głowę przeciętnie 250 kg gotowego żelaza, w Belgii 160 kg, w Niemczech 135 kg, to w Królestwie zaledwie 19 kg. Największe fabryki maszyn są w Warszawie, Częstochowie, Sosnowcu, Królewskiej Hucie, Katowicach, Bytomiu, Krakowie, Sanoku i Nowym Sączu.

Fabrykacya papieru stoi dość wysoko, a przoduje w niej Królestwo (ziemia warszawska i piotrkowska), a papiernie mają przeważnie właścicieli i robotników Polaków. Dość dobrze rozwijało się papiernictwo w Galicyi (Czerlany, Biała), natomiast prowincye zachodnie przemysłu papierniczego nie posiadają, choć spotrzebywały najwięcej papieru.

Z przemysłem łączy się ściśle handel, który jednak w Polsce na większą skalę nie był należycie rozwinięty, zaś handel drobny spoczywał przeważnie w rękach żydowskich. Dopiero wojna i olbrzymie zyski zeń płynące zachęciły wielu ludzi do imania się handlu. I pod tym względem jest nadzieja, że Polska będzie się rozwijać i szybkim krokiem podążać do dobrobytu.

Budowniczowie Polski.

Po pogromie Niemców na zniszczonych polach Francyi nadszedł czas na odbudowę naszej Ojczyzny. Wprawdzie już przedtem wszystkie usiłowania Polaków były zwrócone w tym kierunku, ale wszelkie zamierzenia ich i usiłowania zdawały się być dalekimi od wytkniętego celu. Usiłowania te były tem trudniejsze do zrealizowania, że nie wiadomo było, w którym podążyć kierunku, ażeby jak najwięcej uzyskać dla Polski. Do koalicyi, a szczególniej do Francyi, pociągały nas odwieczne sympatye, ale naszemu opowiedzeniu się po jej stronie przeszkadzała Rosya, która była nam od wieków największym wrogiem. Do oświadczenia się po stronie państw centralnych pociągała nas właśnie możliwość walki z tą samą Rosyą, która stała po stronie koalicyi. I co ważniejsza, podczas gdy koalicya skrępowana Rosyą, milczała, gdy Rosya zjednoczonem ziemiom polskiem obiecywała tylko nadać autonomię pod swoimi rządami, państwa centralne zezwoliły na formowanie Legionów i tem wielu Polaków przeciągnęły na swą stronę.



Wilson, prezydent Stanów Zjednoczonych.

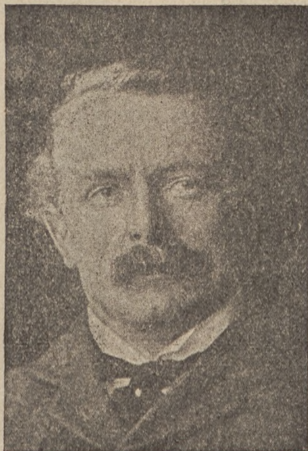
Nic też dziwnego, że wśród takich okoliczności pomiędzy Polakami panowała niepewność i rozbieżność przedsięwzięć.

Dopiero pierwszą, jaśniejszą deklaracyą ze strony koalicyi w odniesieniu do Polski były owe sławne czternaście punktów prezydenta Wilsona, które wyraźnie powiadały, że wrazie zwycięstwa koalicyi Polska musi być wolna, niepodległa i zjednoczona ze wszystkich ziem, bezsprzecznie zamieszkałych przez Polaków.

Odtąd Polacy wiedzieli, czego mają się trzymać i otucha wstąpiła w ich serca. Trudno jednak było odrazu zerwać z państwami centralnemi, których wojska stały na ziemiach polskich i mogły się dopuszczać krwawych represyj. To też część Polaków pozornie trzy-

mała jeszcze z państwami centralnemi, podczas gdy większość skłaniała się na stronę koalicyi. Do otwartego oświadczenia się po stronie państw zachodnich przyszło dopiero po pogromie armii niemieckiej, gdy obawa przed pięścią krzyżacką poczęła znikać.

Na szczęście na czele narodu polskiego siłą faktów wysunęli się ludzie, którzy przedewszystkiem mieli na oku dobro Ojczyzny. A choć każdy z nich stał na innym biegunie politycznym, każdy z nich szedł innymi drogami przez lata ostatnie, to przecież wszyscy zdążali do jednego celu, a takim było wyswobodzenie Ojczyzny od ucisku nieprzyjaciół.



Lloyd George, prez. ministrów.

Podczas, gdy Piłsudski i Haller wiedli żołnierzy na krwawe boje z Moskalami i cudów męstwa dokonywali, Paderewski i Dmowski działali po stronie koalicyi, aby tam grunt do naszych żądań czasu rokowań pokojowych przygotować. Gdy Piłsudski poszedł do więzienia pruskiego, a Haller przebijał się przez front i walczył pod Kaniowem, to tylko drogi ich były inne, lecz cel jeden. I najlepiej ta wspólność dążeń okazała się po rozgromieniu Niemców w chwili, kiedy wszyscy ci czterej mężowie, pomimo nieraz jeszcze sprzecznych poglądów, połączyli się we wspólnej pracy dla dobra Ojczyzny. Lecz każdy z nich i dzisiaj jeszcze pomiędzy rodakami ma ukrytych i jawnych nieprzyjaciół i mieć ich będzie, dopóki żyć będzie, boć jeszcze się ten nie urodził, któryby wszystkim dogodził, lecz kiedyś dopiero historya oceni należycie ich niespożyte zasługi i hołd im odda.

Ale ci mężowie, jakkolwiek wiele zdziałali dla Polski, to byli oni przecież niczem wobec tych, którzy budować mieli naszą Ojczyznę. Byli niczem nie wobec nas, którzyśmy ich za najzasłużeńszych uważali, ale byli niczem wobec potęg, które miały układać przyszłe stosunki świata. A wobec tego tem ci większa zasługa ich w tem, co zdziałać mogli i tem większa wdzięczność narodu za to, co zdziałali.

W Wersalu zbierała się konferencya pokojowa, która miała decydować o przyszłości narodów. Zwycięskie mocarstwa wysłały tam swoich najznakomitszych mężów, którzy mieli w swych rękach losy całego świata. Imieniem Stanów Zjednoczonych przyjeżdżał prezydent Wilson, ów Wilson, na podstawie którego punktów miały się ugrun-

tować przyszłe podstawy świata, ze strony Francyi miał zasiadać ów nieustraszony tygrys, Jerzy Clemenceau, którego się obawiali nietylko obcy ale i właśni rodacy, Anglia wysyła a najzręczniejszego swego dyplomatę, jakim był bezsprzecznie Lloyd George, ze strony Włoch zasiąść miał Orlando, doświadczony i rozsądny polityk.

A my w zawiązku naszego życia narodowego, kogoż mieliśmy posłać. Wprawdzie mieliśmy wyrobionych polityków, którzy nabyli do-



Jerzy Clemenceau
francuski prez. ministrów.



Orlando
włoski min. spraw zagr

świadczenia w służbie austryackiej, ale tych zawiść stronnicza odsunęła od współudziału w budowie Polski. Pozostawali nam sami laicy i ludzie niedoświadczeni Wobec tego trudnego zadania obrony spraw polskich na kongresie podjął się Ignacy Paderewski wspólnie z Romanem Dmowskim.

Początkowo zdawało się, że wszystko idzie dobrze, że cała „Rada czterech“ jest po naszej stronie. Niestety wkrótce okazało się co innego. Wprost nieżyczliwym dla nas okazał się Lloyd George, który popierał otwarcie pretensye niemieckie do Gdańska, który chciał pozostawić Śląsk Górny Niemcom, który dopiero po świetnej obronie naszych praw do Śląska przez Paderewskiego zgodził się na plebiscyt tamże Wprawdzie po naszej stronie stał niewzruszenie stary tygrys, Clemenceau, ale nat miast Wilson, zapatrzony w swe punkta, które oznajmiały, że ludność spornych terytoryów ma sama zadecydować o swym losie, przechylił się do żądań Lloyd Georg'a, choć w odnie-

sieniu do Czechów chętnie się zgodził na wcielenie do ich państwa i Niemców sudeckich i Słowaków i Rusinów zakarpackich, a nawet nie sprzeciwiał się zanadto przyłączeniu Polaków Śląska Cieszyńskiego, Orawy i Spisza do Czech. Orlando, zajęty Rjeką i Adryatykiem, niewiele troszczył się o to, co się tam dzieje gdzieindziej.

A oprócz tego Francya miała swe własne, bliższe sprawy, których musiała pilnować i dla których musiała w niejednem ustąpić w rzeczach dalszych. Jeżeli sobie to uprzytomnimy, jeżeli do tego dodamy intrygi, jakie wśród członków konferencyi roztaczali nasi wrogowie. Niemcy, Rosyanie, Czesi, Rusini i inni, to dopiero wtedy poznamy, jaki ogrom wysiłku musieli włożyć w swą pracę Paderewski i Dmowski, którym do tego nieraz właśni rodacy nie szczędzili gorzkich, a nieuzasadnionych zarzutów.

Mimo to budowali oni Polskę, i co mogli zrobić w danych okolicznościach, zrobili, przeto cześć i wdzięczność od narodu im się należy.

Miłość.

Szczęśliwym będzie ten, kto się kocha
W pięknej naturze, w dziełach przyrody;
On się przed żadnym czynem nie cofa,
Praca mu zrodzi obfite płody.

Szczęśliwy ten, kto ojca i matkę
Kocha, bo błogosławią mu nieba;
Spokój i zgoda płynie na chatkę
Jego — nie braknie mu nigdy chleba.

Szczęśliwy ten, kto ojczyznę kocha,
Bo mu nieść będą dzięki przodkowie;
W sercu nie wzrośnie żadna myśl płocha
I w długie lata służy mu zdrowie.

A najszczęśliwszy, kto kocha Boga,
Kto kocha wyższe, nadziemskie cele;
Zwycięży nimi ludzkości wroga,
Zyska radości i szczęścia wiele.

Temu, kto kocha, zawierzyć można
Złe serce kochać nigdy nie zdoła;
Miłość prawdziwa, szczera, nie zdrożna
Do nieba serca czyste powoła.

Władysław Łukasik.



...modliła się długo i żarliwie, aby jej powrócił ukochanego.

U stóp krzyża.

Zdarzenie prawdziwe z ubiegłej wojny.

Karol Zagajniak był leśniczym w dobrach hrabiego T. Wiadomo, że człowiekowi samotnemu smutno jest na świecie, a cóż dopiero leśniczemu, który od świtu do zmierzchu ugania po lesie, a jeżeli obcuje, to tylko z dziką zwierzyną, która do niego ani słówkiem się nie odezwie, ani trosk jego nie wysłucha, ani w szczęściu się z nim nie poweseli. To też kto, jak kto, ale każdy leśniczy przedewszystkiem w domu bez kobiety się nie obejdzie, któraby o jego strawie pomyślała, a i smutki a radości z nim podzieliła.

Z tych powodów i Karol szukał żony, ale zarazem szukał takiej, któraby nietylko o jego dobro doczesne dbała, ale takiej, któraby mogła być jego umiłowaniem całem. Szukał długo, ale znalazł. Znalazł taką, jakiej pragnął, więc ją też pokochał sercem całem i poza nią świata Bożego nie widział. Ona była jego marzeniem, jego szczęściem, jego rozkoszą. Bywało, powróci z lasu, na stole stoi smaczna przekąska, przygotowana rączkami Halusi, a on, zamiast jeść, przypadał do jej rączek pulchniutkich, prawdziwie leśniczowskich, zawisał u jej ust, i spijał nektary, słodsze nad miód lipcowy.

Nie trwało to jednak długo. Wybuchła straszna wojna, na którą Karol, chłop silny, jak tur, jeden z pierwszych pójść musiał. Wprawdzie zazdrościli mu inni i opowiadali:

— Nasemu liśnicy bida nic na wojnie nie zrobi, bo dorobił się przecie grajcara na hrabskiem, prędzej se da radę, jak chłop wsiowy.

Prawda, że tak było, ale Karola gryzło co innego. Pominąwszy już to, że żal mu było opuszczać młodą żonę, to przecież z innych powodów nie miał ochoty do wojaczki. Wszak musiał iść do walki pod obcym sztandarem, bić się za cudzą sprawę, nie wiedząc, czy z tego jakaś korzyść dla Ojczyzny wypłynie. Gdyby tak za sprawę polską, z jakże mniejszym żalem byłby żegnał swoją umiłowaną. Ale tak....

To też od pierwszej chwili postanowił kręcić, aby nie iść na front, ale obijać się gdzieś w kraju, aby przetrwać te kilka miesięcy wojny — jak sądził i powrócić do swej ukochanej.

Miał pieniądze, więc choć był zdrów, jak ryba, jakoś się mu

to udawało. Chłopi, ledwo nieraz włóczący nogi za sobą, szli na front i tam ginęli od kul rosyjskich, on zaraz wkręcił się do prowiantury i dostał w zarząd magazyn wojskowy i tak przeminął mu jeden rok wojaczki. Halunia odwiedzała go często, a że przywoziła ze sobą różne smakołyki wiejskie dla oficerów, więc też i Karolowi płynęło życie, jak w raju. O urlop mu nie było trudno, bo kapitan, jakiś Pepiczek z pod Pragi, sam go nakłaniał do jazdy na kilkudniowy urlop, gdyż wiedział, że po każdym takim urlopie w jego spiżarni znajdzie się zając, lub jakie inne leśne stworzenie.

I pod innym względem szczęście mu służyło: w przeciągu roku ze zwykłego szeregowca dosłużył się rangi sierżanta, choć inni, mniej szczęśliwie, którzy przez cały ten czas walczyli na froncie i cudów męstwa dokazywali, nie mogli się poszczycić ani jedną gwiazdką na kołnierzu.

Wszystko to jednak nie cieszyło Zagajniaka, bo, jako człowiek uczciwy, odczuwał, że nie postępuje, mimo wszystko, szlachetnie. To też po roku służby, gdy miała odchodzić na front kompania marszowa, zgłosił się do niej na ochotnika. Wprawdzie kapitan starał się wyperswadować mu jego postępek, ale Karol uparł się i poszedł.

Cóż, kiedy i na froncie nie czuł się zadowolonym. Dawne dobre stosunki z oficerami, przeważnie Czechami i Niemcami, uchraniały go i tu często od niebezpieczniejszych przedsięwzięć bez trudu mógł uzyskać na każde życzenie urlop, do okopów szedł tylko wtedy, kiedy sam chciał. I byłaby mu tak wojna przeszła, gdyby nie pamiętna klęska wojsk austryackich pod Łuckiem.

Halunia dowiedziała się o pogromie armii austryackiej pod Łuckiem z gazet. Z niecierpliwością czekała na jakąś bliższą wiadomość od męża, czy zdołał ujść, czyli też wraz z dziesiątkami tysięcy innych popadł w niewolę. Mijał tydzień za tygodniem, a wiadomości, jak nie było, tak nie było. Halunia codziennie chodziła do kościoła, klękała przed cudownym wizerunkiem Ukrzyżowanego i modliła się długo a żarliwie, aby jej powrócił ukochanego, bez którego życie jej nie miało żadnego uroku.

Aż przyszła wreszcie wieść, ale wieść straszna, najmniej przez nią oczekiwana. Po klęsce rosyjskiej i po strasznej rewolucyi tamże powrócił do rodzinnej wioski z niewoli rosyjskiej leśny z dóbr hr. T., kaleka bez ręki, i ten dopiero przyniósł jej pierwszy żałosną wieść, że jej umiłowany Karol nie żyje. Sam go widział. Sam na własne oczy widział, jak podczas pogromu pod Łuckiem granat rosyjski, padając tuż obok Zagajniaka, przysypał go całego ziemią, z pod której ani głos żaden więcej się nie wydobył. On sam, leśny, od następnego pocisku stracił rękę, a tam, gdzie został przysypany Zagajniak za chwilę pędziła kawalerya, przesuwały się armaty, tak,

iż nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że mąż Haluni spoczywa gdzieś na Wołyniu, nawet bez mogiłki najmniejszej.

Od tej chwili Halunia posmutniała i postarzała się. Wprawdzie jeszcze czasem miała nadzieję, że przecie to może nieprawda, że może jeszcze kiedyś swojego Karolka zobaczy, ale kiedy poczęli z Rosyi powracać nietylko inwalidzi, lecz i zdrowi, nadzieja ta coraz bardziej ją opuszczała.

Mimo to codziennie chodziła do kościoła, klękała u stóp Ukrzyżowanego i modliła się. Zaczynała zwykle modlitwy za umarłego, które później bez jej wiedzy przemieniały się w błagalną prośbę o jego powrót.

Mijały dnie, tygodnie, miesiące, a Halunia modłów swych nie przerywała. Przyszedł czerwiec 1919 roku. Halunia, jak zwykle, po pracy udała się do kościoła i cała utonęła w modlitwie, połączonej ze wspomnieniami o swym umiłowanym. Wpiła wzrok w cierpiące oblicze Zbawiciela i spieczonymi usty szeptała:

— Panie! wróć mi go, a całe życie służyć Ci będę!

Wtem zdało się jej, że z krzyża słyszy głos Zbawiciela:

— Haluniu!

Zadrgało serce jej jakiemś nieznanem uczuciem, a usta szepnęły jeszcze z większą siłą:

— Panie! Ty wszystko możesz: powróć mi go!

I znów dał się słyszeć ponownie cichy głos:

— Haluniu!

Była pewna, że stał się cud, że do niej niegodnej sam Zbawca przemawia.

To też za żadne skarby świata nie byłaby opuściła teraz kościółka. Wsparła więc twarz na trzęsących się od wzruszenia dłoniach i myślą miała zamiar rozmawiać z Chrystusem.

Lecz zaledwie pochyliła się przed krzyżem, uczuła na ramieniu lekkie dotknięcie i poraz trzeci usłyszała ten sam cichy szept:

— Haluniu!

Była pewną, że jest uczestniczką cudu, olbrzymiego cudu, który sprowadzi w życiu jej jakiś nadzwyczajny przewrót. Zlękła się ogromu wydarzenia. Pod jego naciskiem zerwała się z klęczek i odwróciła się od ołtarza. Lecz przerażenie jej jeszcze się spotęgowało. Przed nią stała teraz jakaś niebieska postać, a ona poraz czwarty usłyszała głos:

— Haluniu! Nie poznajesz że mnie?

— Karol! — wyrwał się głos z jej piersi. — Karol — powtórzyła. — O Jezu! jak Ci wdzięczna jestem, żeś mi go dał jeszcze raz w życiu zobaczyć!

Nie rzuciła się jednak w jego objęcia, gdyż bała się, aby duch

jej małżonka nie rozpynął się w cieniach kościoła. Wpatrywała się tylko w niego i szepnęła:

— Taki sam, jak za życia.....

— Haluś! Taż ja żyw i cały..... Co też ty powiadasz?...

— Karol! To ty... żywy...

Nie mogła dokończyć, bo silne ramiona ujęły ją w swe objęcia i przycisły do mężowskiego serca. A potem obydwoje uklękli przed wizerunkiem Ukrzyżowanego i dziękowali Mu za łaskę, jaka ich w tej chwili spotkała.

Kiedy powrócili do domu, musiał Karol kilkakrotnie opowiadać Haluni, jak to pod Łuckiem granat odrzucił go na kilka kroków, i nie przysypał wprawdzie, ale na dłuższy czas przytomności pozbawił, jak potem Moskale zabrali go do niewoli, gdzie był i co robił; jak później długo, długo chorował i omało życia nie postradał.

Opowiadał, jak później, po pokoju brzeskim, kiedy się tułał po Podolu z zamiarem przedarcia się do Polski, natknął się na Legiony Hallera, jak się do nich przyłączył, i jak po bitwie pod Kaniowem, po najróżnorodniejszych przejściach, zdołał się przedostać wraz z innymi do Francyi, gdzie wstąpił do armii polskiej. Obecnie powrócił do Ojczyzny, jako Hallerczyk, i tak długo nim pozostanie, jak długo Ojczyzna będzie potrzebowała jego sił i życia.

Już z Rosyi pisywał do Haluni, lecz listy gdzieś widocznie ginęły, więc przestał pisywać: był pewny, że Halunia o nim zapomniała. Aż dopiero, przyszedłszy dziś na leśniczówkę, dowiedział się, że tak nie było. Powiedziano mu, że Halunia jest w kościele, gdzie modli się za niego. Poszedł do kościoła, aby tu poraz drugi przed Ukrzyżowanym pozyskać swój skarb najdroższy.

Pastuszek.

I.

Nędzne to było i odarte. Długa, nieokreślonego koloru „kapota“, na wyrost widocznie obliczana, bez mała dwa razy owinąć mogła ciało dziecka. Drobne nóżki nie zaznały nigdy dotąd dobrodziejstw obuwia, a reszta ubrania, porządnie już znoszona, dopełniała stroju. Z tła tego wychylała się blada, delikatna twarzyczka z parą wielkich, czarnych oczu. Bywało, spojrzy niemi, to jakby płomień gorący padł ci na twarz. Oglądasz się zdziwiony: widzisz kapelusz z wentylatorem, surdut, wlokący się prawie po ziemi, a niżej szybko przebierające stopki. Machnąwszy ręką, idziesz dalej, bo i cóż obchodzić cię może najciekawsze choćby zjawisko w tak dziwacznych ramach. A przecież łatwo

spełnić mogłeś dobry uczynek. Jedno ciepłe słówko byłoby ci rzuciło do stóp to nędzne ciałko, a łzy wdzięczności sieroty i tobieby oczy przemyły i lepiejbyś poznał, czem jesteś, a czem być winieneś.

Jaś przyzwyczaił się do ludzkiej obojętności. Najszczęśliwszym się czuł na miękkim, zielonym kobiercu „hali“, leżąc w potokach światła i ciepła... słonecznego. Zdala podzwaniały dzwonki pasącej się trzody, z lasu poza jego plecami odzywały się śpiewy ptasząt, a tuż nad główką brzęczały mu różnobarwne muszki. Zapach jakiś upajał go i rozmarzał. Przymykał oczy, a oto czas w tył się cofa. Widzi się znowu w rodzinnej swej chatce: matuś biorą go na kolana, pieszczą, a sierota, objąwszy oburącz szyję matuli i przytuliwszy do jej twarzy swoją, ze szczęścia... płacze.

Łzy płynące budzą go, zrywa się i przypomina sobie, że tak, jak śnił, nigdy nie bywało, że owszem matuś bijali go tylko, lub nań „swarzyli“, nie pieścili zaś nigdy. Bywało, przyjdzie do domu przygarnąć się do matuli, ta ofuknie go i odepchnie, rzucając mu ze słowami: „Na, możeś głodny“, kawałek „moskala“. Jaś wtedy uciekał z chaty, nie obejrzawszy się nawet za plackiem, a jednak, wracając, znów marzył o pieszczocie: przecież widywał, jak inne matule swe dzieci całują.

Z wiekiem treść marzeń się zmieniła. Tęsknota Jasia znalazła inny cel. O, bo jak ten Bartłomiej opowiadać umieli: o czarach, gdy ta ziemia kochana wolną jeszcze była, jak w stal zakuci rycerze roznosili na szablach nieprzyjaciół, a sam sułtan turecki drżał na widok jazdy polskiej, hussaryą zwanej. W duszy chłopca, tak wrażliwej, słowa gazdy żywe budziły echa: w snach swych oglądał teraz hufce skrzydlatych olbrzymów, a wśród nich samego siebie: Pędzi na nieprzyjaciela i niewiadomo, co go niesie: potężny rumak, czy skrzydła od orła pożyczone, a może jedno i drugie. Podnosi ogromny miecz do góry i oto — wrogi pierzchają; w uszach brzmią mu surmy zwycięskie.

Już wraca do domu. — Na wysokiej górce kasztel jakiś stoi. Przed otwarte wrota wychodzi sama kasztelanka i zaprasza Jasia do zamku. Jakaż ona śliczna ta królewna! Nie dziw, że o jej względy dobijają się wszyscy rycerze. I ona to takiemu „pastuszkowi“ podaje rękę!

Prześniłby tak całą wieczność, lecz następuje przebudzenie. Jaś chwyta wtedy za fujarkę i uczucie, przepełniające mu duszę, w cudną przemienia melodyę. I zdarza się, że jaki turysta, nie mogąc oprzeć się czarownym dźwiękom, dąży na polanę — podziwia i muzykę i natchnioną postać grajka, a dając upływ zachwytowi, rzuca chłopcu — złotówkę. Sierota chowa pieniądze w dziuplę drzewa, bo przecież musi on iść szukać śpiących rycerzy, co hań w tatrzańskich

górach drzemią — na drogę grosz się przyda — a może znajdzie też tam swą kasztelankę.

II.

Jaś chodzi w Krakowie do szkół. Jak się to stało? Ten pan, co aż do gór zaszedł, szukając świeżego powietrza, wysłuchawszy gry sieroty, zabrał go z sobą. Jasiowi żal było słonecznych hal i całej tej ślicznej przyrody, ale chęć zobaczenia dawnej stolicy Polski i usłyszenia czegoś więcej o tem, co w snach widywał, przemogła, znalazł się na bruku wielkomiejskim. Oczarowany z początku widokiem rzeczy nieznanych, wkrótce oswoił się z nim zupełnie, a zaczął tęsknić do gór. Wstyd mu jednak było przyznać się do tego opiekunowi, który nie dbał zbyt o sierotę, uważając, że dość dlań zrobił; zamieniwszy fujarkę na skrzypce, często szukał w nich ukojenia. Dowiedział się, że śpiący rycerze, to tylko legenda. Czyżby i kasztelanka? Tyle lat już na świecie, co dzień dużo dziewcząt widywał, lecz jej wśród nich nie było. Czy wogóle znajdzie ją kiedy?

Zajęty temi myślami, błądził podczas wakacyi po halach, tam wypatrując królewny. Pewnego dnia powracał głęboko zamyślony pod wieczór do wioski. Nagle drgnął. Fala krwi uderzyła mu do głowy; tak to ona stoi przed nim, spogląda nań z sympatyą i zajęciem, zupełnie tak, jak we śnie. Ale dlaczegóż nie wyciągnie nawet rączki na powitanie. Ach inaczej wyobrażał sobie tę chwilę.

Smutny zaszedł do chaty. Więc obcą była dla niego ta, którą tak długo w sercu nosił, z taką tęsknotą oczekiwał. Czuł, że inaczej być nie mogło, a jednak... Nazajutrz dowiedział się, że to „jasna panienka“ przyjechała na wieś z klasztoru. Od tego czasu stracił chęć do wszystkiego, gra nawet go nie cieszyła. Po cóż mu żyć na świecie? Czy ma cel jaki przed sobą, coś, do czegoby dążyć warto, skoro tę, co całą duszą ukochał, znalazł wprawdzie, lecz w tej samej chwili poznał przepaść między „pastuszkiem“ a „kasztelanką“.

Minęły wakacye, ale i uczyć się nie miał już ochoty; dnie wlokły się jeden za drugim, a na czem mu ten czas schodził, nie umiałby sam powiedzieć... Aż raz, znudzony bezczynnością, mimowolnie wyciągnął rękę po książkę, jednę z tych, co z sobą przywiózł. Wzrok jego padł na słowa: „prawidła etyczne czyli moralne nakładają na nas obowiązek dążenia do spełniania wszystkich rozumnych zadań życia“ Wzdrygnął się cały: więc on żył niemoralnie, nie wypełniając tego obowiązku, bo przecież, skoro etyka nakazuje wykonywać pewne zadania, to każdy człowiek mieć je musi! Jakież czekają na niego? — Zerwał się na równe nogi: ależ on przedewszystkiem ma ukończyć szkoły.,.

Nazajutrz jechał do miasta. *Stach z Mazowsza.*

Ignacy Paderewski.

Czem jest i co zrobił dla Polski.

W chwili, gdy zerwała się wszechświatowa zawierucha wojenna, gdy miały się w niej rozstrzygać losy naszej przyszłości, dał nam Bóg mężów, którzy mieli działać w imieniu narodu i o jego losie decydować. Na ich czele wysunęło się dwóch ludzi, którzy początkowo stanęli na dwóch przeciwnych biegunach, aby później przy narodzinach naszej Ojczyzny połączyć się razem i nad jej odbudową pracować. O Józefie Piłsudskim mówimy na innem miejscu, tu chcemy parę słów poświęcić Ignacemu Paderewskiemu.

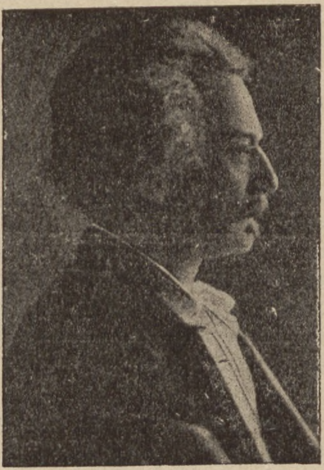
Ignacy Paderewski urodził się na Podolu w 1860 roku. Nauki odbywał przeważnie w Warszawie, Berlinie i Wiedniu, gdzie był chlubą Teodora Leszetyckiego, sławnego kompozytora i pianisty. Publicznie pierwszy raz wystąpił Paderewski we Wiedniu w 1887 r., potem w Paryżu 1889 r. i w Londynie 1890 r. Wszędzie skończona jego gra na pianinie wywoływała podziw i zachwyty, a kiedy w roku 1891 udał się do Ameryki, podróż jego zamieniła się w pochód tryumfalny, zyskując mu sławę i dostatki.

W roku 1890 ożenił się z baronową de Rosen.

Oprócz cudownej jego gry na pianie, zaznaczyć należy dar komponowania utworów muzycznych, z których największym jest opera „Manru“, śpiewana niemal na wszystkich scenach europejskich.

Lecz Paderewski nie polegał bynajmniej na swym fortepianie, by natchnąć swój naród; w rzeczywistości przy wybuchu wojny tak owładnęły jego umysł straszne cierpienia polskiego narodu, rozdartego na trzy części i poddanego strasznemu uciemiężeniu od półtora wieku, że przez całe miesiące nie tykał się swego fortepianu. Wspólnie z Henrykiem Sienkiewiczem i Antonim Osuchowskim zakłada w Vervey Komitet, mający na celu niesienie pomocy nieszczęśliwym rodakom, jeździ, przemawia, agituje, aby wśród swoich i obcych zebrać jak największe fundusze dla swych rodaków. Że tysiące ludzi pod najazdem krzyżackim zostało przy życiu, że setki uniknęło ostatecznej nędzy, to zasługa Ignacego Paderewskiego.

Ale mistrz nie poprzestał na samej akcyi humanitarnej. Gdzie mógł i o ile mógł, przygotowywał grunt, aby sprawą polską wśród członków koalicyi postawić na jaknajlepszych podstawach. Zaznaczyć trzeba, że z Ojczyzny nie miał pod tym względem pomocy. Polacy z konieczności oświadczyli się po stronie Austryi, aby módz wystąpić przeciw Rosyi, która była przecież sprzymierzeńcem Francyi i Anglii, a później i Stanów Zjednoczonych. To utrudniało w wysokim stopniu jego pracę, lecz nie zrażał się tem, bo on, jako Polak, rozumiał dobrze stanowisko swoich rodaków, którzy w danych okolicznościach inaczej postąpić nie mogli. Działał, czekając z niecierpliwością na zmianę stosunków, gdyż był pewien, że przyjdzie czas, w którym wszyscy zgrupujemy się w jednym obozie. W oczekiwaniach swoich nie zawiódł się.



Ignacy Paderewski.

Kiedy do wojny wmięszały się Stany Zjednoczone, kiedy wreszcie Rosya padła, może nie tyle wskutek przegranej wojny, co własnej rewolucyi, nadzieje jego stawały się coraz bliższe urzeczywistnienia. W dniu 7. kwietnia 1917 r. w Pitsburgu Paderewski ofiarował Stanom Zjednoczonym usługi stu tysięcy Polakow i pięciuset wyćwiczonych oficerów. Rząd amerykański nie przyjął jego ofiary, lecz zgodził się na tworzenie armii polskiej pod opieką Francyi, zastrzegając sobie jedynie, że do armii tej mogą wstępować jedynie ci Polacy, którzy nie byli objęci poborem amerykańskim.

Polska komisya wojskowa zaciągnęła na mocy tego zezwolenia 30 tysięcy rekrutów i 25 tysięcy z nich wysłała do Francyi, gdzie okazali w walkach takie bohaterstwo, jakiego wymagały po nich polskie tradycye. Do nich dodano pięć tysięcy Polaków, służących w niemieckiej armii, a którzy jako jeńcy dostali się do niewoli sprzymierzonych. W armii zaś Stanów Zjednoczonych służyło 220 tysięcy Polaków, jużto jako ochotników, już to przymusowo pobranych. Tak tedy Polacy walczyli przeciwko dwóm swoim największym wrogom: w Legionach przeciw Rosyi, po stronie koalicyi przeciw Niemcom. Należało to zaznaczyć, aby zbic twierdzenie ludzi niechętnych nam, jakoby Polacy nic nie zdziałali na rzecz koalicyi, a jeżeli ta przy-

czyniła się do odbudowy Polski, to uczyniła to nie zadarmo. W każdym razie Polacy byli jednak dotychczas rozbici niejako na dwa obozy. Dopiero haniebny pokój w Brześciu Litewskim dopomógł do ich konsolidacyi. Kiedy Haller ze swą żelazną brygadą przedarł się przez front wschodni i przybył do Francyi, kiedy w Rosyi Polacy z rozbitej i zdemoralizowanej armii rosyjskiej poczęli się skupiać i organizować, wtedy cele i zamierzenia Polaków ujednostajniły się i wtedy marzenia Paderewskiego poczęły się realizować.

I zdawało się wówczas, że to, co Paderewski zdziałał dotychczas dla Polski, będzie najwyższą ilością jego zasług. Lecz nie tu był jeszcze kres jego olbrzymiej pracy i jego olbrzymich zasług. Kiedy po pogromie Niemiec i rozpadnięciu się Austryi przybył do Polski, zastał ją w najwyższym chaosie. Na czele państwa stał wprawdzie Józef Piłsudski, ale rządy dzierżyli ludzie, którzy przywłaszczyli sobie rządy i sprawowali je wbrew woli olbrzymiej większości społeczeństwa, nie znajdując wobec tego u niego prawie żadnego poparcia. Stan taki przez czas dłuższy trwać nie mógł. Spostrzegł to pierwszy Piłsudski i zwrócił się do Paderewskiego, aby ten, jako najpopularniejszy wśród Polaków i najbardziej zasłużony dla Ojczyzny, ratował ją od dezorganizacyi.

Paderewski, choć nie polityk z zawodu, nie zawahał się ani na chwilę, nie uląkł się ciężkiej pracy, nie przestraszył się ogromnej odpowiedzialności, jaką brał na swe barki, bo to jedno wiedział, że cokolwiek czynił będzie, to wszystko jedynie uczyni z myślą o tej najdroższej i najukochańszej Ojczyźnie.

A uczynił wiele i jak mógł, najlepiej, a że więcej nie zdołał uczynić dla Polski, to kto inny na jego miejscu możeby ani dziesiątej części z tego uzyskać nie potrafił.

Ogół wielbił Paderewskiego, jako znakomitego muzyka, czcił go za jego ogromne umiłowanie Ojczyzny ale obawiał się zarazem, że w trudnej sztuce dyplomatycznej nie da sobie rady z powodu, jak przypuszczano, braku fachowego wykształcenia w tym kierunku. Na szczęście okazało się co innego. Paderewski wkrótce dał się poznać, jako znający, jak mało kto inny, historyę, historyczną geografię, polityczną etnologię, rolnictwo i politykę. Jako mowca posiada porywającą wymowę, w piśmie ma styl wykwintny, a czystości wyrażeń i wspaniałego zwracania się do uczuć ludzkich mógłby mu pozazdrościć niejeden najlepszy literat. Ma on coś z natchnienia proroka przy wygłaszaniu swych mów, które w zachwyt wprawiają słuchaczy. Na jednym na przykład bankiecie przemawiał do 18 tysięcy biesiadników z takim zapałem, że pod wrażeniem słów jego słuchacze, niepomni ani na miejsce, ani na niestosowność czynu, talerzami rzucali w górę.

Paderewski przy trudnem do uniknięcia zamieszaniu, wyradzającem się ze stronnictw i partyj politycznych w Ameryce, Polsce i Francyi, on jeden stał ponad niemi, starając się pogodzić wszystkie i uważając te objawy za mające mniejsze znaczenie wobec sprawy narodowej niepodległości.

Pod przewodnictwem Romana Dmowskiego, ale pod natchnieniem Paderewskiego powstał był w Paryżu Polski Komitet narodowy, który miał pilnować spraw Polski po stronie koalicyi. Ale Komitet ten nie zdobył sobie w Ojczyźnie takiego uznania i poparcia, jakiego trzeba było mu w tych ważnych czasach. Główną przeszkodą była tu jednostronność Komitetu, do którego należeli przeważnie członkowie stronnictwa narodowo-demokratycznego. Wskutek tego Komitet spotykał się w kraju z ostrą krytyką przedewszystkiem polskiej partyi sosyalistycznej, co w wysokim stopniu utrudniało nadzwyczaj jego działalność w czasie obrad konferencyi pokojowej. Ukryte intrygi przeciw Komitetowi dopiero w całości przyszłość wyświetli, ale w każdym razie już dziś stwierdzić należy, że wyrządziły one wiele złego Polsce. Nie da się zaprzeczyć, że w niejednem i Komitet pobłądził, ale nie uczynił tego bynajmniej wskutek braku patryotyzmu, lecz jedynie może wskutek gorącej miłości Ojczyzny, która go popychała do czynów, nieraz nie dobrze rozważonych. Jeżeli zaś kto z miłości do Ojczyzny błąd w jej obronie popełnia, trudno go za to winić.

I w tym więc kierunku Paderewski miał niejedno do zdziałania i zdziałał też istotnie wiele.

Ale tu znów trzeba zaznaczyć, że i Piłsudski wzniósł się wysoko ponad przeciętność. Należąc sam do wprost przeciwnego obozu socyalistycznego, nie krzyżował nigdy usiłowań Paderewskiego, lecz owszem popierał je na każdym kroku, to też ci dwaj mężowie stali się ludźmi opatrznościowymi dla odradzającej się Ojczyzny.

Lecz i społeczeństwu, a właściwie jego wybrańcom, przyznać należy, że uznali zasługi swych przywódców. Bo kiedy po zebraniu się sejmu w Warszawie, Piłsudski zrzekł się swego stanowiska, jako Naczelnik państwa, sejm jednogłośnie uchwalił powierzyć mu je ponownie, i natomiast, kiedy Paderewski, widząc rozbieżność w postępowaniu posłów, chciał zrezygnować z prezesury gabinetu, sejm nie dopuścił do tego, i Paderewski pozostał nadal, aby pracować wytężająco dla dobra Ojczyzny.

A praca ta była rzeczywiście ciężka! Do Wersalu we Francyi zjechali się najwybitniejsi politycy z całego świata, aby rysować nową mapę, obowiązującą może na setki lat, aby układać nowe prawa, które miały w przyszłości panować nad światem. A rzecz to nie była łatwa, boć w tej olbrzymiej wojnie nie legła pokonana jakaś nieznaczna jednostka, ale jedno z najpotężniejszych państw, wspierane

również bądź co bądź przez trzy inne silne państwa. A więc praca była olbrzymia, a dla Polaków stawała się ona jeszcze o wiele trudniejszą, gdyż przeciw nam stanęli solidarnie wszyscy nasi wrogowie, wyszukując wszystko, co nam tylko w opinii kongresu zaszkodzić mogło, nie pogardzając nawet oszczerstwami. Były to chwile, w których mogliśmy zyskać wiele, ale i wszystko utracić. A przeciwnicy nasi posiadali dostateczny zapas środków i wyrobienia dyplomatycznego, aby osiągnąć cel zamierzony. My zaś, prócz słuszności naszej sprawy, nie posiadaliśmy prawie nic. A wiadomo, że w polityce nie ten zwycięża, kto ma słuszność po swej stronie, lecz ten, kto posiada więcej środków do przeprowadzenia swych zamierzeń.

I choć kongres pokojowy wiele spraw rozstrzygnął nie tak, jakbyśmy tego pragnęliśmy, i jakby to ze względów prostej sprawiedliwości stać się było powinno, to przecież uzyskaliśmy tyle, o czem przed wojną ani w najśmielszych marzeniach myśleć nie mogliśmy. Jeżeli nie wyłączna, to przynajmniej znaczna w tem zasługa Paderewskiego.

Pracę jego nad ustaleniem naszych granic można poznać z licznych faz, w jakich wahała się na kongresie. Gdy Paderewski stanął na czele rządu sprawa granic zachodnich Polski stała tak, iż zdawało się, że prócz Poznańskiego, może i nic więcej nam się nie dostanie. A tu sprawiedliwość i nasze prawa historyczne przemawiały za tem, abyśmy mogli uzyskać i Prusy zachodnie, i część Prus wschodnich, i Gdańsk i Śląsk Górny, gdzie w większości mieszkali Polacy. Wskutek usilnych starań polskiego Komitetu narodowego i Paderewskiego Komisya dla spraw polskich na kongresie stanęła po naszej stronie. Jednakże Niemcy wytężyli wszystkie siły, abyśmy jak najmniej otrzymali. Najniespodziewaniej przyszła im z sukursem Anglia, a właściwie jej przedstawiciel Lloyd George, który potrafił przekonać prezydenta Wilsona na naszą niekorzyść. Pamiętne są jeszcze i nigdy nie będą zapomniane te olbrzymie usiłowania Paderewskiego, aby niesprawiedliwemu wyrokowi przeciw nam zapobiedz. W staraniach swoich okazał się on nadzwyczaj zręcznym dyplomatą, mówcą znakomitym. Zdołał też uchronić nas od niejednej klęski, jaka nad nami wisiała.

I ci, którzy dawniej wątpili w zdolności dyplomatyczne Paderewskiego, nauczyli się go odtąd podziwiać i cenić. Przypomina się tu twierdzenie pewnego polityka, który krytykowi Paderewskiego dał taką odpowiedź:

— Niejeden uśmiechnięty idyota przeszedł przez uniwersytet, nie naraziwszy się wcale na utratę swojej głupoty, a wielu wielkich uczonych wykształciło się o swoich własnych siłach poza murami uniwersytetów.

Słowami tymi chciał on dać poznać, że chociaż Paderewski nie kształcił się na polityka i dyplomatę, to przewyższył pod tym względem niejednego, który, jak to mówią, na polityce zjadł zęby.

A. St. B.

Czy wiecie?

Wiecie, co człeka najbardziej nęka,
Co mu najczęściej zatruwa życie,
Co go w proch miażdży? — Czy o tem wiecie?

Nad wszystkie męki jest jedna męka,
Która jest zdolna przejąć do głębi,
Która, jak mrozem, serce wyziębi.

Nad wszystkie męki jest jedna męka,
Co zniszczy prędko niejedno życie...
Czy o tej męce okrutnej wiecie?

Gdy na kim spocznie jej ciężka ręka
I swym ogromem wielkim przywali,
Zginie, choćby on był i ze stali!

Choćby był, jako olbrzym, wyniosły,
Robaczkiem będzie pod jej ogromem,
Iskierką będzie, choćby był gromem....

Niczem się stanie, choćby był wzniosły,
Jak herub jasny.....
Ach, wśród zawiei
Życia tą męką, to brak nadziei!

ANTONI ST. BASSARA.

PRAWDZIWA BLAGA.

Szła sobie „Prawda“ raz szosą
Biedna, obdarta i boso,
A kto się chyba nawinął,
Czemprędzej biedną ominął.
Jechała „Blaga“ w karecie
A za nią wierzchem, piechotą,
Nie bacząc, że bryzga błoto,
Biegł, kto tylko żył na świecie.
Rozsądek bokiem się sunął,
Też biedak, pożal się Boże,
Spojrzał na drogę i splunął,
I szepnął — co to pomoże!

Jenerał Haller i Hallerczycy.

Gdy wybuchła wielka wojna i każdy kto czuł i myślał po polsku, rwał się do oręża, aby walczyć za jej wolność, nie pozostał w tyle i dzisiejszy jenerał Józef de Hallenburg-Haller. Kto widział wymarsz Legionu wschodniego ze Lwowa w przepiękny słoneczny dzień 29. sierpnia 1914 r., ten przypomni sobie dobrze obecnego bohatera, który wówczas, jako podpułkownik, przejeżdżał na pięknym koniu wzdłuż legionowych szeregów. Postawa wyniosła, głowa dumnie wzniesiona, wzrok energiczny, nadawały całej tej postaci znamię niezwykłej siły i budziły zaufanie.

I nie zawiódł tego zaufania, bo zaledwie po dwóch miesiącach doszła do kraju wieść, że przez Karpaty przedziera się z Węgier Józef Haller ze swoim pułkiem, znajdującym się w zwycięskiej brygadzie legionowej.

A wkrótce potem na ustach wszystkich Polaków były nazwy Rafajłowej, Pasiecznej, Mołotkowa, które pierwsze ujawniły jego zdolności. Gdy wróg od strony Galicyi napierał, gdy już wszystkie przełęcze, prowadzące na Węgry, znalazły się w jego ręku, a on jeden, wsparty o dzielną pomoc Bolesława Roji i Henryka Minkiewicza, zamknął się w dolinie rafajłowskiej u stóp „Przełęczy Legionów" i niedopścił do wyparcia się z tej pozycyi.

Od tej chwili sława jego była ugruntowana, ale nikt nie spodziewał się wówczas, iż ten bohater wybije się na czoło wszystkich bohaterów, jakich tak nieskończoną liczbę mieliśmy w czasach wielkiej wojny. A chociaż dziś imię jego zna każdy Polak, a i poza granicami Polski było ono na ustach wielu, to przecież tak mało społeczeństwo wie o jego przeszłości przedwojennej.

Józef Władysław Haller de Hallenburg urodził się 13. sierpnia 1873 r. w Jurczycach w Galicyi, a ojcem jego był Henryk, dyrektor Towarzystwa kredytowego, zaś stryjem Cezary, powstaniec z 1848

i 1863 roku, który wiele wycierpiał dla Ojczyzny. Józef Haller poświęcił się od młodości służbie wojskowej. Po skończeniu Akademii został przydzielony do 31 a potem 11 pułku austryackiej piechoty. W roku 1901 został nauczycielem w szkole jednorocznych ochotników, a w 1905 jej komendantem. W r. 1907 przyniesiono go na własne żądanie do 43 dywizyi polnych haubic, gdzie zostawszy kapitanem w r. 1911 poszedł na własne żądanie w stan spoczynku.

Będąc w „cywilu“, zapisał się do Sokoła“, gdzie wkrótce oddał się z całym zapałem pracy organizacyjnej „Drużyn Sokolich“. Wojna przerwała tę pracę, ale dzięki jej zasługom pułkownika i Fijałkowskiego i majora Albinowskiego można było ze Lwowa wyprowadzić dwutysięczny hufiec, który w drodze urósł do sześciu tysięcy. Gdy pułkownik Fijałkowski złożył komendę, objął ją Haller, jako podpułkownik. Niestety, wskutek najróżnorodniejszych intryg Legion się rozwiązał, a przy Hallerze pozostała tylko garstka najwytrwalszych i najzaciętszych. Wtedy dobrowolnie złożył rangę podpułkownika, a pozostał przy dawnej kapitana i stanął na czele pierwszego batalionu, złożonego z jednej zaledwie kompanii dawnego Legionu wschodniego, z kompanii podhalańskiej i śląskiej. Do tych sił przyłączono jeszcze później dwie kompanie i tak wyrusza w Karpaty. O czynach jego tutaj wspomnieliśmy już wyżej. Tu tylko zaznaczyć należy, iż po bitwie pod Pasieczną otrzymał stopień majora, zaś po bitwie pod Mołotkowem podpułkownika i komendanta 3 pułku.



Generał Józef Haller.

Dalsze jego losy są związane z losami Legionów, aż do pamiętnego rozbicia się ich z powodu złożenia przysięgi, żądanej przez państwa centralne. Wiadomo, że wówczas część odmówiła złożenia owej przysięgi i ci, o ile byli Królewiakami. poszli do więzień w Szczypiórnie i Benjaminowie, o ile zaś byli poddanymi austryackimi, zostali przydzieleni do armii austryackiej i tam przyznaczeni na wytracenie. Reszta, a w ich liczbie był i Józef Haller, postanowili złożyć przysięgę, aby nadal pozostać pod sztandarem polskim i wrazie potrzeby być gotowym do wystąpienia w obronie Ojczyzny z bronią

w ręku. Państwa centralne utworzyły z pozostałych oddziałów Polski Korpus posiłkowy i wysłały go na front wschodni w chwili, gdy Rosya znajdowała się już w agonii.

Tam zastał Hallera i jego bohaterską drużynę ów haniebny pokój brzeski, w którym państwa centralne dla własnej korzyści i dla przypodobania się stworzonej z niczego Ukrainie poświęciły sprawę polską. Nie mógł tego upokorzenia znieść Józef Haller, nie mogli go znieść jego towarzysze. Pod wrażeniem ciosu, zadanego Ojczyźnie, poważono się na czyn, jak się zdawało, szalony, który jednak później przyczynił się w znacznej mierze, jeżeli nie w całości do postawienia naszej sprawy na innych postawach wśród koalicyi. Józef Haller na czele 2.000 ludzi przebił się przez front austryacki, resztę otoczyły wojska austryackie i zmusiły do złożenia broni. Haller z nieliczną garstką poszedł na niepewną tułaczkę, w kraj, objęty płomieniami anarchii bolszewickiej, z żołnierzem nieumundurowanym należycie, nie zaopatrzonym w sprzęt wojenny i żywność, poszedł na niepewne losy, aby tylko ratować honor i imię Polski. Reszta, którym przebicie się nie powiodło, zapełniła więzienia w Huszt i stanęła przed sądem, jakby jacy zbrodniarze, w Marmarosz Szigeth.



Generał Dowbór-Muśnicki.

Rodacy na Podolu zajęli się gorliwie losem bohaterów polskich. Popłynęły składki w naturze i pieniądzach, dzięki którym mógł Haller odżywić nieco swych żołnierzyków i przyodziać ich. Wzmożony na siłach, posuwał się dalej z zamiarem połączenia się z jenerałem Dowbór Muśnickiem, który organizował swój korpus z Polaków z dawnej armii rosyjskiej. W ten sposób dotarł do Kaniowa. Tu atoli czekała go nowa niespodzianka. Niemcy, którzy niechętnie patrzyli na Polaków, organizujących się na ziemiach, przez nich okupowanych, napadli na nich w Kaniowie w zdradziecki sposób i chcieli

ich rozbroić. Ci jednak nie po to przedzierali się przez front austryacki, aby teraz dać się spokojnie ująć. I choć ich było znacznie mniej, stawili zbrojny opór, zadając nieprzyjacielowi olbrzymie straty. A choć go nie pokonali w zupełności, to przecież i ująć się nie dali; z bronią w ręku przerżnęli się przez niemieckie szeregi i poszli na dalszą tułaczkę.

Jedni z nich poszli aż na brzegi oceanu Lodowatego, inni na Syberyę, a reszta wraz z Hallerem po długich trudach dostała się aż do Francyi, skąd później miała przybyć z swym wodzem do Ojczyzny, aby stanąć znowu w jej obronie.

A wszyscy, gdziekolwiek poszli, nieśli ze sobą zapał do świętej sprawy i ukochanie tej Ojczyzny, dla której życie poświęcili. To też, czy na obszernych ziemiach Rosyi, czy wśród naszych przyjaciół francuskich wszystko, co czuło i myślało po polsku, garnęło się do szeregów polskich, aby skupić jak najwięcej sił i być gotowym na każde zawołanie do powrotu na ojczystą ziemię, by módz poświęcić jej swoje służby,

Wiadomo, że gdy Haller przybył do Francyi, była tam już spora garść żołnierza polskiego, walczącego po stronie koalicyi. Największą sławą okryli się tam tak zwani Bajończycy, którzy prawie wszyscy wyginęli na polu bitew, gdyż pozostało ich tylko 13 przy życiu. Haller ze swoimi towarzyszami zastali więc we Francyi gotowe wojsko polskie, ale niezbyt liczne podówczas. Dopiero imię jego, okryte chwałą bohatera, stało się niejako magnesem, który począł koło siebie skupiać coraz więcej ludzi. Spieszyli do jego szeregów Polacy, przybywający na obczyźnie, prosili o przyjęcie jeńcy wojenni, pozostający dawniej w służbie niemieckiej i austryackiej, którzy dostali się do niewoli państw zachodnich. A było wielu i takich, którzy z frontu uchodzili, aby tylko przedostać się do Francyi i tam zaciągnąć się w szeregi walczących przeciw Niemcom.

I tak z dnia na dzień potężniały siły Hallera, mianowanego już wówczas przez marszałka Focha jenerałem. Siły te wzmogły się jeszcze bardziej, gdy i Włochy zezwoliły, aby jeńcy Polacy, wzięci w walkach z Austryą, mogli zaciągać się pod sztandary polskie.

Koalicya w warunkach rozejmowych z Niemcami zastrzegła wolny przejazd dla wojsk jen. Hallera przez terytoryum niemieckie. Niemcy, choć niechętnie, ale rozgromieni pod naciskiem koalicyi na jej żądanie zgodzić się musieli. Przejazd odbył się bez większych przeszkód, a na ziemiach polskich stanęła, dzięki imieniowi Hallera, armia, licząca około stu tysięcy ludzi, obytych w boju, i dzięki Francyi doskonale umundurowanych i uzbrojonych.

Naród czekał na przybycie Hallerczyków z wytłumaczoną niecierpliwością. Wszak trwała wówczas w całej pełni walka z Ukraiń-

cami, a lada chwila wybuchnąć mogła z Niemcami. Na północy nacierali rosyjscy bolszewicy, na południowym zachodzie ciągle niepewni byli Czesi, gdy tymczasem my — dokładnie dotychczas nie wiadomo dlaczego — nie mieliśmy dostatecznych sił, aby stawić czoło grożącym nam ze wszystkich stron nieprzyjaciołom.

Z przybyciem Hallerczyków do Polski sytuacya natychmiast się zmieniła. Po przybyciu części ich na front ukraiński wyparto Ukraińców aż poza Tarnopol i Czortków, zadając im wielką klęskę i gdyby koalicya była nie przeszkodziła, możnaby ich było zgnieść zupełnie. Niemcy również, którzy poprzednio odgrażali się, że ani piędzi ziemi nie odstąpią dobrowolnie Polakom, teraz ucichli i zaczęli mówić z innego tonu.

A razem z przybyciem Hallerczyków wszystkie usta polskie brzmiały radością imieniem ich wodza, a jedynie garść innowierców i bezwyznaniowców kopała dołki pod jenerałem, nienawidząc go za to, że stał, jako Sodalis Marianus, twardo przy wierze swoich ojców, przy wierze katolickiej.

Skiń nasz wodzu!..

Hej, nasz Wodzu, Hallerze!
My do Ciebie na służbę,
Wierną do zgonu drużbę,
Z za mórz przyszli w żołnierze.

Niech padną twe rozkazy,
By uderzyć na wrogi,
By rodzinnych chat progi
Czyścić z pruskiej zarazy!

Czas nam orać już łany,
Pod chaty kłaść przyciesie..
Skiń — a z ruin się wzniesie
Dom nasz stary, kochany!...

W nas tęsknota kołacze.
Myśl pod polskie gna nieba...
Hej, spragnieni my chleba
Z łanów własnych tułacze...

Dziś nie dla nas zacisze —
Alarm grają tam warty,
Skiń! a dziejów Twych karty
Baguet ostrzem wypisze!

JÓZEF MAKOWIECKI.

Ochotnik z Ameryki (nr. 29.047). Sille-le Guillaume, w marcu.

Hallerczycy.

Powiastka na tle wielkiej wojny.

Staś Krynicki jeszcze młodym był chłopcem, kiedy wyjechał do Ameryki. Pracą i trudem doszedł do znaczenia i majątku. W życiu społecznem żywy brał udział, to też niedługo w „Sokole" w Cleveland doszedł do zaszczytnego stanowiska członka wydziału, bo w ruchu sokolim żywy brał udział.

Kiedy wybuchła wielka wojna i do Ameryki doszła wieść o tworzących się w Polsce Legionach, zadrgała w nim polska dusza. Chciał co rychlej biedz do Ojczyzny, aby zaciągnąć się w szeregi narodowe, lecz nie dopuściła do tego długa i obłożna choroba, która zwaliła go z nóg. Przyszedłszy nieco do siebie, począł nanowo myśleć o wyjeździe do Ojczyzny, ale teraz już nie sam, lecz pragnął skupić koło siebie jak najwięcej rodaków i z nimi wyruszyć do Polski. W jaki się to sposób stać miało, narazie sam nie wiedział. Wiedział jednak, że do tego przyjść musi, czy wcześniej czy później, i w tym celu skupiał koło siebie coraz więcej towarzyszy, którzy poza pracą zawodową ćwiczyli się w obrotach wojskowych i w władaniu bronią.

Aż nadeszła wreszcie ta chwila. W Stanach Zjednoczonych północnej Ameryki ogłoszono dobrowolny zaciąg do armii polskiej, formującej się we Francyi do walki przeciw Niemcom. Stachowi było wszystko jedno, czy miał walczyć w Legionach przeciw Moskalom, czy teraz przeciw Niemcom; jemu szło o jedno, aby bić wroga, kimkolwiek on jest i pędzić go z ziemi ojczystej. To też pierwszy zgłosił się jako ochotnik, za nim poszło wielu innych. Krynicki otrzymał nad towarzyszami swymi komendę, jako oficer, i zaraz z pierwszymi oddziałami został wysłany do Francyi.

Niedługo po przybyciu do Europy wysłano go na front, w chwili gdy Niemcy jak najzażarciej atakowali front amerykański w lesie Aragońskim. Szły dni ciężkie w wypadki, zbliżały się chwile, w których kwiat młodzieży miał zaścielić swymi trupami zielone stoki lasu.

Nazajutrz spodziewano się ataku niemieckiego, na co wskazywały liczne wywiady lotników nieprzyjacielskich, i od czasu do czasu

grzmot ognia huraganowego. Dywizya, złożona przeważnie z ochotników amerykańskich Polaków, nie obawiała się bardzo o swe pozycye, gdyż wiadomo było powszechnie, że naprzeciw niej stoją oddziały austryackie, które jakoś na froncie francuskim niezbyt dzielnie się spisywały.

Mimo to Krynicki postanowił nocą podsunąć się pod placówki nieprzyjacielskie i naocznie zbadać teren, na którym mogło przyjść do walki. Dobrał sobie więc dwóch szeregowców, Polaków z swojego oddziału, i gdy cienie nocy pokryły świat, wysunął się po cichutku z okopów.

Szli w milczeniu czas dłuższy, potykając się po kamieniach, lub zapadając w leje, wyryte przez granaty. Czasem gałąź zadrasła twarz, czasem któryś padł na ziemię, potknąwszy się na zgruchotanem drzewie. Od czasu do czasu powietrze przeszył ze świstem pocisk armatni i gdzieś w oddali zarył się w ziemię. Oni szli, niezważając na nic, co się tam gdzieś dzieje, a tylko co pewien czas oświetlali latarkami elektrycznymi najbliższe otoczenie, aby lepiej zbadać teren, przez który przechodzili, lub aby spoglądnąć na mapę, którędy wracać im wypadnie.

Nagle z pośród pobliskich krzewów ozwał się głos:

— Werda?

— Milcz, psia krew, bo w łeb strzelę — odpowiedział Stach, kierując równocześnie lufę pistoletu w stronę, z której głos pochodził.

— Jezus, nasi! — dał się słyszeć okrzyk i równocześnie przed Stachem stanęło trzech żołnierzy, ubranych w austryackie mundury.

— Tak niby wasi, ale nie wasi — burknął chmurnie Stach. — Kto służy w nieprzyjacielskich szeregach, choćby on polską władał mową, bratem mi być nie może. Zresztą, co tu dużo gadać! Poddajcie się, bo.....

— O to też głównie idzie — odrzekł austryacki oficer. — Służę wrogom, bo muszę, tembardziej teraz, gdy nas tak haniebnie w Brześciu oszukano. A jeno patrzyłem oddawna na sposobność, aby się z tej psiej służby wyrwać i iść z wami na Niemca. W tej chwili spełniają się moje marzenia.

Mówiący otarł skroń dłonią, widocznie postanowienie to, choć uczynione po długiej rozwadze, nie przechodziło mu z łatwością. W każdym razie było to złamanie złożonej przysięgi na wierność sztandarowi, pod którym od początku walczył, było przekreśleniem tego wszystkiego, co dotychczas zdziałał. Ale z postępku jego rozgrzeszała go haniebna zdrada spraw naszej ojczyzny, dokonana przez rząd austryacki w Brześciu Litewskim i dokonywana przez niego na każdym kroku i codziennie.

— Ja i brat mój — tu wskazał na szeregowca — dawnośmy to postanowili uczynić. Nie było sposobności. Dziś się nadarzyła, jesteśmy twoimi jeńcami. Ale, panie, o jedno śmiem prosić: losem tych dwóch — tu wskazał na stojących obok dwóch szeregowców — ja nie rozporządzam. Pozwól im, niech wrócą do swojego pułku..... Na poparcie mej prośby powiem, że nie zostaliśmy przez was zaskoczeni z nienacka, ale owszem zdawnaśmy was obserwowali i w mocy naszej było nikogo żywego nie puścić. Lecz przeczucie jakieś mówiło mi, że to nie obcy... a gdyście się zbliżyli.....



— O to też głównie idzie — odparł austryacki oficer.

Stach namyślał się chwilę, co mu uczynić wypada. Lecz nim zdołał zadecydować, jeden z szeregowców w mundurze austryackim wyprostował się, przyłożył rękę do daszku i rzekł:

— Panie poruczniku, melduję posłusznie! Co tu dużo gadać!... Biłem się pod Krzywopłotami, byłem ranny pod Łowczówkiem, wszedłem jeden z pierwszych do Lublina... Byłem potem w Albanii i nad Piawą, a gdziekolwiek mnie losy rzuciły, myślałem zawsze o tem i modliłem się zawsze o to, jak o zbawienie duszy, aby jeszcze dożyć tej chwili, w którejby mi danem było z Niemcami pochulać. Nie było sposobności..... Ja dziś, jak o łaskę, proszę: weźcie mnie z sobą.

— Prawdę mówi — ozwał się brat oficera.

A więc dobrze, a właściwie to jeszcze lepiej, że nie potrzebuję liczyć się z pańską prośbą — zwrócił się Stach z odpowiedzią do oficera. A na dowód, że was nie mam za jeńców, zatrzymajcie broń przy sobie, dopóki komenda inaczej nie zarządzi. A teraz w drogę.

I sześciu ludzi z dwóch nieprzyjacielskich armii, jak bracia rodzeni, postępowali wśród nocnej ciszy po zboczach lasu Aragońskiego.

Świtać zaczynało, gdy znaleźli się na miejscu przeznaczenia.

— Hej tam który — krzyknął Stach — mamy gości! Postarać się a żywo, aby było czem pokrzepić się po przechadzce i gardło przepłukać.

Za małą chwilę znalazł się posiłek żołnierski i butelka dobrego wina, którą oficerowie do spółki z żołnierzami momentalnie wysuszyli.

— A teraz — ozwał się Stach — do komendanta! Niech on zarządzi, co się ma stać z wami.

Poszli tylko we czterech t. j. Stach i jeńcy. Komendant, którym był kapitan Wysowski, mimo wczesnej pory, już nie spał. Kiedy mu ordynans zameldował przybyłych, kazał ich natychmiast wprowadzić, celem spisania protokołu.

Stach opowiedział mu rzecz najdokładniej, a następnie wniósł od siebie prośbę, aby ujętych nie traktowano, jako jeńców, ale jako towarzyszy broni.

Kapitan postanowił jednak rzecz całą prowadzić z całą formalnością, więc zwrócił się przedewszystkiem do oficera z zapytaniem:

— Jakie pańskie nazwisko?

— Jan Krynicki.

— Czy z Luboni? przerwał Stach.

— Z Luboni!

— Syn Antoniego?

— Tak jest!

— Jaśku! — wyrwał się okrzyk z piersi Stacha — Jaśku, bracie! Toć ja jestem brat twój Stanisław! — i rzucił się ze łzami szczęścia na piersi oficera austryackiego.

Podczas, gdy bracia utonęli w wzajemym uścisku, kapitan Wysowski ocierał pokryjomu łzy rozrzewnienia, które mu na wąsy spadały.

Kiedy się już bracia nacieszyli sobą, wysunął się ku nim jeden z szeregowców, a wyprostowawszy się, rzekł:

— Panowie oficerzy, melduję posłusznie, że i mnie się coś należy. I ja jestem z Luboni, i ja jestem syn Antoniego, i ja nazywam się Krynicki, z tą tylko różnicą, że nie żaden Stanisław, ani Jan, ale najpospolitszy Franuś, od urodzenia Piłsudczyk i basta.

— Tyżeś to Franuś, któryś jeszcze chorągiewkę z tyłu spodeńków nosił, gdym ja do Ameryki odjeżdżał — rzekł Stach i ujął młodszego brata w objęcia.

A ten, ściskając starszego brata i oficera, na którego piersiach medal zasługi już widniał, prawił.

— Ten ci sam, nie inny i od urodzenia Piłsudczyk. Poszedłem zaraz z pierwszą kadrową z Krakowa pod Kielce; jest tam gdzieś mała dziurka w lewej ręce, jako pamiątka po kuli rosyjskiej. Pod Dęblinem trzy razy mnie brali do niewoli i trzy razy robiłem im nogę, z pod Łowczówka mam order pod koszulą od kuli karabinowej. Rannego znów mnie wzięli i razem z Kubą Bojarskim chcieli mnie posłać na tamten świat, ale powiedziałem im, iż jeszczem dla świętego Piotra za młody: czmychnąłem. Pod Jastkowem dostałem się po raz piąty w ich ręce, ale stamtąd wróciłem już nie sam: towarzyszyło mi pięciu Polaków, którzy do tego czasu byli w służbie rosyjskiej. A po rozbiciu Legionów i uwięzieniu Dziadka posłano mnie nad Piawę. Zaraz na pierwszej patroli wstąpiłem w niewolę włoską. Ale na krótko, bo wikt dają podły. Wróciłem i za to miano mnie mianować frajtrem. Coś się jednak popsuło i awans, zamiast ja, dostał jakiś żydek z naszego plutonu. Nad Piawią dawnym legionistom nie ufano bardzo, gdyż z każdym dniem było ich coraz mniej: jedni wstępowali dobrowolnie do niewoli włoskiej, inni, jak lis Kula, szli na urlop, i nie wracali..... Wiadomo było, że jeszcze dłużej, a po dawnych legionistach ani zapachu nie pozostanie. Porozdzielano nas więc pomiędzy rozmaite pułki. Ja dostałem się pod komendę mojego braciszka i z nim znalazłem się aż tutaj... Ale widzę, że i tu nie lepiej. Jak kiedy znów wrócę do babci Austryi, to powiem panu Hötzendorfowi, że dla Polaka jedynie odpowiednią służbą, to służba dla Ojczyzny.

Stach nie puszczał długo z objęć młodszego brata, zaś kapitan słuchał jego opowiadania i radował się niem, bo poznawał, że szeregi jego zasilą ludzie, którzy wiedzą, za co walczą. Jakoż nie robił najmniejszych trudności, aby wszyscy trzej dotychczasowi żołnierze austryaccy otrzymali mundury jego żołnierzy i zostali zaciągnięci do batalionu, nad którym miał powierzoną komendę.

W taki to oto sposób i w sposoby temu podobne tworzyła się późniejsza armia jenerała Hallera, owo niebieskie wojsko, które ze wszystkich stron miało pospieszyć do Ojczyzny, zagrożonej z jednej strony przez wrogich nam ciągle Prusaków, a z drugiej przez dzikie bandy hajdamackie. *A. B.*

Cudowny młynek.

(*Wesoła bajka*).

W dawnych, pradawnych czasach żyło dwóch rodzoniuteńkich braci; jeden z nich był ubogi, a drugi bogaty. Zbliżało się właśnie Boże Narodzenie, a brat biedny nie miał w domu ani kawałeczka mięsa, ani nawet okruszyny chleba. Cóż było robić? — poszedł do bogatego, pozdrowił go w Imię Boże i prosił pokornie o wsparcie. Ale że do tego często zmuszała go nędza, więc bogacz skrzywił się trochę, kiedy go spostrzegł u progu.

— Przyrzeknij spełnić, co ci powiem — odezwał się po przywitaniu kwaśno — a otrzymasz tłustą szynkę, która tam wędzi się w dymie.

Biedny naturalnie zgodził się z radością i podziękował bratu za poczciwe serce.

— Bierz więc — powiedział bogacz, niedbale rzucając mu szynkę — a teraz idź do licha!

I zaśmiał się złośliwie, brzydko!

— Przyrzekłem, więc muszę dotrzymać — pomyślał ubogi ze smutkiem i bez namysłu puścił się przed siebie.

Cierpliwie wędrował dzień cały, a kiedy się ściemniło, dojrzał w dali migotliwe, dziwaczne światełko.

— Trafiłem chyba — szepnął z wielką ulgą i zagłębił się w las gęsty i czarny.

Wkrótce napotkał starca z białą brodą, który pracowicie rąbał drzewo.

— Dobry wieczór — pozdrowił uprzejmie ubogi.

— Dobry wieczór. Czego chcesz tutaj? — odparł starowina ze zdziwieniem.

— Szukam drogi do piekła i nie wiem, czy dobrze idę?

— Doskonale — odpowiedział stary bez najmniejszej trwogi — bo tu jest właśnie piekło. A kiedy już tam wejdziesz — ciągnął gadatliwie — koniecznie będą chcieli kupić od ciebie tę szynkę, ponieważ świńskie mięso jest rzadkim i ulubionym w piekle przysma-

kiem; pamiętaj wtedy — nie oddawać jej za srebro — złoto, a żądaj ręcznego młynka, który tuż koło drzwi stoi. Kiedy zaś będziesz wracał, nauczę cię chętnie, jak się z nim obchodzić, bo wiedz naprzód, że to wcale niezwyczajny młynek.

Ubogi podziękował serdecznie za tak dobrą radę i po chwili stukał do bram piekła.

Wpuszczono go natychmiast, i wszystko tak się stało, jak staruszek powiedział. Cała chmara młodych i starych, dużych i małych dyabłów wypadła z ciemności, otoczyli wędrownika i zaciekle zaczęli kłócić się o szynkę, a każdy więcej dawał.

— Miałem wprawdzie zamiar sam zjeść ją z żoną w święta Bożego Narodzenia — wyrzekł nakoniec ubogi, skoro uciszyło się trochę — ale jeżli już tak się wszyscy łakomicie, zostawię ją wam chętnie, tylko nie sprzedam za srebro-złoto, ani za żadne pieniądze, bo w zamian chcę tego młynka, co pod drzwiami stoi.

Ale dyabli żadną miarą zgodzić się na to nie chcieli; wystąpił sam lucyper i targował się długo, lecz biedny człowiek twardo obstawał przy swojem, i wreszcie cudowny młynek stał się jego własnością. A potem szczęśliwie wysunął się z piekła, odetchnął głęboko i zaraz szedł szukać drwala, który obiecał mu objaśnić, jak się tego sprzętu używa. Dowiedziawszy się wszystkiego, podziękował gorąco i spiesznie puścił się w powrotną drogę, ale choć nóg nie żałował i biegł bez wytchnienia w domu znalazł się dopiero o północy.

A cóżeś tyle czasu robił? — krzyknęła żona, kiedy stanął w progu. — Siedzę tu, jak ten palec i czekam, spodziewam się co chwila, i ani dwóch drzazeg nie podłożyłam jeszcze pod rynienkę z kaszą. Cóż teraz będzie?!

— Nie mogłem przyjść wcześniej — odrzekł mąż z pokorą — miałam do załatwienia interes i straszny kawał drogi do przebycia, ale zobacz tylko, co przyniosłem. Z temi słowy postawił cudowny młynek na stole, szepnął coś z cicha, a ten zaraz mleć zaczął i wyrzucać z siebie wszystko, czego potrzebowali, więc najpierw świece, potem obrus, jedzenie i piwo, całą wieczerzę wigilijną, i cokolwiek powiedział, natychmiast ukazywało się z młynka. Żona stała za nim, raz po raz żegnałą się krzyżem świętym i koniecznie pragnęła wiedzieć, skąd dostał ten sprzęt czarodziejski. Ale żadną miarą nie chciał zwierzyć się z tego sekretu.

— Wszystko jedno, skąd go mam, kochana żono — tłumaczył łagodnie — widzisz przecie, że dobry, nawet wody nie potrzebuje, czegoż ci więcej trzeba?

I znowu coś mówić zaczął i sypało się jedzenie, napitki, wszelkie przysmaki, potrzebne na święta; a dnia trzeciego zaprosił przyjaciół, bo pragnął wyprawić niebywałą ucztę. Naturalnie, przybył

także brat bogaty, ale kiedy ujrzał wspaniałą zastawę, zrobiło mu się gorąco i zimno, zazdrość ukąsiła go w serce.

— Co to znaczy? — szepnął do sąsiada. blednąc. — W wigilię Bożego Narodzenia jeszcze był takim żebrakiem, że przyszedł prosić mnie o wsparcie, a teraz złoci się tu wszystko, jakby został królem! — i dalej mruczał coś cicho, ze złością.

— Skąd u dyabła masz takie bogactwa? — krzyknął wreszcie do brata, nie mogąc dłużej pohamować gniewu.

— Z za drzwi, z niedaleka — objaśnił tamten krótko, bo wcale nie miał ochoty powiedzieć mu prawdy.

Ale wieczorem, kiedy już z czupryn zaczęło się kurzyć i cały świat poweselał, nie mógł wytrzymać i opowiedział wszystko.

— Oto gąska, która znosi złote jajka — chwalił się z dumnym uśmiechem pokazując młynek, a potem ustawił go na stole, coś szepnął i znowu sypały się skarby.



...i sypało się jedzenie, napitki...

Kiedy bogacz to ujrzał, natychmiast zapragnął cudownego młynka i postanowił go zaraz odkupić. Biedny z początku słuchać o tem nie chciał, dopiero gdy tamten nalegał coraz natarczywiej, zgodził się go odstąpić za 300 talarów, tylko wymówił sobie, że go zatrzyma do lipca. Bo — myślał — przez ten czas mogę sobie namleć jedzenia na nieskończone lata.

Że w ciągu owych tygodni młynek nie próżnował, łatwo się domyślić, — skoro jednak przyszedł lipiec oddał go bratu, chociaż z wielkim żalem, — nic nie powiedział tylko, jak z nim postępować. Był właśnie wieczór, kiedy bogacz przyniósł cudowny sprzęt do domu, a nazajutrz z rana rozkazał żonie iść z kosiarzami na łąkę i potrząsać siano, a nie kłopotać się o nic, bo sam przygotuje obiad. I skoro zbliżyło się południe, uroczyście postawił młynek na kuchennym stole:

— Miel — śledzie i zupę z mleka — jak umiesz i jak potrzeba — szepnął z powagą zaklęcie.

A młynek zaczął mleć prędko, tak prędko, że w mgnieniu oka zapełniły się wszystkie miski, miseczki i garnki, a potem nasypało się jeszcze tyle, że zaległo całą kuchnię. Bogacz ustawiał, kręcił

i obracał młyn coraz inaczej, wszysto jednak nie zdało się na nic, bo mleć nie przestawał, i w końcu zupy było tyle, że mu prawie sięgała do głowy i groziła nie na żarty zatopieniem. Więc z rozpaczą otworzył drzwi sąsiedniej izby; ale to nie pomogło, bo i ta wkrótce zapełniła się śledziami i zupą; gospodarz ledwie zdążył chwycić klamkę i na dwór z mlecznego potopu wyskoczyć. Ale za nim podążyły znów śledzie i zupa, rozlały się szeroko i było ich coraz więcej, a wkrótce podwórze i całe pole spłynęło nieszczęsną potrawą.

A żonie, co z kosiarzami od świtu przewracała siano, strasznie długie wydawało się ono południe, i dziwiła się coraz bardziej, czemu mąż nie nadchodzi, czemu nie woła na obiad.

— Pójdziemy do domu — odezwała się nakoniec do kosiarzy — mąż tam pewnie, nieborak, nie może sobie dać rady z tą zupą, muszę mu pomódz.

Poskładali narzędzia i skierowali się w stronę folwarku. Ale kiedy minęli wielką górę, nagle ujrzeli na zakręcie morze mlecznej zupy, w której czerniło się mnóstwo śledzi, a gospodarz co sił uciekał i krzyczał w niebogłosy:

— Niech Bóg miłosierny sprawi, żeby każde z was miało po 1000 żołądków i szczęśliwie połknęło to wszystko! Zróbcież co, dobrzy ludzie, bo utonę z pewnością w tem przeklętem mleku!

I pędził jak szalony, aż wpadł, jak burza w obejście ubogiego brata. I zaraz zaczął błagać i powoływać się na Miłosierdzie Boskie, żeby zechciał zaczarowany młynek wziąć z powrotem.

Jeśli pomiele jeszcze choć z godzinę, to całą wioskę zatopi zupa mleczna i zasypią śledzie — wołał coraz głośniej z rozpaczą.

Ale brat biedny o niczem słyszeć nie chciał, dopóki bogacz znów nie dopłaci mu 300 talarów. Nie było innej rady, więc skąpiec ze złością wyliczył pieniądze, a biedny miał teraz złoto i cudowny młynek. A potem wybudował sobie okazałą chatę, o wiele wspanialszą, niż brata, gdyż młynek dostarczył mu tyle pieniędzy, że mógł obić ściany czystem złotogłowiem. Dom lśnił i świecił na wybrzeżu, aż blask jasny z daleka, z pełnego morza widać było, a ci, co po niem żeglowali, umyślnie zbaczali z drogi, żeby odwiedzić zbogaconego nędzarza w ślicznej, złotej chacie i obejrzeć cudowny młynek, o którym wieść rozchodziła się coraz dalej, bo ludzie gadali szeroko.

Aż raz zjawił się w złotej chacie obcy żeglarz i prosił o pokazanie zaklętego młynka; obejrzał go troskliwie, a potem zapytał, czy i sól mleć potrafi.

— I sól także — odparł uprzejmie gospodarz.

Wtedy żeglarz jął prosić, żeby mu sprzęt cudowny odsprzedał. Zapłaci za niego chętnie, ile zażąda.

— Nie potrzebowałbym — prosił — jeździć po sól aż na drugi koniec świata, przebywać straszne oceany, narażać się na burze i wichury, – mógłbym wreszcie odpocząć, zażyć pokoju i wczasu. Dam ci, co chcesz, a sprzedaj.

Właściciel z początku ani słyszeć o tem nie chciał, ale żeglarz prosił tak gorąco i usilnie, że wreszcie ustąpił młynek za wiele, wiele tysięcy talarów. A tamten porwał go, i zaraz przyszło mu do głowy, że lepiej nie zostawać tu dłużej, bo dawny posiadacz może się jeszcze rozmyśleć – pobiegł więc na okręt tak szybko, że ubogi nie zdążył go nawet objaśnić, jak sprzęt cudowny należy ustawiać. Chciwy żeglarz spiesznie wsiadł na okręt, czemprędzej kazał odbić, i wkrótce już byli daleko. Przepłynął ogromny szmat wody, aż wydostał się na wielkie modro-szmaragdowe morze! Teraz dopiero młynek ustawił na pokładzie.

– Miel sól, jak umiesz i jak trzeba — krzyknął, drżąc z niecierpliwości.

I młynek zaczął mleć natychmiast a tak szybko, aż chrupało i trzeszczało. A kiedy okręt pełen już był soli, chciał żeglarz zatrzymać młynek, ale jakkolwiek trząsł go i ustawiał, nic to a nic nie pomogło, bo sprzęt zaczarowany mełł ciągle, a sterty soli rosły, rosły, coraz większe i wyższe, aż przytłoczyły swym cieżarem okręt i cały poszedł na dno. Tam cudowny młynek lekko stanął na cichem dnie morskiem, i mełł, a mełł bez wytchnienia, i miele aż do dni dzisiejszych, a wszelka woda morska dlatego odtąd jest słona.

ZGADNIJ GADULO!

Gdzie miłość piękna?
Zgadnij gadulo!
Gdzie miłość jasna?
Powiedz matulo!

Znajdziesz ją dziecie
W sercu dziewczyny,
Która cnotliwie
Żyje bez winy.

Nie tam jej szukaj
Gdzie blaski biją
Jaskrawe, bo tam
Grzechy się kryją.

Gdzie cnota krasna
Na straży stoi
Tam miłość jasna
Dziewczynę stroi.

WŁAD. ŁUKASIK.

Rosa — łzy Matki Boskiej.

Legenda.

Jeszcze słońce niewiele drogi po niebie uszło, kiedy Najświętsza Panna Marya, ująwszy Synaczka na ręce, poszła w pola, aby trochę ziół leczniczych nazbierać i przynieść je do domu, aby wrazie potrzeby służyły dzieciątku lub świętemu Józefowi, albo też komukolwiek z sąsiadów. Iść jej wypadało wzdłuż wioski, więc też co krok spotykała znajomych, którzy Ją serdecznie pozdrawiali i o zdrowie pytali. Ona nawzajem witała spotykanych, zapytywała o kłopoty codzienne i strapionych pocieszała. A choć młoda była, bardzo młodziutka, to przecież wszyscy chętnie Jej rad słuchali, bo wiedzieli, że rozumem i najdoświadczeńszego przewyższa.

A widziała podczas swej przechadzki Najświętsza Panienka niejedno, co Jej serce krwawym bolem przeszyło. Oto zaraz na wstępie do wioski była świadkiem kłótni małżeńskiej, tak zażartej, jakby dwóch wrogów śmiertelnych walczyło. Za zbliżeniem się Najświętszej Panienki umilkli na chwilę sprzeczający się, a na Jej zapytanie poczęli obydwoje opowiadać powód nieporozumienia.

Słuchała Marya żalów małżonków, a gdy skończyli, rzekła:

— Ani jedno, ani drugie nie ma słuszności, boć rzecz, o którą się sprzeczacie, drobiazgiem jest zaledwie wobec tylu spraw o wiele ważniejszych. Gdybyście pamiętali, że w świecie jest tyle powodów do trosk i kłopotów, tobyście sobie drobiazgami głowy nie zaprzątali.

Gdy ich pożegnała, powaśnieni małżonkowie odeszli do domu w najlepszej zgodzie.

Dalej spotkała krnąbrne dziecko, które jakiegoś polecenia matki swej usłuchać nie chciało. Najświętsza Marya Panna spojrzała na nie tak żałosnym wzrokiem, że dziecię w tej chwili spełniło rozkaz matki.

A znów dalej natknęła się na pastuszka, który zabawiwszy się z towarzyszami, nie doglądnął pasącej się krówki. Nierozumne zwierzę, nie wiedząc, co wolno, a czego nie wolno, poczęło skubać rosnące opodal zboże. Pastuszek, rozgniewany na winowajczynię, począł ją okładać nielitościwie kijem.

— Dlaczegoż ją bijesz? — zapytała Najświętsza Panienka. — Wszak ty zawiniłeś, a nie ona!

Zawstydzony pastuszek połamał kij i postanowił więcej nie znęcać się nad bydlęciem,

I tak szła Najświętsza Panienka wśród wioski; jednych pocieszała, drugich karciła, innym dobrą radę dawała. A byli i tacy którzy słów nie potrzebowali, ale wzrok Jej odczuwali i do woli Jej się stosowali.

A kiedy wyszła poza wioskę i poczęła wspominać wszystko to, co wśród ludzi widziała, serce jej napełniło się żałością i łzy wypłynęły z Jej ócz Najświętszych, gdyż cierpiała bardzo nad złością tego świata.

Łzy płynęły z Jej oczu, ale nim spadły na ziemię, podlatywały ku nim motylki i muszki, chwytały je w powietrzu i w drobnych kropelkach składały na poblizkich listkach. Nie chciały dopuścić, aby łzy Najświętsze walały się po ziemi, lecz pragnęły, aby dopiero ciepły wietrzyk wysuszył je i uniósł w przestworza.

Pan Jezus, jakkolwiek maleńki był, widział to wszystko i rozumiał dobrze i swą Najświętszą mocą postanowił, że na pamiątkę łez, wylanych przez Świętą Rodzicielkę, gęste krople rosy pokrywają codziennie rano liście ziół i kwiatów. *Antoni Socha.*

Dąb.

A gdy już ze wsząd opadł liść,
Umilkły ptasząt śpiewy,
Śnieżysta spada z dachu kiść
I jakieś smętne płyną wiewy.....

Do izby pcha się zewsząd ziąb
I wstrząsa ciałem bezlitośnie...
Na polu smutny stoi dąb
I marzy tam o wiośnie.

I marzy dąb, co mocen był,
Kiedy majowe widział zorze.
Dzisiaj mu całkiem brakło sił
I szumieć już nie może.

Samotny w polu stoi dąb,
Wiatr targa nim bezlitośnie...
Minęło ciepło, chwycił ziąb,
Choć marzy dąb o wiośnie.

Obleciał z dębu liść,
Obdarty więc dąb stoi;
Czasem go tylko biała kiść,
Miast liścia, dziś przystroi.

Samotny stoi dąb
I o przyszłości marzy.
Na lasu patrzy zrąb,
Jak żyd tam gospodarzy.....

A. ST. B.

Brat przeciw bratu.

Zdarzenie prawdziwe z zeszłego roku.

.... Zmrok wieczorny. Słońce złoci ostatkami promieni chmureczki, cisza już powoli zaczyna swe królowanie. Wśród łanów pochylającego się pod ciężarem kłosów żyta występuje krwawo plama rdzawego ugoru, nakropionego gdzieniegdzie z żółtego piasku usypaną kretowiną. Zmrok się czai w bruzdach i dołkach, wyłazi zza miedze, snuje się po zielonych runiach zboża i niknie gdzieś w oddali, przechodząc w ciemną noc.

Miedzami, ostrożnie przesuwa się trzech ludzi. Szare ich ubrania, jak ten zmrok szare, a jeno w rękach dzierżą śmiercionośne karabiny, a za pasami jeszcze groźniejsze granaty ręczne. Idą powoli, co chwilę nasłuchując i przystając, jakby na kogoś oczekiwali, jakby kogoś śledzili.

Nagle z przeciwnej strony wyłoniły się trzy inne cienie.

Idący miedzami przyłożyli broń do piersi, palce spoczęły na cynglach karabinów. Chwila, a padną ostre strzały i położą trupem idących z przeciwnej strony.

— Nie strzelać! — odezwał się komendant patroli. — Najpierw trzeba zbadać, kto idzie!

— Mnie wsio jedno! — odparł jeden z towarzyszy — Lach, czy czort, to jedna sobaka!

— Nie strzelać, powiadam, a ty masz słuchać rozkazu! Zrozumiałeś?

— Ta niby tak!

Idący z przeciwnej strony również przystanęli. Z ruchów ich poznać było, że również wahają się, co im uczynić wypada. Wreszcie jeden odłączył się od pozostałych i wysunął się ku przodowi; dwaj inni z bronią przy piersi, gotową do strzału, śledzili każdy ruch przeciwników.

Przestrzeń, dzieląca dwie przeciwne patrole, z każdym krokiem zmniejszała się i już obydwie strony mogły pomimo zmroku rozpoznać, kogo mają przed sobą. Nie było już wątpliwości, że było to patrole ruska i polska.

Idący, będąc zaledwie kilkanaście kroków od patroli ruskiej, wyciągnął z kieszeni chusteczkę i zawiesił ją na karabinie na znak, że chce się z przeciwnikami porozumieć. Rusini opuścili broń.

— Kto idzie? — zapytał komendant patroli po rusku.

— Swój! — odrzekł idący.

— Co za swój? Ot, Lach..... I poco ty tu.....

— Jurek! Dalibóg Jurek! — zdziwił się przybysz. — I my w takiej chwili, tutaj..... jako wrogi?



...I tak żegnali się dwaj nieprzyjacielscy żołnierze.

— Staszek! — odkrzyknął komendant. — Szwagierek! A ty skąd tutaj.

— Nie widzisz! Prędzejbym się był śmierci spodziewał, aniżeli ciebie tutaj zobaczyć. Wszak idąc do wojska, zostawiłem cię w domu, przy boku żony.....

— Ot widzisz taki los. Ani ja wiem, dlaczego i poco? Kazali, musiałem.

— A cóż na to Helenka, siostra moja?

— Płakała, rozpaczała, ale cóż było robić? Pójdziesz, powiada, i po co? Wszak ja, żona twoja, Polka jestem. Brat mój, Stach, w polskiem wojsku. Żyliśmy tyle wieków razem, od setek lat nie było sporów, dopóki nie rzucono pomiędzy nas zarzewia niezgody. A i to

żarli się tylko politycy, podczas gdy narody żyły ze sobą dobrze. Najlepszy dowód, że ja Polka a ty Rusin, a przecież się kochamy i żyjemy w zgodzie. Ale takich małżeństw setki i tysiące.

Przerwał na chwilę i znać było, że to, co mówi, z trudem mówić mu przychodzi. Ale chciał wyspowiadać to, co czuł sam dawno, a co jego umiłowana żona głośno mu przy odejściu mówiła.

— I ja tak samo myślałem — ciągnął po chwili — choć tego głośno nie mówiłem, bom wiedział, że Polacy i Rusini mogą żyć ze sobą w zgodzie, byle się nikt trzeci pomiędzy nich nie mieszał. Niestety, mamy podstępnych opiekunów, którzy z naszej niezgody chcą zyski dla siebie ciągnąć i ot skutki tego. Byłbym nie poszedł, ale zmusili. Biedna Hela.....

Stach słuchał z prawdziwem wzruszeniem i szczerze szwagra żałował.

— Ot rzuć to wszystko i chodź z nami — rzekł.

— Nie mogę, nie mogę! A wiesz dlaczego? Bo i we mnie płynie krew polska; wszak matka moja była również Polką i babka również, a Polak obowiązki swe, choćby siłą narzucone, wypełniać umie. To jedno, a drugie: gdyby się dowiedziano, żem ruską sprawę dobrowolnie opuścił, kto wie, coby się stało z Helą, która jest jeszcze na terytoryum, zajmowanem przez Rusinów. Ty mnie rozumiesz.

— Niestety, rozumiem cię dobrze i żal mi cię, jak mi żal tych wszystkich, którzy znajdują się w położeniu, podobnem twojemu... Lecz cóż teraz?

— Niech się spełni do ostatka kielich goryczy! Może być, że padnę ja z twojej ręki, lub ty z mojej... Cokolwiek jednak się stanie, niech krew nasza i wszystkich nam podobnych, spadnie na tych, którzy tę bratobójczą rzeź wywołali.

Rzekłszy to, Jurek rzucił się w objęcia Stacha i tak wśród wieczornego zmroku żegnali się dwaj „nieprzyjacielscy" żołnierze, może po raz ostatni w życiu.

A. St. B.

OSTROŻNY.

Do pana A. przyszedł egzekutor podatkowy.

— Co — woła pan A. — w dniu moich imienin przychodzisz mnie pan fantować?

— Imieniny? A to w takim razie przyjdę jutro, może pan dziś jeszcze dostanie jakieś podarki.

Kowal - Michałek.

Powieść współczesna.

Michał i Zosia.

Upalny dzień chylił się ku wieczorowi. Łagodny wietrzyk orzeźwiał zgrzane lica chłopaków i dziewcząt, wracających do wsi z całodziennych sianokosów.

Wśród młodzieży rej wodziła dziewczyna, smukła i kształtna o ciemno kasztanowych włosach i niebieskich oczach. Była nią córka wdowy, gospodyni wiejskiej — Zośka Kobielanka.

Ojca straciła dawno. Kłoda drzewa ścinanego w lesie nieszczęśliwie ugodziła go i zabiła na miejscu.

Młoda dziewczyna szła nucąc wesoło, a doszedłszy do kuźni sąsiadującej z jej własną zagrodą zobaczyła, że kowal - Michałek (tak go nazywano we wsi) stał przed domem.

Zośka zwolniła nieco kroku, odłączyła się od reszty dziewcząt, a przechodząc koło ładnego chłopaka — szepnęła:

— Bądź dziś wieczór pod oknem moim!

Michałek skinął głową, i patrzył za dziewczyną dopóki nie zginęla mu z oczu za bramą swej zagrody. Wtedy westchnął i wszedł do domu.

— Michałku, chodź prędko! — zawołała matka, drobna kobiecina — ziemniaki wystygną.

Michał usiadł, ale zamiast zabrać się do jedzenia, patrzył w przestrzeń zamyślony.

Matka spojrzała nań stroskana.

— Michałku rozmawiałeś z Zosią?

— Jakże mógłbym to zrobić — rzekł Michał. Mogłaby nas zobaczyć jej matka lub ktoś z usłużnych sąsiadów doniósłby jej zaraz o tem. — Zaśmiał się ironicznie, a po chwili dodał: I dlaczego właściwie nie wolno mi Zosi kochać? Dlaczego nie mam pragnąć jej jako żony? Czyż nie dość zarabiam, by wyżywić żonę i dzieci?

— Wszystko to prawda Michałku, ale Kobielowa wysoko patrzy. Myśli, że po Zosię zajedzie jaki hrabia, a uczciwy i zdolny kowal, to dla niej zamało. Uderz gdzieindziej, a zobaczysz, że wszędzie będą ci radzi.

— Nigdzie nie będę uderzał! Kocham tylko Zosię, gdy matka jej pozna naszą miłość, zgodzi się, nie zechce nieszczęścia własnego dziecka.

Stara pokiwała głową, lecz chcąc uspokoić syna dodała:

— Wszystko może się zmienić, nie martw się, a tymczasem jedz, bo kolacya wyziębnie.

Michał nie dał się długo prosić, a ziemniaki i mleko szybko znikały z talerza.

* * *



— Bądź dziś wieczór pod oknem moim! — wyszeptała.

Zegar na małym wiejskim kościółku wskazywał dziesiątą. Michał wyszedł z domu i zmierzał ku sąsiedniej zagrodzie.

Niebawem zapukał lekko w okno sąsiedniego domu.

Skrzypnęło okno, a cichy głos zapytał:

— To ty Michałku?

— Ja, Zosiu. — Naprawdę nie znoszę tych tajemnic, czy matka twoja nigdy się nie udobrucha?

— Jeszcze wczoraj zagroziła mi, że jeżeli nie przestaną zajmować się tobą, wyszle mnie do miasta do ciotki.

Michał zafrasował się. Jakto może być tak nieubłagana matka,

jego prawy charakter oburzał się na myśl o jej uporze, a także niecierpiał wszelkiego kłamstwa i udawania.

— Zosiu — rzekł — wyjdź na chwilę do ogrodu.

Chwilę wahała się nuż zobaczy kto, nuż matka spostrzeże jej nieobecność w izbie, ale miłość przemogła i jednym skokiem dziewczyna znalazła się w ogrodzie.

Dopadli ukrytej w zaroślach ławeczki. Michał objął Zosię w pół i długo serdecznie całował.

— Michałku drogi — co będzie z nami?

— Pójdę jutro do twej matki i poproszę o moją złotą dziewuchę!

— Na nic Michałku — ona cię nie chce za zięcia, co gorsza nienawidzi całej twej rodziny, zwłaszcza matki.

— Nienawidzi? Dlaczego, mojej najdroższej matki? Nie rozumię Zosiu?

— Twoja matka odebrała jej ukochanego chłopca, bo matka moja kochała się w twoim ojcu i do dziś dnia mimo, że wyszła za kogo innego zapomnieć o tem nie może.

— Tak teraz rozumię. Trzeba nam się rozłączyć.

— Nie! nigdy w życiu! — zawołała gorąco Zosia — co mnie obchodzi niechęć matki. Kocham cię i nigdy nie opuszczę.

.Michał objął ją serdecznie.

— I ja będę ci wiernym. Przysięgam, ale matki nie należy obrażać nieposłuszeństwem. Na razie wyjadę do miasta do mego przyjaciela, pracujemy razem nad pewnym wynalazkiem, nie będzie mnie dłuższy czas. Gdy wrócę, może twoja matka zmieni się, widząc naszą stałość.

Umilkł. Cisza nocy rozlewała swą moc kojąca — zdala dolatywał śpiew słowika — kwiaty polne upajały wonią, a serca młodych śpiewały cudną pieśń pierwszej miłości.

Wreszcie Michał ocknął się z upojenia. — Najlepiej będzie, jeżeli rozłączymy się na czas jakiś i cierpliwie zniesiemy, co los zsyła. Da Bóg przetrwamy i doczekamy chwil szczęścia.

Zegar na kościółku wydzwonił dwunastą. — Zerwali się pospiesznie. Nagle Zosia prowadzona przez Michała zadrżała mu w objęciu.

— Patrz, okno zamknięte! — wyszeptała w rozpaczy...

— Biedactwo moje! Co teraz będzie. To moja wina — namówiłem cię...

Ale Zosia odzyskała zwykłą odwagę:

— Jakoś to będzie!

Jeszcze jeden długi całus i zniknęła w drzwiach chaty.

Michał oddalił się zwolna, a Zosia stała pod drzwiami, pukając nieśmiało. Wreszcie usłyszała groźny głos matki.

— Gdzież to byłaś?
Zosia nabrała odwagi.
— Tak samo jak inne młode dziewczęta mam swojego chłopaka i poszłam z nim porozmawiać. Nikt mi nie śmie zabronić tego, nawet ty matko!
— Zobaczymy — ofuknęła matka — syn postąpi tak jak ojciec.
— Nie — jestem tego pewna — kocha mię prawdziwie.
— A ja inaczej myślę, pojutrze odwiozę cię do ciotki, zostaniesz tam, dopóki nie zmądrzejesz!
Biedna Zosia noc całą spędziła, płacząc, dopiero nad ranem sen skleił jej znużone powieki.

Ciekawe zdarzenie.

Słońce prażyło, lekki wietrzyk unosił pył na gościńcu.
Michał pracował w kuźni, a uderzenia młota rozlegały się wokoło.
Nagle ktoś stanął u drzwi kuźni i Michał zobaczył sylwetkę eleganckiego mężczyzny.
— Dzień dobry — czy pan jest właścicielem kuźni?
-- Tak. Nazywam się Grządziel.
— Oto panie kochany stało mi się nieszczęście. Furman jadąc nieostrożnie złamał dyszel u powozu, zmuszony więc jestem zatrzymać się i prosić pana o naprawienie szkody.
Michał wyszedł z potrzebnemi narzędziami, a obcy mężczyzna usiadł na ławce pod domem.
Z chaty Kobielowej rozległ się głos kobiecy. Nieznajomy tak był zajęty myślami, że nie zwrócił uwagi. Wkrótce jednak zadziwił go śliczny śpiew kobiecy nucący wesoło.
— Tam do licha, chłopcze — zawołał na małego kowalczyka — kto śpiewa tak pięknie?
— Córka Kobielowej, ot tam w chacie.
Nieznajomy pan posunał się ku zagrodzie i śmiało drzwi otworzył.
— Niech będzie pochwalony! Przepraszam, że jestem tak śmiały — rzekł kłaniając się uprzejmie kobietom — to ta panienka śpiewa tak ładnie?
Zosia zarumieniła się jak wiśnia. Stara Kobielowa spojrzała nieufnie na gościa.
— Ja jestem muzykiem z zawodu, proszę niech panienka raz jeszcze zaśpiewa tę piosnkę. Wszak pozwolicie matko, bym posłuchał śpiewu córki.
— Proszę niech pan siada, skoro tak podoba się panu śpiew mojej dziewczyny, niechże zaśpiewa. Zosia zmięszana, ale i zadowolona z pochwały, zanuciła piękną pieśń: „Za Niemen het precz"!

Nieznajomy słuchał z widocznym zachwytem, gdy skończyła — ujął ją serdecznie za rękę i rzekł:

— Moje dziecko masz cudny głos, który należy wykształcić, a z czasem staniesz się sławną śpiewaczką.

Zosia patrzyła zdziwiona.

— Tak matko — jeżeli pozwolicie waszej córce, to będę jej nauczycielem śpiewu. Nie żądam zapłaty, skoro stanie się sławną, będzie to dla mnie dostateczną nagrodą.

Przez głowę Zosi przelatywały myśli jak ptaki spłoszone, śpiew, nauka, miasto, rozłąka z drogim Michałkiem wszystko to takie nagłe.

— A więc zgoda? — pytał znany muzyk Wybicki.

— Niech i tak będzie — rzekła matka — Zośka miała pojechać do ciotki do Lwowa, niechże jedzie i próbuje się uczyć śpiewu.

— Jak to dobrze — rzekł podając rękę kobietom. — Oto mój adres, zaraz po przyjeździe niech się Zosia zgłosi do mnie.

To mówiąc, wyszedł i wsiadł do naprawionego powozu, który czekał na niego przed kuźnią.

— Czemu tak milczysz — spytała matka Zosi?

— Sama nie wiem czy pojadę i czy się uczyć będę! Wszystko to takie dziwne.

Biedne dziecko nie wiedziało co Michał na to powie, a choć młodość popychała do nowości i wrażeń, jednak chciała się liczyć z wolą Michałka.

Matka znów cieszyła się myślą, że miasto i nauka wybiją Zosi z głowy nierozsądne kochanie.

* * *

I znów zapadł pogodny wieczór, a Zosia oparta o ramię Michałka pytała:

— Michałku, czy chcesz bym została sławną spiewaczką?

— O Zosiu, czuję, że to rozłączy nas na zawsze!

— Zapomnisz ty o biednym kowalu!

— Nie — nigdy — choćbym i królestwo dostała zawsze będę twoją.

— O, bądź mi wierną — i ja rąk nie założę, zrobiłem wynalazek, z którym mi się może poszczęści, a wtedy, może jeszcze wszystko obróci się na dobre.

— Do widzenia.

Ręce dziewczyny otoczyły szyję chłopca, a długi serdeczny pocałunek połączył oboje.

U celu!

Rok minął. Zima otuliła świat białym kobiercem.

Michał pracował wytrwale nad swoim wynalazkiem i cieszył się

listami Zosi. Nię skąpiła ich, ale Michał lękał się tej radości, która biła z tych kartek. Zosia upajała się własnym talentem. Łatwo więc mogła o nim zapomnieć — a on z czemże przed nią stanie.

Wtem ktoś do drzwi zapukał — to listonosz oddał Michałowi dużą firmową kopertę.

— Wiwat! Matuś kochana! — wołał odczytawszy pierwsze słowa. Szczęście zbliża się do mnie! Koniec naszej biedzie! Oto wynalazek mój jak piszą mi, jest bardzo ważnym w dziedzinie techniki, jestem wspólnikiem znanej firmy Grota.

— Bogu dzięki! — wołała uradowana matka.

— Tak matuś i ty nie opuścisz mię na stare łata, zawsze będziemy razem, tylko mieszkanie wynajdę. Tymczasem Zosia pod kierunkiem swego nauczyciela uczyła się pilnie.

Profesor Wybicki chciał ją już niebawem pokazać światu i pochlubić się nią. Urządził na razie nieliczne ale doborowe zebranie prawdziwych melomanów, by zaprezentować im swą uczenicę. Zosia w pięknej sukni, stoi przy pianinie i śpiewa, a całe grono z zapartym oddechem wsłuchuje się w jej śpiew cudowny. Skończyła uroczą pieśń z Halki, a młody baron Z. zbliża się ku niej serdecznie winszując.

— Co za uczta artystyczna! — rzekł ujmując jej ręką i czule patrząc w oczy.

Zosia skłoniła pięknie główką, ale rękę wyrwała nerwowo. Baron przygryzł wargi. Ta „mała“ stanowczo nie była łatwą zdobyczą. Napróżno dobierał wyrazów, posyłał kwiaty i cukierki — wszystko mijało bez wrażenia. Rozmawia z gronem pań, to śmieje się i żartuje ze starym Wybickim, zalotnie patrzy na kilku młodzików, a dla niego zimne spojrzenie.

* *
*

Nazajutrz w południe baron zjawił się u Zosi.

— Łaskawa panno Zofio — jak się pani czuje po wczorajszym wieczorze?

Zosia zbyła go jakimś obojętnem słowem.

— Co zrobiłem panno Zofio, że tak zimno mię pani przyjmuje. Dla innych umiesz być uprzejmą, dlaczego właśnie dla mnie jesteś tak nieubłaganą?

— Panie baronie, czy pan nie rozumie tego, że odwiedziny, kwiaty pana i zbyt rażąca uprzejmość, to moja zguba. Ludzie wezmą mię na języki. Jako prawdziwy szlachcic zechce pan zastosować się do mojej woli. Zbladł śmiertelnie, w ten sposób nie traktowano go nigdy, skłonił się Zosi, ślicznej z tym rumieńcem oburzenia i wyszedł dotknięty jej słowami do żywego. Zosia upadła na krzesło wyczer-

pana własną odwagą. Może źle postąpiła, a nuż baron zechce się zemścić i szkodzić w karyerze artystycznej? Wszak mówił jej Wybicki, że to bardzo wpływowy człowiek.

— Ale jak wojna to wojna! Kocham sztukę! nie dam się!

— Panienko! jakiś pan nie mówi nazwiska, chce się widzieć z panią — mówi, że dawny znajomy.

— Proś — zawołała Zosia, a serce biło jej młotem, a w uszach brzmiało słodkie imię — Michałko! Gdy wszedł, Zosia zmieszała się. Nie, to chyba nie on, jakiś pan elegancki...

— Zośka! cóż to nie poznajesz! To ja Michałko, w całej okazałości, nie kowal, ale spólnik fabryki Grota!

— Drogi, złoty, wyczekiwany! — wołała Zosia — jakiem ja szczęśliwa! Opowiadaj, siadaj, niech ci się napatrzę.

I Michał zaczął opowiadać dzień po dniu od chwili rozstania.

— O jakże się cieszę Michałku, że doszedłeś do celu. Jaki ty jesteś szczęśliwy.

— Szczęśliwy! Bez ciebie najdroższa? Wierz mi, wszystko bym rzucił, by módz razem z tobą znaleść się w sadzie naszej zagrody wiejskiej. Zosiu, wyrzecz się sceny i żyjmy razem!

— Nie Michałku, kocham cię i zawsze kochać cię będę! Ale miałażbym owoc mojej pracy i pracy mego nauczyciela zniszczyć raz na zawsze. Przynajmniej rok jeszcze poświęcę się sztuce, a potem masz mnie na całe życie.

Michał smutnie zwiesił głowę. Zosia zbliżyła się doń, a biorąc w swe dłonie głowę ukochanego Michałka zaczęła go słodko prosić.

— Najdroższy, niedobry, kochany Michałku! Co znaczy rok! Przeleci w życiu jak chwila, a potem zawsze a zawsze razem będziemy!

— Zosiu, ja nie chcę by wszyscy ludzie podziwiali cię, słuchali twego głosu, ja nie zniosę tego! boję się, że ktoś mi cię porwie!

— Ale Michałku, tak nie jest, ja będę ci zawsze wierną. To przesąd, artystki są także uczciwemi kobietami.

— Przebacz Zosiu, istotnie twojej prawości zaufać można! Niech będzie za rok!

— No widzisz, teraz toś znowu mój dawny Michałek. Co słychać z twoją matką?

— Mieszka ze mną. Z początku miasto i nowe życie męczyło ją i przestraszało, teraz już przewykła!

— Muszę ją odwiedzić i dla mnie ona będzie jakby kawałkiem mej ojczyzny, mej wsi drogiej — rzekła Zosia, a oczy przyszłej „diwy“ zaszły wilgocią.

— Przyjdź Zosiu, a teraz żegnaj, obowiązki wołają mnie!

Wyszedł, a Zosia długo jeszcze patrzyła za odchodzącym. Jakże

ładnie i dzielnie wyglądał. Mimowoli porównywała go z baronem, zblazowanym miejskim mizerakiem! Cóż za porównanie!

Po południu poszła na lekcyę. Gdy weszła do salonu stary Wybicki przyjrzał się jej uważnie.

— Dziecko kochane! Wygląda pani jak uosobienie szczęścia!

— Czy tak? Dziwne, istotnie bowiem spotkałam się z mojem szczęściem! — rzekła Zosia i opowiedziała staremu przyjacielowi o odwiedzinach Michała.

— Hm — rzekł Wybicki. — Więc zapewne opuścisz sztukę, starego nauczyciela i wyjdziesz za mąż, nieprawdaż?

— O mistrzu drogi! Za taką mię pan masz, oto obdarzyłeś mię skarbem, a ja mam cię zostawić na lodzie?

— Nie, wiem. że jesteś wdzięczną dziewczyną! Ale co to było z baronem? Spotkałem go przed domem, ale tak był zmieszany, że mię nie poznał nawet.

Zosia zbladła.

— Dałam baronowi do poznania, że kompromituje mnie swymi względami.

Wybicki zamilkł.

— Czy tylko nie postąpiłaś pani zbyt ostro?

— Nie, a chciałbyś mię pan widzieć obmówioną przez całe miasto.

— Nie, zresztą mam na tyle wpływu, że potrafiłbym cię osłonić. — Ale do roboty, pojutrze twój debiut, a to nie żarty.

U matki Michała.

W zacisznym i ładnie urządzonym saloniku siedziała matka Michałka uszczęśliwiona z obecności Zosi.

— Kochana pani, wszystko ładnie, ale nie mogę przyzwyczaić się do tej modnej elektryki. Proszę Michałka, by mi sprowadził moją starą lampę naftową, a on nie chce o tem słyszeć.

— Przyzwyczai się pani niezawodnie, ale przedewszystkiem proszę mi mówić po imieniu, — tak jak dawniej. To mi przypomina naszą wieś drogą!

— O Boże moja wieś kochana! Ciekawam, jak długo trwać będzie cała nasza świetność — za dużo się wydaje, za dużo! Mamy kucharkę, pokojową, Michał nie pozwala mi nic robić, sama służba kosztuje to, co Michał na wsi zarabiał!

— Ależ obecnie zarabia znacznie więcej — rzekła Zosia śmiejąc się w duchu z naiwności starej kobiety, nie wydaje całych dochodów, może połowę odkłada.

— Czy doprawdy — rzekła ze zdziwienia stara kobieta.

— Mogę panią zapewnić.

— To dobrze. Tak pragnę jego szczęścia, a nieraz bywał bar-

dzo smutny, ot co tu w bawełnę obwijać, kocha cię i pragnie cię mieć za żonę.

— Będę jego żoną — ale czyż mogę zrobić zawód poczciwemu nauczycielowi i rzucić to wszystko, co z trudem zdobyłam.

— To nie. Uczciwość na to nie pozwala, nie można złem za dobre odpłacać. Ale oto Michałek. Chodź, dziecko, tak mi dobrze z Zosią. Michałek czule uścisnął rękę Zosi.

— Boże! jakiż ten rok będzie długi!

Późno już było, gdy Michał odprowadzał Zosię w zimną noc wyiskrzoną gwiazdami, ale oni nie czuli zimna. Śnieg skrzypiał pod ich nogami, a krew gorąca płynęła w żyłach. Pożegnali się gorącym pocałunkiem i Michał wracał do domu z sercem przepełnionem radością. Wtem na rogu ulicy spotkał swego dawnego przyjaciela współpracownika w wynalazku, który mu przyniósł znaczenie i niezależność.

— Jak się masz Michale, widziałem cię już przed chwilą, ale tak byłeś zajęty twą towarzyszką, że mnie nie spostrzegłeś.

— Doprawdy? Szedłem z moją narzeczoną. Nie uwierzysz Władysławie jak bardzo jestem szczęśliwy!

— Aż tak? — wyszeptał Władysław. Michał spojrzał zdziwiony.

— Co ci jest Władysławie, tak jakoś dziwnie wyglądasz? Czy nie cieszysz się wraz ze mną?

— Istotnie chciałbym się cieszyć... ale doprawdy nie widzę szczęścia w tym związku.

— Co mówisz?

— Wiesz Michale, nie chciałbym uchodzić za starą bajczarkę, a że właściwie nie mam żadnych dowodów, trudno mi coś powiedzieć. Dobranoc, mróz wściekły, trzeba się spieszyć do domu.

— O hola! mój panie, nie puszczę cię zanim mi wszystkiego nie powiesz, znam cię i wiem, że na wiatr nie mówisz. Chodź, wejdziemy do kawiarni i pomówimy swobodnie.

— A więc — rzekł Michał sadowiąc się na kanapce obok przyjaciela — chodzi o moją dziewczynę, muszę wiedzieć co o niej mówią.

Władysław poważnie się zamyślił, wreszcie rzekł,

— Nie gniewaj się na mnie, może nawet nie uwierzysz temu co ci powiem o Zosi Kobielance, dzisiejszej diwie naszej, znanej pod pseudonimem „Astry". Cudna ta dziewczyna wpadła w oko baronowi Z. Jest to człowiek o bardzo burzliwej przeszłości, znany kobieciarz. Nie ominie on żadnej pięknej kobiety, by jej nie uczynić swą kochanką. Pannę Zofię widziałem nie raz sam na sam z tym panem, bądź na przechadzkach, bądź w kinie lub teatrze.

Michał zbladł — jak błędny patrzył na przyjaciela.

— Nie to być nie może. Zosia i zdrada, nie, to niemożliwe!

Ale zaraz jutro muszę się z nią rozmówić.

— Nie, tego nie rób wszak nie masz żadnych dowodów zdrady, to co mówiłem, jeszcze niczego nie dowodzi, tylko osoba tego barona naprowadza na złe myśli.

— Im prędzej tem lepiej, nie potrafię żyć w niepewności. To nad moje siły. Władysław już żałował swych słów, a widząc zgnębienie przyjaciela zaczął go pocieszać.

— Tylko odważnie Michałku, da Bóg, wszystko się wyjaśni. — Baron bywał często u Wybickiego. Ma on wpływy w świecie artystycznym, trudno artystka musi dbać o swą karyerę.

Tej nocy Michał nie zaznał spokoju. Biedak ciągle powtarzał sobie słowa przyjaciela. W rozpaczy przyciskał rozpaloną głowę do szyby zamarzniętej. Miałby stracić Zosię? — Czyż każde jej słowo miałoby być kłamstwem? — Po co pozwolił na jej wyjazd do miasta — wtedy jeszcze była czystą, prawą dziewczyną kochającą go z całego serca, teraz to artystka — myśli o sławie, a dobre imię kobiety przestało jej być drogiem. Nad ranem zasnął zmęczony. Gdy wyszedł ze swego pokoju, biedna matka przeraziła się jego bladością.

— Michałku, bój się Boga, nie pracuj tak wiele, zdrowie stracisz — mówiła patrząc z trwogą na swego jedynaka.

Zosia przeciwnie całą noc spała wyśmienicie, a pierwszą jej myślą po przebudzeniu był Michał. Pewnie dziś przyjdzie! cieszyła się i nuciła wesoło dzień cały, ale napróżno. Minęło popołudnie a Michała nie ma. Wieczorem zaszła do matki narzeczonego. I znów napróżno wyglądała Michałka, a stara kobieta mówiła jej o bladości syna i o jego dziwnem zachowaniu.

— Nic do mnie nie mówi, siedzi zmartwiony, nie ma apetytu.

— Czy tylko nie chory? — rzekła Zosia i obie kobiety zaniepokoiły się serdecznie. Wreszcie nadszedł posłaniec z listem. Michał uwiadomiał matkę, że wieczór spędzi u przyjaciela.

Obie kobiety odetchnęły swobodniej.

Tylko Zosia znalazłszy się u siebie w pokoju, długo zastanawiała się nad przyczyną nieobecności Michałka. Wszak wiedział, że miała być dziś u jego matki, sam prosił ją o to — dlaczego zmienił zamiar i został u przyjaciela. Mężczyzna zakochany zawsze przenosi towarzystwo ukochanej nad inne towarzyskie przyjemności — czyżby ją przestał kochać? Po raz pierwszy nie mogła pojąć jego postępowania.

Nazajutrz dostała bilecik, gdzie donosi, że nie mógł z nią spędzić wieczoru, gdyż miał nie cierpiące zwłoki interesa, ale wieczór stawi się w teatrze, lecz nie będzie mógł pozostać do samego końca.

Zosia uspokoiła się, jakby promień słońca przebiegł po jej twarzy. Jakże była dziecinną z całym tym niepokojem. Michał istotnie nie chciał się z nią widzieć, a chciał ją z ukrycia śledzić przy wyjściu z teatru

Widownia szczelnie była zapełniona, zaciekawienie kolosalne.— Wszyscy znali Wybickiego i wiedzieli, że jeżeli on podjął się pracy jakiejś, to niezawodnie materyał był niepospolity, a uroda Zosi znana była w całem mieście.

Sprawdziły się domysły. Zosia śpiewała ślicznie, powodzenie było osiągnięte w całej pełni. Michał zasiadł w loży ukryty przed okiem Zosi. Baron zachwycał się otwarcie, a wspaniałe kosze kwiatów były hołdem, który jej składał. Uszczęśliwiona dziewczyna kłaniała się wszystkim, a wypatrywała tęsknie ukochanego. Wreszcie mignęła jej droga twarz Michała — lecz o zgrozo — zamiast skinąć jej głową, lub uśmiechnąć się przyjaźnie, odwrócił się od niej ze smutkiem czy z pogardą? Nazajutrz Zofia zapadła ciężko na zdrowiu, silna gorączka zapowiadała poważną chorobę.

*
* *

Nastała wiosna — złota śmiejąca wiosna. Zofia powstała z długiej niemocy i czuła się zupełnie zdrową. Ale w duszy jej nie było dawnej swobody i młodzieńczej wesołości. O Michale nic nie słyszała od dawna. Wszyscy unikali z nią tego tematu. Wybicki nakłonił ją do dalszych studyów w muzyce, aby się przygotować do nowego sezonu. Zosia wahała się nieco, lecz wreszcie i cóż jej pozostało Do domu nie chciała powracać, wszak to matka była powodem jej nieszczęścia, gdyby nie jej dawne żale, byłaby dziś szczęśliwą żoną Michałka. Los nie szczędził Zosi smutków — oto nagle zmarł poczciwy stary nauczyciel i przyjaciel Wybicki. Nie mając krewnych, wszystko zapisał Zosi, tak, że stała się dziedziczką znacznego majątku. Resztę pieniędzy przeznaczył na zapomogi dla utalentowanych śpiewaków.

W liście, który Zofia znalazła po śmierci swego drogiego mistrza, zaleca jej, by nie porzucała sztuki. Będzie ona twą pocieszycielką — pisze — nie opuszczaj jej. a ona cię też nie opuści!

Zofia postanowiła posłuchać tej rady. Nie tu we Lwowie, tu mieszka Michał, mogłaby się z nim spotykać, a ona pragnie zapomnieć, wszak nic nie zawiniła i duma nie pozwala na żadne zbliżenie, ani tłumaczenie z jej strony.

Wyjaśnienie.

Michał stał się dziwnym człowiekiem. Zamknięty w sobie, unikał towarzystwa, oddawał się pracy z zapałem, nie pragnąc wypoczynku. Z chwilą, gdy wyobraził sobie, że Zofia jest mu niewierną, coś jakby w nim zamarło. Z dnia na dzień był smutniejszy, żył tylko wspomnieniami dawnych chwil szczęścia.

Przyjaciele niepokoili się jego stanem.

— Panie Michale — mówił jego spólnik Grot — niech pan

odświeży się trochę i wypocznie. Oto lato w całej pełni, należy więc poratować siły.

— Nie jestem chory, ale ma pan słuszność, trzeba trochę wyjechać. Z dawna mam ochotę poznać Szwajcaryę. Istotnie wyruszę w świat.

— Bardzo panu polecam okolice nad jeziorem Garda, cudne tam widoki i powietrze balsamiczne. W ciszy cudownej górskiej okolicy czuł się Michał lepiej — idąc za radą Grota, udał się nad jezioro Garda. Tu często rozmyślał nad Zosią. Po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, co ma właściwie do zarzucenia tej swojej dziewczynie. Wszak kwiaty dane artystce i pocałunek złożony na jej ręce nie dowodzą jeszcze zdrady względem narzeczonego.

Pewnego dnia Michał zapuścił się w góry, szedł kilka godzin, wreszcie spoczął pod drzewami i patrzył w dal. Nieznacznie sen skleił jego powieki, a marzenia rzeczywistości zamieniły się w marzenia senne. Widział Zosię w bieli stojąca na scenie, a szereg rąk wyciągało się ku niej z kwiatami i wieńcami. Chciał i on podbiedz do niej, gdy rozległ się huk i scena zapadła się, a Michał zerwał się na równe nogi. Przetarł oczy, drugi grzmot ocucił go ze snu, wokoło panował mrok ponury, a ciężkie powietrze zapowiadało nadchodzącą burzę. Niebawem gęsty deszcz zaczął padać. Michał skręcił w boczną leśną drożynę i biegł szybko sam, nie wiedząc, gdzie się schronić. Wreszcie zmęczony i przemoczony do nitki spostrzegł małą jakąś szopę wśród drzew, wszedł przez niskie drzwi i ujrzał z wielkiem zdziwieniem barona Z.

— Czy mi się zdaje, że poznałem pana u panny Kobielanki!

— Tak istotnie, panie baronie, znamy się ze Lwowa — to mówiąc Michał usiadł zdala na pniu drzewa.

— Panie Michale — rzekł baron po chwili milczenia, zdaje mi się, że to Opatrzność sprowadziła nas tu razem — wszak panna Zofia była pańską narzeczoną i poróżniłeś się pan z nią, sądząc, że ona darzy mię miłością. Bądź pan pewien, że tak nie jest.

Michał spojrzał zdziwiony.

— Czy zaprzeczysz pan może, że często towarzyszyłeś mej narzeczonej i okazywałeś jej szczególne względy?

— Istotnie kochałem pannę Zofię, a może i kocham jeszcze — ale mogę zaręczyć słowem honoru, panna Zofia dała mi poznać zupełnie otwarcie, że nie pragnie moich zabiegów.

— Czy istotnie mogę wierzyć słowom pana.

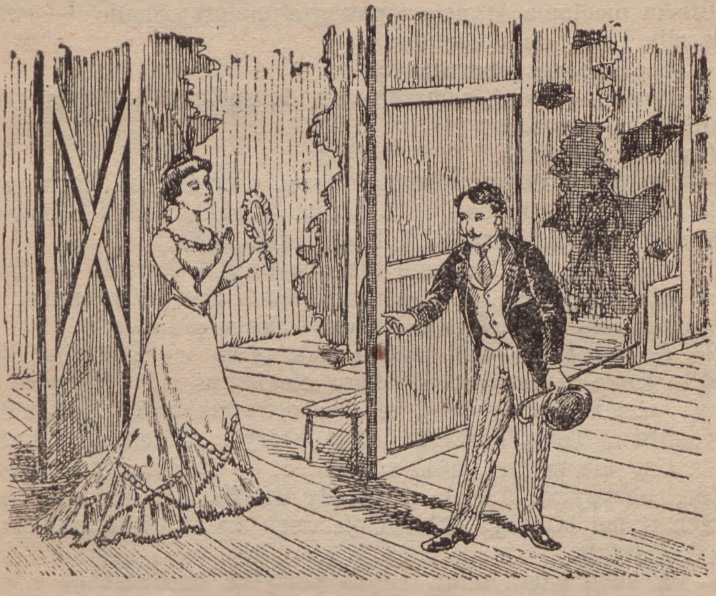
— Najzupełniej! — Gdybym był wiedział, jak rzeczy stoją, nie byłbym nawet zabiegał o względy panny Zofii, dowiedziałem się dopiero później o zamiarach pana. Ustępuję, bo pragnę szczęścia panny, a sam zamieszkam w moim majątku i zacznę żyć poważnie,

pracując pożytecznię, może to uzdrowi mnie moralnie. Czy mi pan przebacza?

— O, panie łbaronie, winy ze strony pana nie było. Wszak o to nie mogę mieć żalu, że pokochałeś pan Zosię. Ale powiedz mi pan, co się z nią dzieje, gdzie jest obecnie.

— Dokładnie nie wiem — gdzieś występuje na scenie.

Michał smutnie się zadumał.



Blizka omdlenia stanęła... i patrzyła nieprzytomnie...

— Tylko odwagi — znajdziesz ją pan, czytaj tylko pilnie zapiski teatralne. Michał uścisnął z wdzięcznością dłoń barona.

Ślad zaginionej.

— Michale! – wołał Władysław wchodząc do gabinetu przyjaciela. — Znalazłem! Patrz tu w gazecie. Ja mimowoli i w najlepszej chęci rozłączyłem cię z narzeczoną, ale szczęśliwy jestem, że odnalazłem twój skarb.

— Michał uścisnął przyjaciela. — Wiesz, że nie posądzałem cię o nic złego! Nazajutrz Michał siedział już w loży i czekał na ukazanie się ukochanej dziewczyny. Serce biło mu, jak młotem, a tony grającej orkiestry dziwnem wzruszeniem napełniały serce jego. Wresz-

cie doczekał się. Zosia świeża i wdzięczna, weszła na scenę. Wyładniała jeszcze od ostatniego widzenia, a głos stał się pełniejszym i dźwięczniejszym! Michał słuchał i podziwiał, wreszcie dziwny niepokój kazał mu wyjść z teatru. Obawa jakaś zakradła mu się do duszy, a nuż zapomniała, a nuż nie przebaczy tego braku zaufania!

Wreszcie tłum zaczął opuszczać teatr. Michał stanął przy wejściu za kulisy i czekał. — Zosiu! — zawołał — i ujął ją za rękę.

Bliska omdlenia stanęła i patrzyła nieprzytomnie — wreszcie zebrała siły i spytała obojętnie:

— Czem mogę panu służyć?

— Zosiu — rzekł, zmuszając się do spokoju — ja tak cierpiałem, ulituj się, przebacz!

Ona się zawahała.

— Tu nie możemy mówić. Proszę, przyjdź pan jutro w południe do mego mieszkania — a zanim Michał zdołał odpowiedzieć, odeszła szybko. Nazajutrz Michał odwiedził Zosię.

— Czemu jesteś dla mnie tak obojętną! — pytał. — Tak serdecznie żałuję tego, co się stało, tak bardzo cię przepraszam, czemu mi nie ufasz, czy już mię nie kochasz! Zosia zadrżała.

— Kochałam cię tak bardzo, jak tylko może kochać kobieta. Ale jakże mogę ci przebaczyć, skoro nie ufałeś mi. Wierzyłeś obcym ludziom, czemu nie spytałeś mi się otwarcie i nie pozwoliłeś się usprawiedliwić. Teraz burzysz spokój, który z trudem odzyskałam.

— Czy nie możesz mnie zrozumieć! — Baron towarzyszył ci wszędzie, obsypywał kwiatami, wtedy we Lwowie całował twe ręce w oczach tłumu bijącego oklaski, ja tego znieść nie mogłem, serce mi się krajało!

— A skąd wiesz teraz, że to pomyłka zazdrosnego człowieka!

— Baron mi to powiedział. Spotkałem go latem w Szwajcaryi, on przyznał się do odprawy, którą otrzymał od ciebie.

Zosia wyczerpana rozpłakała się rzewnie.

— Droga, ukochana – wołał Michał — przebacz, nie płacz, będziemy jeszcze szczęśliwi! Porwał ją w ramiona i okrywał pocałunkami.

— Nie puszczę cię, chodź, zabiorę jak moją, do domu!

– Nie drogi — mówiła Zosia uśmiechając się przez łzy, muszę kontraktu dopełnić — ale potem zabieraj mię i nie opuszczaj już nigdy, bo przez ciebie wiele wycierpiałam goryczy.

Błogosławieństwo matki.

Z wiosną powróciła Zosia do Lwowa i zamieszkała w willi zapisanej jej przez profesora Wybickiego. Tu zaczęła myśleć o przygotowaniach do ślubu, zarazem i o tem, czy matka jej da się przejednać i czy udzieli błogosławieństwa małżeństwu jej z Michałem.

Pewnego dnia dostała list od miejscowego proboszcza, który donosił, że matka silnie zaniemogła i pragnie ją widzieć.

Zosia bardzo wzruszyła się tym listem, istotnie dawno nie była w domu, a choć matka była ostrą i nieprzejednaną względem niej, zawsze to matka rodzona. Michał postanowił odwieźć narzeczną — jakże im było miło widzieć znowu te miejsca, w których nięgdyś żyli. Teraz zmieniło się wszystko, on jest wspólnikiem wielkiego przedsiębiorstwa, ona znaną gwiazdą operową.



Zosia usiadła koło łóżka, czekając aż matka się przebudzi.

— Michałku — mówiła Zosia — chciałabym mamę zastać przy życiu, gdyby umarła, nie miałabym spokoju, zawsze brakowałoby mi jej błogosławieństwa. Nie odwiedzałam jej dawno, bo miałam żal, że gdy ja ciężko chora leżałam, ona nie chciała przyjechać do mnie.

— Doprawdy? Dlaczego?

— Dlatego tylko, że byłam twą narzeczoną.

Wreszcie dojechali do wsi rodzinnej, a było to wieczorem, ludzie siedzieli na progach chat, zdziwieni, patrzyli na tę strojną i dorodną parę. Witali się ze wszystkimi. Im bliżej własnej zagrody, tem silniej biło serce Zosi. W drzwiach spotkali sędziwego proboszcza.

— Chwała Bogu moje dzieci, że jesteście, chora ciągle o was mówi i pragnie widzieć córkę.

— Wejdę najpierw sama, nie chcę matki zbytnio wzruszyć.

W pokoju zmrok zapadał, chora leżała z zamkniętemi oczami. Zosia usiadła koło łóżka, czekając, aż matka się przebudzi.

Po chwili chora spojrzała na córkę.

— Zośka! — wyszeptała cicho. — Wreszcie jesteś.

— Przebacz matko, dawno tu nie byłam, a tyś chora!

— Nie Zosiu, to ja muszę o przebaczenie prosić, ja nie pojechałam, choć wiedziałam, że leżysz chora w obcem mieście. Teraz żałuję tego, tak jak i tego, że zniszczyłam twoje szczęście.

— Nie mamo, ja jestem szczęśliwa i ty jeszcze ucieszysz się szczęściem mojem, wyzdrowiejesz, będziesz z nami!

— Jak to dobrze — ksiądz nasz długo dziś ze mną rozmawiał — tłumaczył mi, że nienawiść, to ciężki grzech, że Bóg każe zapominać i odpuszczać. Ja błogosławię was z całego serca!

— O dzięki wam matko — rzekła Zosia do głębi wzruszona. — Michał jest ze mną, czy może to usłyszeć z ust twoich.

— Dobrze moje dziecko!

Gdy Michał wszedł do izby i spostrzegł, jak chora się zmieniła, tak się rozrzewnił jej widokiem, że nie mógł się wstrzymać od płaczu.

— Michale! — ty płaczesz nademną?

Michał zbliżył się szybko i rzekł:

— Tak matko Kobielowo! Przykro mi bardzo, że jesteście tak chorzy. Chora przymknęła powieki i upadła wyczerpana na poduszki.

Niedługo potem zasnęła na wieki.

Nowe życie.

Na pogrzebie matki, Zosia zasłabła. Jej wrażliwa natura tak się bardzo wzruszyła ostatniemi przejściami, że trzeba jej było pozostać na wsi pod opieką pielęgniarki. Michał wrócił do Lwowa, gdzie już konieczną była jego obecność.

Matka Michała niecierpliwie oczekiwała syna.

— Wiesz Michałku, mało brakowało, a byłabym za wami pojechała — rzekła witając go.

Gdy jej Michał opowiadał o śmierci Kobielowej, łzy rzęsiste polały się po jej zmarszczonej twarzy.

— Bogu dzięki. — I mnie jest lżej na sercu, że pojednała się ze wszystkiemi i w spokoju odeszła. Michał z dnia na dzień oczekiwał wiadomości od Zosi. Wreszcie doniosła mu w paru słowach, że czuje się lepiej, ale ma kłopot, bo dotychczasowa jej pielęgniarka odchodzi, a ona potrzebuje jeszcze opieki.

— To ja pojadę — zawołała matka Michała. Już mam dosyć tego próżniactwa, a przytem tak się cieszę, że zobaczę swoich!

— Czy tylko nie zabardzo się zmęczysz mateczko!

— Ależ nie, dość mam tego siedzenia z założonemi rękami!

Wtem weszła Kasia.

— Jakaś panna chce się widzieć z panem?

— Proś — ale kto to być może.

— Ach to pani! panno Nelo! — Michał przypomniał sobie jedną z znajomych Zosi uczenicę Wybickiego.

— Czem pani mogę służyć?

— Przepraszam, że tak niespodzianie napadłam na pana — ale ja chciałabym dać Zosi znać o moich zaręczynach z baronem Z., a właściwie nie wiem, czy jej to nie będzie przykro.

— Ale bynajmniej — odrzekł Michał. Zosia wraca za jakie parę dni, może ją pani odwiedzi i oznajmi jej tę nowinę. Winszuję pani serdecznie, widziałem się z baronem w Szwajcaryi i uważam go za prawdziwego dżentelmena.

Gdy za kilka dni Michał wszedł do ogródka na plebanii wyszła ku niemu Zosia. Uszczęśliwiony porwał ją w objęcia.

— Jaki ja jestem szczęśliwy, żeś już wyzdrowiała moja ty jedyna!

Tu wszedł sędziwy proboszcz i z radością spoglądał na młodych, zapraszając na lekki posiłek.

Po obiedzie, gdy młodzi wyszli do sadu, Michał opowiedział Zosi o wizycie Neli.

Zosia zadziwiła się bardzo.

— Doprawdy? Wątpię, czy Nela będzie z nim szczęśliwa

— Ależ pewnie — odpowiedział Michał — gdy z nim rozmawiałem nad Gardą poznałem dopiero jego prawy charakter.

W kilka dni później wszyscy troje wrócili do Lwowa: Zosia znowu zamieszkała w swej willi, a Nela częstym była u niej gościem.

— Kiedy twój ślub? — pytała Zosia.

— Nie wiem. Ale ułożyłam sobie, że to nastąpi w tym samym dniu co wasz ślub.

— Wątpię Nelu, twój narzeczony nie zechce tak długo czekać, ja chcę najpierw ukończyć żałobę.

Służąca oznajmiła przybycie barona.

— Oto żałujący grzesznik — rzekł baron, ściskając rękę Zofii.

— O panie baronie, wszystkie grzechy darowane i zapomniane. Znam pana jako najmilszego towarzysza i prawego człowieka i serdecznie życzę państwu szczęścia prawdziwego.

— Andrzeju, właśnie mówiłam Zosi, że pragniemy razem urządzić nasze zaślubiny. Czy dobrze? Baron zamyślił się chwilę:

— Dobrze! to będę doprawdy wesołe zaślubiny!

* * *

Koło Bożego Narodzenia umarł Grot. Wypadek ten serdecznie zmartwił Michała, gdyż zmarły był mu nie tylko wspólnikiem, ale i serdecznym przyjacielem, a także musiał pomyśleć o jakiejś pomocy, gdyż sam nie dałby rady tak mozolnej pracy w fabryce i biurze.

Wtedy przypomniał sobie o Władysławie — nikt lepiej nie poprowadzi od niego całej administracyi, a i technik z niego znakomity.

Władysław przystał na zrobioną mu propozycyę.

Połączeni na zawsze.

Nadszedł dzień ślubu. Obie panny kończyły się ubierać, obie w bieli i kwiatach wyglądały przecudnie.

— Zosiu! serce bije mi jak młotem· Lęk jakiś ogarnia.

— Nie bój się Nelko, wszystko w ręku Bożym. On pozwoli nam wypełnić wszystko co do nas należy. Patrz, oto nadchodzą nasi mężowie.

W tej chwili wszedł Michał z baronem.

— Zosiu — zawołał Michał — teraz przypomniał mi się sen, który miałem w lesie w Szwajcaryi. Widziałem Cię w bieli, wyglądałaś tak, jak dzisiaj, tylko stałaś na scenie: raptem huk straszny rozległ się, a ty zniknęłaś mi z oczu.

— Michale, czy to nie zły znak! — zawołała Zosia.

— Ależ pani — rzekł baron — scena przepadła, to znaczy, że pani nigdy już na niej nie stanie, a ty Michałku, trzymaj dobrze swój skarb, a nie zniknie ci z oczu.

— Ale siadajmy do powozów i jedźmy po twoją matkę Michale.

Obiad weselny odbył się w mieszkaniu rodziców Neli. Między gośćmi był stary proboszcz, który pobłogosławił młode pary i Władysław, jedyny przyjaciel Michała. Toastowano na cześć młodych, to na cześć rodziców i przyjaciół, wreszcie na cześć sztuki. Na prośbę barona, Zosia zaśpiewała parę aryi ku zachwycie zgromadzonych.

Baron z Nelą udał się w podróż nad ulubione jeziora szwajcarskie. Michał z Zosią pojechali do wsi rodzinnej. Dla nich ta polska wioska miała nieporównany urok swojskości, tu przypominali sobie te księżycowe wieczory spędzane razem pokryjomu przed matką.

Zosia odwiedziła grób matki, a gdy Michał chciał ją odwieść od tego zamiaru, by się za bardzo nie wzruszała, odrzekła mu z prostotą:

— Nie bój się — smutki już pogrzebałam, teraz w sercu zagości wieczna radość i szczęście.

— Oby to Bóg dał moja najdroższa!

Mądry wieśniak.

Legenda.

Dawnemi czasy, gdy Chrystus był jeszcze na ziemi, spotykał często pewnego wieśniaka, który za każdym prawie razem rozpoczynał z Chrystusem sprzeczkę i to — o pogodę.

— Wszystko Bóg dobrze urządził — mawiał — ale powietrze daje nam często przewrotne, widać, że nie wie, jakiego nam dla zboża potrzeba! Mówisz, żeś Synem Boskim — napraw więc to złe, jakie nam Ojciec Twój wyrządza!

Chrystus uśmiechnął się i obiecał wypełnić jego życzenie.

I gdy jesienią wieśniak skończył zasiewy, rzekł do Chrystusa, zbierając miechy:

— Teraz powinien deszcz padać aż do jutra rana!

— Dobrze — odpowiedział Jezus — tak będzie, jak sobie życzysz!

Wieśniak ucieszył się bardzo i zaraz na drugi dzień, po ciepłym deszczu, życzył sobie słońca. I tak było codziennie. Raz deszcz, raz słońce — zawsze stosownie do tego życzenia. I wnet okryło się pole bujną zielenią i z początkiem lata stało zboże wysokie, gęste, pełne najpiękniejszych kłosów. Wieśniak nie posiadał się z radości.

— Teraz powinien Pan Bóg wiedzieć, jakiej nam pogody trzeba! Byle sobie tylko spamiętał, kiedy ma zesłać deszcz, a kiedy słońce! Zboże tymczasem dojrzało, zostało skoszone i zawiezione do stodoły. Ale wieśniak zaczynał się trochę niepokoić. Już przy koszeniu zdawało mu się, że źdźbła stały dziwnie równo i że snopy były bardzo lekkie. Pocieszał się jednak tem, że to mu się tylko tak zdawało! Ale gdy się zabrał do młócenia, wtedy posmutniał na dobre — słomy miał bardzo wiele, ziarna za to bardzo mało! Zeszłego roku, gdy Bóg dawał pogodę podług swojej woli, było ziarna trzy razy tyle!

— Nie wiem, jak to być może — myślał strapiony. Muszę się spytać Jezusa, gdy go spotkam.

I nie trwało długo, a ujrzał Chrystusa idącego przez pole.

— Muszę przyznać — rzekł, pozdrowiwszy go — że się pomyliłem co do powietrza. Patrz, tyle słomy a tak mało ziarna!

Wtedy Chrystus uśmiechnął się znowu i rzekł!

— Chciałeś poprawić Ojca mojego, a zapomniałeś o czemś bardzo ważnem, to jest, o wietrze! Dlatego nie masz ziarna! Chcesz jeszcze raz spróbować? Albo czy wolisz zostawić to Ojcu memu?

— O tak, — zawołał wieśniak zawstydzony — niech Bóg sam powietrze urządza — on to lepiej umie niż ja!

I od tego czasu był wieśniak znów zadowolony i nie szemrał już przeciw Bogu.

Jak często i nam się zdaje, że Bóg źle kieruje losami ludzi i jak często myślimy sobie:

— Gdybym ja był Bogiem, urządziłbym to lub owo inaczej.

A pewnie i my zapomnielibyśmy o ważnych rzeczach i zdobylibyśmy tylko słomę — to jest rzeczy bez wartości, a o ziarno, to jest o dobro wieczne, nie staralibyśmy się wcale.

Bóg wie sam najlepiej, czego nam trzeba i jemu samemu tylko należy zostawić staranie i pamięć o nas.

Śmierć.

(Legenda mazurska).

Od kiedy najwyższemu Stwórcy zakrwawiło się serce do ludzi za ich grzech ów pierworodny, zaraz zesłał na ziemię śmierć.

Niema chyba takiego na świecie, coby nie wiedział, jak ona wygląda, każdemu przykro przyszła i kosą swoją kogoś z ulubionych podcięła.

Nie każdemu może wiadomo, skąd ona się wzięła i kogo to z czeladzi swojej najwyższy Pan wybrał, i na takie pohańbienie wielkie zesłał.

Otóż tedy, kiedy Pan Bóg zwołał wszystkich swoich aniołów, ażeby ich zlustrować, była jedna między nimi panienka, śliczność nad ślicznościami. A kiedy Najwyższy Pan zwoływał wszystkich, ona właśnie długie swoje włosy czesała, przyglądając się w kroplach rosy, co u jednej chmurki przed tronem Bożym zawisła.

Kiedy usłyszała owa śliczność anioł panienka Boskie wołanie, rzekła sobie:

— Nie pójdę przecie z nieczesanym włosem; niechaj poczekają!

A powiedzieć trzeba, że każdemu Pan Bóg dał czas, żeby się jako przystało, ochlubnił, jeno ona zabawiała się, aż się jej włosy rozstrzepały i nie mogła na zawołanie Boże stanąć.

Ale Pan Najwyższy, jakby nic o niej nie wiedział, wszystkim innym aniołom swoją wolę objaśnił, i po świecie ich rozesłał. Na ostatku woła ową śliczności anielicę.

Że to Pan Bóg nie lubi się długo nad niczem zabawiać, nie zdążyła więc ona włosów jeszcze zapleść, jeno jak stała, z grzebieniem w ręku i rozpuszczonymi włosami przyleciała, ale w sercu nie była spokojna i złość i żałość miała okrutną. Pan Bóg jeno spojrzał, wszystko do głębiny przeniknął. Nie pytał więc o nic, jeno rzekł:

— Polecisz mi w świat, na ziemię, i wielkie żniwo bez najmniejszego wytchnienia czynić będziesz. Śmiercią się odtąd zowiesz!

I oto naraz z jej gładkiego lica odlegało ciało, oczy się zapadły, zęby w wychudzonych wargach klapotać poczęły, długie włosy zamieniły się w wielką płachtę, a grzebień w kosę się przedzierżgnął, A jak jej Pan Bóg przykazał, poleciała i lata wciąż po szerokim świecie.

Czy wiosna zielenią pola i łąki okryje, czy lato upalnem słonkiem zboże pozłoci, czy mgły jesienne się powloką, czy mróz ściśnie ziemię, a śniegi ją przysypią, śmierć o nic nie pyta, macha kosą i macha.

Nieraz chciałaby spocząć, ale kędy zapuka, wszyscy przed nią drzwi zapierają, gdzie zajrzy, wszędy płacz i skargi, rozpacz straszliwa i ciche, ale i głośne, na niebogę pomstowanie.

Owinie się tedy białą płachtą, przerzuci kosę przez ramię, zakłapie wielkimi zębami w wychudzonych wargach — i leci dalej i dalej.

Raz w mgle jesiennej włóczyła się tak po świecie, a jako się przy żniwie strasznie zmachała, zapragnęła na chwilę odpocząć.

Ale gdzie? Nikt jej przyjąć nie chce.

Obaczyła wielkie cmentarzysko. Ludzi moc na każdej mogile klęczy, cisza w przestworzu, jeno płacz a westchnienia słychać od każdego grobu.

Jedna jedyna tylko mogiła nie ma nikogo. Wieniec na niej nie leży, żadne oczy nad nią nie płaczą, żadne usta nie szepcą pacierza.

Nagle ponad cmentarzem powiał wiatr chłodny, a ludzie klęczący na mogiłach się wzdrygnęli.

To śmierć nad opuszczoną mogiłą tak westchnęła.

Westchnęła, a owinąwszy się płachtą białą, przerzuciła kosę przez ramię i poleciała dalej i dalej

Poleciała spełniać rozkazanie Boże, ale co rok, w dzień zaduszny przylatuje na cmentarz, i wtedy jest taka chwila, jedno, jedno mgnienie oka, że nikt na całym świecie nie umiera.

Śmierć płacze wtedy na opuszczonej mogile.

Słowacka bajka.

Był raz jeden siedlak. Pierwsza żona mu umarła. Miał od niej jedną dziewuchę. Ożenił się z drugą i miał od niej także jedną dziewuchę. Pierwsza córka była bardzo piękna, a druga brzydka, niezdarna i leniwa. Co pierwsza córka zrobiła, to macocha pokazywała mężowi i mówiła: „Popatrz, co moja dziewucha robi, a twoja nic, twoja jest

leniwa. Musisz ją z domu wydalić. Już i swatowie pytali się o pierwszą dziewczynę, ale macocha podsuwała im tylko swoją córkę. Tej jednak nikt nie chciał, bo była bardzo brzydka. Wtedy macocha ostro nalegała na męża: „Musisz ją z domu wydalić“. Na to mąż: „Już ją wyprawię, ale przygotuj jej na drogę, aby miała co jeść“.

Macocha napiekła pasierbicy na drogę kołaczów z popiołu zamiast z mąki i zawiązała je w płótno. Ojciec zabrał dziewczynę i poszedł z nią do wielkiego, gęstego lasu. Przyszli na jedną polanę. Ojciec narąbał drzewa w lesie i zbudował dziewczynie domek Potem poszedł do lasu rąbać drzewo, a dziewczynie kazał ugotować wieczerzę, mówiąc, że niedługo powróci. Na jedną niedaleko rosnącą sosnę przybił deskę. Wiatr dął, deska ciągle stukała o sosnę. Dziewczyna myślała, że to jej ojciec drzewo rąbie Chciała coś uwarzyć. Rozwiązała płachtę, co jej dała macocha i znalazła tam sam popiół. Zapłakała gorzko, a że ojciec nie wracał, poszła w stronę, skąd słyszała stukanie, aby ojca wypatrzeć. Gdy się przekonała, że to tylko deska stuka o sosnę, płakała bardzo, że ją ojciec porzucił w lesie. Gdy tak płakała, zastukał do drzwi jakiś dziadek. Był to chłop wielki na piędź, a miał brodę długą...

— No, jak się masz, moja dzieweczko? — zapytał.

— Smutno mi — odpowiedziała — bo mię ojciec porzucił samą w lesie, a nie mam co jeść, bo mi macocha dała tylko popiół na drogę.

— A czybyś mię nie przenocowała, dziewucho?

— Kiedy nie mam wam ani co pościelić, ani co na wieczerzę przyrządzić.

— No, nie płacz — rzekł dziadek — idź do komory, tam znajdziesz dosyć pościeli i mąki, z której mi uwarzysz wieczerzę.

Ona poszła do komory i widzi tu dużo worków, pełnych mąki. Zaraz nawarzyła wieczerzę i przygotowała dziadkowi nocleg. Gdy dziadek rano wstał, podziękował jej pięknie, nasypał jej w komorze pełno pieniędzy na podłogę i odszedł. Dziewczyna żyła sobie potem bardzo dobrze. Raz powiedział ojciec do macochy:

— Muszę iść zobaczyć, jak się ma moja dziewczyna. — Jeszcze był daleko, a wybiegła naprzeciw niego:

— Ach, patrzcie, jak mnie tu dobrze i opowiedziała ojcu, że był u niej dziadek — Potem nawarzyła ojcu wieczerzę, napiekła kołaczy, a do płachty, do której macocha dała jej popiołu, nasypała mu pieniędzy. Przyszedł ojciec do domu i zawołał:

— Żono, daj kosz, bo niosę pełno pieniędzy i kołacze, co mi dała moja dziewucha.

— E, gdzieś ty tam znalazł swoją dziewuchę, chyba kości z niej przyniosłeś — A kiedy zobaczyła pieniądze, uradowała się bardzo i zawołała:

— Kiedy jej tak dobrze, to zaprowadź do lasu i moją córkę.

— Dobrze, ja ją zaprowadzę, ale nas wcześnie wypraw z domu. Ona całą noc piekła kołacze, nasypała do worka mąki i nakładła słoniny i mięsa, aby jej córka miała co jeść. Ojciec wyszedł z nią o świcie. Szli górami i lasami, aż przyszli na jedną polanę. Tam ojciec wybudował domek i kazał sobie uwarzyć jedzenie. Gdy zjedli, powiedział do niej:

— Zostań tu, moja dzieweczko, masz co jeść, nie głoduj i niech ci się dobrze powodzi! Ja cię przyjdę za tydzień odwiedzić. Potem odszedł ojciec do domu. Gdy się ściemniło, przyszedł do niej dziadek, prosił o nocleg. Ona krzyknęła na dziadka:

— Precz brzydki dziadu, jeszczebym cię miała gościć i warzyć ci wieczerzę? — Trzasnęła drzwiami i zamknęła je, zostawiwszy dziadka na dworzę, a sama położyła się spać. O północy, o dwunastej, przyszedł ten sam dziadek przez zamknięte drzwi i poszedł prosto ku dziewusze. Chwycił ją obu rękami i potrząsł nią tak, że wszystkie kości wysypały się z niej na kupę, a skórę i głowę przybił na drzwiach. Za tydzień wybierał się ojciec odwiedzić córkę. Żona mu powiedziała:

— Weź płachtę, abyś miał w czem przynieść pieniądze. — On wziął płachtę i poszedł. Jeszcze był daleko, a już widział, że dziewczyna na drzwiach wyszczerza zęby. Powiedział do siebie:

— Ej, to to dziewczynie dobrze, jeszczem daleko, a już się do mnie śmieje. — Przyszedł ku drzwiom i widzi przybitą głowę i skórę. Wszedł do chaty i znalazł kupę kości. On te kości i skórę z głową zawiązał do płachty, zarzucił na plecy i poszedł do domu. Jeszcze był daleko, a żona wybiegła naprzeciw niego i pyta:

— Ach mężu, jakże się ma moja córka?

— Dobrze się ma.

— Czy niesiesz pieniądze?

— Oj, niosę!

Ona pobiegła naprzód do chaty przygotować kosz. Mąż nasypał jej pełny kosz kości i włożył do niego skórę z głową.

— To masz, moja żono z twojej dziewczyny.

Madejowe łoże.

(Legenda.)

Jechał kupiec przez las gęsty, ciemny; błądził długo i w pomroce nocnej ugrzązł w bagnie bez ratunku. Zasmucony począł rozpaczać, gdy nagle w postaci ludzkiej zły duch mu się pokazał. —

Nie smućcie się człowieku! — wyrzekł do kupca; — ja was wyciągnę z błota i do domu wskażę drogę, ale pod warunkiem, że to, co masz w domu, a o czem ty nie wiesz, moją zostanie własnością.

Kupiec pomyślał trochę i przystał rad na podany warunek, nie wiedząc, że żona powiła mu, podczas gdy był w podróży, urodziwego syna. Dyabeł wyciągnął go z błota, wyprowadził na szeroki gościniec, a zmusiwszy kupca do wydania cyrografu, raz jeszcze umowę przypomniał i zniknął.

O ile z radością powitał żonę, tak dawno niewidzianą, o tyle zasmucił się, widząc ładnego syna, którego już złemu duchowi zapisał. Skrycie płakał nieraz poczciwy kupiec, tając łzy gorzkie przed żoną: tymczasem dziecię w pacholę wyrosło.

Było ciche, spokojne i chętne do nauk; w piątym roku już dobrze czytało i pisało, co tem więcej strapione serce ojca jątrzyło, że z dziecięciem tak lubem wkrótce się rozstać musi, oddając je na ofiarę dyabłu.

Małe pacholę, doszedłszy lat siedmiu, uważało smutek ojca i łzy rzewne, ile razy zapatrywał się w jego urodne oblicze. Tyle przeto prosił, tyle nalegał, że kupiec wyjawił mu wszystko.

— Nie troszcz się mój rodzicu; Bóg mi dopomoże, ja pójdę do piekła i cyrograf odbiorę.

Płakała matka, płakał i ojciec, błogosławiąc na tak daleką drogę chłopczynę, który, zrobiwszy potrzebny przybór, niebawem wyruszył z domu.

I szedł długo i daleko, aż zawędrował w puszczę ciemną i straszną, a tu w jaskini ukrytej zamieszkał rozbójnik Madej.

Morderca zabił własnego ojca, matkę jeno zachował przy życiu, co mu gotowała strawę. Nikomu nie podarował życia; kogokolwiek dostał, bez litości zabijał. Matka, podeszła niewiasta, zabłąkanych podróżnych w jaskini przechowywała; ale Madej miał węch tak doskonały, że wracając do jaskini, zaraz zwietrzył ludzkie mięso.

Chroniąc się przed burzą, przypadkiem zaszło tam nasze pacholę; stara, litując się lat młodych, ukryła go w ciasnym zakątku jaskini; lecz Madej zaledwie wpadł do niej, poczuł świeżego człowieka. Już biedne dziecię nachyliło głowę pod zabójczą pałkę, kiedy rozbójnik, dowiedziawszy się, gdzie idzie, podarował mu życie z warunkiem, ażeby zobaczył w piekle, jakie dlań zgotowano po śmierci męczarnie.

Pachole równie ze świtem opuszczając jaskinię, prędko dostało się do piekielnej bramy; święconą wodą i obrazkami, które przylepiał, otworzyła się snadnie. Zaskoczył mu Lucyper drogę z zapytaniem: czego żąda?

— Cyrografu, na moją duszę, przez ojca mego wydanego.

Hetman piekielny, kropiony święconą wodą, chcąc go pozbyć się czemprędzej, wydać cyrograf rozkazał; ale trzymał go jeden kulawy dyabeł, a choć parzony kropidłem święconej wody, nie chciał zwrócić cyrografu.

Rozgniewany Lucyper: — Weźcie go na Madejowe łoże! — zawołał, a dyabeł, przestraszony okropną mąką, oddał pismo w tej chwili.

Ciekawy chłopczyna poszedł zobaczyć tak straszliwe łoże. Było z żelaznej kraty, wysłane ostremi nożami, igłami i brzytwami; pod spodem palił się ogień nieustanny, a z góry kapała kroplami rozpalona siarka. Wyszedł z piekła i szedł dzień jeden, dzień drugi, aż trzeciego zaszedł do tejże jaskini, gdzie go już oczekiwał zasmucony Madej. Doniósł więc o tem, co widział, rozbójnikowi. Zmartwiał z przestrachu zbrodzień, a chcąc tak srogiej męczarni uniknąć, postanowił pokutować.

Wyszli więc razem z jaskini! Madej ukląkł w lesie, zatknął w ziemi przy sobie morderczą maczugę, wiedząc zaś, że młode pacholę poświęciło się na księdza, przyrzekł, iż dopóty czekać będzie na tem samem miejscu, dopóki nie zostanie biskupem.

Minęło lat kilkadziesiąt, nim on chłopczyna wyszedł na dostojność biskupią.

Raz przejeżdżając puszczą ciemną i gęstą, nieprzejrzaną okiem, doszedł go jabłek zapach przyjemny. Rozkazuje więc swej służbie tego owocu wyszukać! Dworzanie wkrótce wracają i donoszą, że w pobliżu jest piękna jabłoń, ale żadnego nie da sobie urwać jabłka, przy niej zaś klęczy starzec siwobrody.

Biskup wysiada z powozu, idzie na wskazane miejsce i z podziwieniem poznaje Madeja, okrytego siwizną, z długą, do ziemi zarosłą brodą, który go o wysłuchanie spowiedzi i rozgrzeszenie prosił. Przychylił się kapłan do jego prośby, a dworzanie z osłupieniem widzieli, jak w czasie spowiedzi jabłko po jabłku, zamienione w białe gołąbki, znikały w powietrzu. Jedno tylko pozostało jabłko! była to dusza ojca Madeja, którego sam zamordował, a ten grzech ciężki utaił; lecz gdy wyznał i ten grzech ostatni, ostatnie jabłko, przemienione w siwego gołąbka, z innemi uleciało.

Modlił się gorąco biskup nad grzesznikiem: a gdy dał mu rozgrzeszenie i trącił palcem, ciało Madeja w drobny proch się rozsypało.

Wilk i bednarz.

Zdarzenie prawdziwe.

W jednej górskiej wiosce, żył dosyć zamożny gospodarz, nazwiskiem Jakób Smołek. Żona jego, Jadwiga, była bardzo cnotliwą kobietą i kochała swego męża, jak również dwoje dziatek, Józia i Ma-

rysię, którremi ich Pan Bóg obdarzył, a które wychowywała w bojaźni Bożej. Mieli gospodarstwo średnie, bo sześć morgów gruntu i kawałeczek lasu, ale on był bednarzem i w wolniejszych chwilach od zajęć gospodarskich, prowadził swe rzemiosło, które mu dosyć pokaźny dochód przynosiło. Jak przyszedł jarmark, to żona jego, by on dnia nie zmitrężył, wiozła na sprzedaż pełną furę wyrobów bednarskich. A że robota była dobra i ładna, więc i wnet ją rozsprzedała, przywożąc do domu dosyć sporą sumkę pieniędzy.

I tak im życie dosyć wesoło płynęło, tylko jedna wada męża zasmucała pobożną żonę jego. W dawniejszych czasach, nie używano do robót bednarskich obręczy żelaznych, lecz drzewiane. Więc i mąż Jadwigi, robiąc bednarstwo, używał obręczy drzewnianych, a że jego mały lasek nie mógł mu dostarczyć tyle obręczy, ile potrzebował, więc ten niedobór pokrywał z pańskiego lasu, który był niedaleko. Lecz mu żal było tychże obręczy kupować od pana, tylko wolał, wczesnym rankiem pójść i ukraść, mówiąc, że to nie ma wielkiej wartości, a do tego pan ma dużo, to nie grzech, choć on trochę ukradnie.

Żona jego, jako pobożna kobieta, więcej dbająca o zbawienie duszy, niż o majątek, wciąż mu z tego powodu robiła wyrzuty. Przedstawiała mu, że choć na razie weźmie nie dużo, ale kilkadziesiąt razy do roku po trosze, to zrobi dosyć dużą sumę, za którą jest już grzech ciężki. A czy to zaś jest pańskie, czy chłopskie, to zawsze jest cudzą własnością, której ruszać nie wolno. Pan Bóg w siódmem przykazaniu nie powiedział, że nie będziesz kradł biednemu, a panu możesz, lecz powiedział: Nie kradnij: to znaczy nikomu. Wszystkie jednak upomnienia żony nie odnosiły żadnego skutku, lecz dalej taksamo kradł. Jednego razu, wybrał się znowu na obręcze do pańskiego lasu, a że nie miał w domu zegara, więc umiarkował czas mniej więcej po świtaniu. Wtenczas jednak jakoś wcześniej z domu wyszedł, bo gdy zaszedłszy do lasu, było jeszcze całkiem ciemno i nie mógł po ciemku wynaleźć porządnych obręczy

Postanowił poczekać chwilę, aż się trochę rozwidni; a że tam była pomiędzy lasem mała łączka, więc na niej legnął i zasnął. Za chwilę przychodzi w to miejsce wilk, bo dawniej w Polsce nie było o wilka trudno i obwąchawszy go, legnął tuż przy niem i także zasnął. Bednarz po małej chwili przeciera oczy i na widok leżącego przy niem wilka o mało ze strachu nie umarł. Włosy mu na głowie postanęły, krew w nim stężała ze strachu.

Myśli sobie, co tu teraz robić, jeżeli będzie chciał wstać, to się wilk zbudzi, tembardziej, że mu przyległ trok od kapoty, leżeć dalej także niebezpiecznie; bądź co bądź, postanowił dalej cichuteńko leżeć. A jak to mówią, że kiedy trwoga to do Boga, to też i on począł się

w duchu modlić, ślubując Bogu i Matce Boskiej, że jeżeli go cało z tego przypadku wyratuje, to już nigdy kraść nie pójdzie.

Gdy się tak modli i przyrzeka Bogu poprawę, leżąc dalej jak najciszej, wilk się przebudził i wstał, otrząsł się, obwąchał bednarza, a widząc, że się ten nie rusza, poszedł sobie w las.

Bednarz powoli wstał, zaniechał rąbania obręczy i pobiegł czemprędzej do domu. Tu opowiedziawszy żonie swoją przygodę, ukląkł wraz ze żoną przed obrazami, a podziękowawszy gorąco Bogu za ocalenie, przyrzekł poprawę. Odtąd już nigdy nie chodził na pańskie obręcze i nie ruszał cudzej własności. Dzieciom swoim nieraz ową przygodę opowiadał i przykazywał im, aby nigdy żadne nie ruszało cudzego. On zaś ze żoną żył dalej szczęśliwie i Pan Bóg mu błogosławił, bo się dorobił znacznego majątku.

O babach.

List ojca do syna. Rzecz wesoła, lecz wielce pouczająca.

Kochany Synu!

Piszesz mi, że chcesz się żenić i żądasz mej rady. Jakże ja Ci mam radzić, kiedy Twej wybranej nie znam i nie wiem, co ona za jedna. Radził więc nie będę, lecz, jako człek doświadczony, opiszę Ci, jakie są baby.

Są różne baby na świecie.

Są takie, co to i postać mają wiotką, by topola, i ruchy, jak łania, a uśmiech, to jak błysk poranny wschodzącego słońca. Oczy ich szczęście, by perły, naokół siebie sypią.

Są inne, jak noc ponure, zasklepione w sobie. Ani u nich uśmiechu, ani szczęścia błyskawicy. Noc i smutek.

Są i takie, jak huragan. Grzmią, jak burza, sypią piorunami i zniszczenie sieją wokół siebie, ale za chwilę zabłysną pogodą, długotrwałą pogodą.

Są takie, co to nie z krwi i kości, ale z jakiejś kleistej papki poskładane. Postawisz ją tu, to tu będzie stała, posuniesz ją o krok dalej... jej i tam będzie dobrze.

Są i takie, co niczem jej uśmiech, ale i smutku nie znają. Całem ich szczęściem, to orka na ojcowskim zagonie, karmienie dzieci i pielęgnowanie drobiu. Dla nich większy smutek, gdy cielę jeść nie chce, niż gdyby dziecię niemoc złożyła.

Ale są i takie, co im tylko strój i zabawa w umyśle świdrują: takie, któreby fury świecidełek na swem ciele nosiły. Co im mąż, co

dzieci! Tu hulanka — tam zabawa: to ich szczęście, raj! Ich zabawa kończy się w noc Sylwestrową, a zaczyna się na Nowy Rok.

Są wreszcie i takie, o Boże, których całą ozdobą pomierzwione włosy na głowie, przetykane słomą, a na dole u spodnicy flaczek koło flaczka. Na spodnicy „łońskie“ śmiecie, na kaftanie z dwóch lat brud!

Jeszcze i takie są..... Ale któżby wszystkie gatunki i rodzaje bab spisał! Prawie każda baba inna, czy to jaśnie pani, czy dziewucha od krów...

A ty masz, mój Synu, pośród nich szukać żony, towarzyszki życia Twego na dolę i niedolę.....

Ha! Czas Ci, to trudno!

Ty sobie jednak rzecz tę okropnie ułatwiasz. Ty nie patrzysz, czy Twoja wybrana będzie miała serce, aby Ci się stała osłodą żywota Twojego, czy będzie prawą ręką Twoją. Ty nie patrzysz, co twarz jej powiada i oko jej mówi. Ty na to nie patrzysz! Na gębie żyta siał nie będziesz, a na sercu ziemniak nawet nie zejdzie! Dla Ciebie główną rzeczą jest, aby Twoja wybrana miała jak najwięcej mórg gruntu i chałupę ze zdrowego drzewa. Reszta u Ciebie furda!

I do psa — powiadasz — człowiek się przyzwyczai, a do baby nie miałby się przyzwyczaić?!

Może! Ale ja dam Ci kilka przykładów.

Znajomy mój, Walek, wziął za żonę dziewczynę, co jej jednem weselem całe życie było, wziął ją z gruntem i chałupą. Dochował się kilkorga dzieci, ale nie wiedział, czy te dzieci jego były, czy nie jego. Rozpił się z rozpaczy, a grunt żydzi za wódkę wzięli.

A inny znajomy, Jasiek, także „dobrze“ się ożenił. Dostał za babą jedenaście stówek, jałówkę i prosię. Harował, pracował, ale jego Kasia z papki była z kleistej papki. Gospodarstwo szło na marne, bo jego praca jedną ręką wykonywana była.

A jeszcze inny, Kasper, pojął ci taką, jak ta noc ciemna. Dał jej ojciec dwanaście morgów i wszelkiego statku moc. Starał się ją Kasper rozruszać, ale nie rozwidniesz ciemnej nocy łojówką. Czego w domu niema, można znaleść gdzieindziej! Brakło Kasprowi jasnego uśmiechu w domu, szukał go wszędzie, a dom i gospodarstwo zaniedbał. Wszystko poszło na psy!...

A znowu Wicek wziął posażną jedynaczkę, ale nie znającą grzebienia i mydła. Począł ją prać wkrótce pięścią, ale sam musiał chodzić w niepranej koszuli, a barszczyk z muszkami jadać.

A myślisz, że i Jacek lepiej na tem wyszedł, że wprowadził w dom swój wołu roboczego? O nie! U niej opiekę znalazła i ta krówka czerwona i ta świnka spasiona i ta kurka, co tylko po jednem jajku na dzień niosła, ale nigdy nie Jacek. Bo i za cóż Ja-

cek? On pracował od świtu do nocy, ale w nocy spał. A inny to i w nocy przekradnie! Pracował, pracował, aż umarł na suchoty...

Żeń się, mój Synu, ale szukaj u żony nie gruntu, nie stówek, ale szukaj u niej serca i tej miłości, która z Tobą radować się będzie, lecz i smutek Twój z Tobą podzieli. Majątek dobra rzecz, ale tylko, jako dodatek — ważniejsze serce.

Albo najlepiej to się nie żeń wcale, czego Ci z całego serca życzy Twój ojciec *Stanisław Niwiski.*

Stróż nocny.

(Humoreska).

Stary, ale jary jeszcze pan Izydor Ciompa dzierżył ważny urząd stróża nocnego w Psiej wólce; że tak istotnie było, może poświadczyć nasz kochany Maciej Bzdura, który tam służył za pastucha. — Otóż Izydor w długim szeregu lat tak się do tego nocnego sposobu życia przyzwyczaił, że bez potrzeby żadnego budzika przerwy w swej urzędowej czynności regularnie przesypiał. Przez cały jeden kwandrans obchodził wieś i trąbił na rogu, przyśpiewując od czasu do cząsu; następnie przez dalsze trzy kwadranse spał snem sprawiedliwego. I to w zimie gdzieś w stajni otulony w ciepły płaszcz, w lecie natomiast w rowie przydrożnym lub gdzie w takim kącie, żeby go wiejscy urwisze nie znaleźli i nie płatali mu figli. O następnej godzinie zrywał się, jakby go osa w nos ukąsiła i obchodził wieś, aby potem przez trzy kwadranse dalej chrapać. Raz w lecie zdarzyło się, że jeden gospodarz naładował furę słomy w zamiarze udania się na jarmark do miasteczka, oddalonego o parę godzin drogi. Kiedy w Psiej wólce noc zapadła, gospodarz już chrapał, a wóz stał przed chatą, naładowany i gotowy do drogi.

Izydor zaś stał przed nim i trąbił:

„Hej! Panowie gospodarze,
„Już dziesiąta na zegarze!
„Już na wieży dzwon uderza!
„Więc klękajcie do pacierza!
„Kto pobożny, śpi bezpieczny,
„Bo Bóg nad nim czuwa wieczny“.

Przytem mierzył okiem znawcy wysokość wozu i oglądał się za jakiem narzędziem, przy którego pomocy mógłby wydrapać się na słomę. A skoro opodal zobaczył sporą drabinkę, miał już plan gotowy. Z wielką szybkością wylazł na ten słomiany dach, rozciągnął się wygodnie i zasnął. — O jedenastej zerwał się, zlazł ze swego

niebotycznego legowiska, obszedł wieś, trąbiąc, jakby chciał rozwalić mury Jerycha i po kwandransie powrócił do wozu.

Tak było do trzeciej: Skoro bowiem rogiem ogłaszał trzecią godzinę po wsi, obudził się właściciel wozu i zaczął się gotować do drogi, a pan Izydor byłby lepiej zrobił, gdyby się był oglądnął za innem łożem na resztę nocy. Lecz ponieważ tak wygodne legowisko rzadko mu się trafiało, toteż nie wahając się ani sekundy, wylazł na wóz i wkrótce już chrapał. A gospodarz tymczasem wyszedł z chaty, zaprzągł powoli kobyłę do wozu i zrobiwszy przed koniem znak Krzyża św., ruszył w drogę, idąc przy koniu na piechotę. Nie zauważył, że drabina, prawdopodobnie skutkiem długiego stania zmęczona, spadła na ziemię.

Nie podejrzewając niczego, wiózł swą słomę, wraz z dzielnym stróżem nocnym, panem Izydorem Ciompą, przez łąki i pola, przez mały lasek sosnowy w stronę miasteczka. Droga prowadziła przez wioskę, gdzie była gospoda. Toteż gospodarz nie omieszkał wstrzymać konia i zajrzeć po Mośka.

Gdy siedział w gospodzie, odpoczywając przy wódce i bajgielu, tymczasem panu Izydorowi wybiła w mózgu godzina czwarta. Jednym ruchem zerwał się na nogi, chwycił za róg i halabardę, spuścił ostrożnie nogi z wozu i zaczął niemi majdać, macając drabiny. Nie wiedział, że ta leżała daleko stąd, przed domem gospodarza w Psiej wólce.

— „A to szelmy, draby jakieś, zrabowali drabinę od wozu, i po czem ja teraz zlazę?!“ — gderał pan Izydor, nie wątpiąc, że to wiejskie chłopaki taką mu psotę spłatali.

Ale nie widząc innej rady, spuścił się ostrożnie po słomie na brzuchu na ziemię i nie oglądając się, gdzie jest, zatrąbił z całej siły.

Któż jednak opisze jego zdziwienie i przerażenie, gdy w tej samej chwili w niewielkiej od niego odległości zabrzmiało o wiele głośniejsze trąbienie, tak głośne, że najbardzicj głuchy musiałby usłyszeć, a słyszący stałby się głuchym. W tej chwili wynurzyła się z ciemności nocnych postać wysoka, otulona w długi płaszcz, trzymająca w ręce halabardę i trąbiąca, jakby miał już nadejść koniec świata. Tego było już Izydorowi za wiele; przyskoczył z furyą do postaci i zaczął ją gorliwie okładać drzewcem od halabardy; sądził bowiem, że to wiejskie chłopaki zakpili sobie z niego, naśladując stróża nocnego.

Postać jednak, jak się miły czytelnik zapewne domyśla, była zupełnie prawdziwym stróżem, tak jak Izydor. Wyrwał on staremu Izydorowi halabardę, chwycił silną rękę za kołnierz i powlókł go w nieznanym dla Izydora kierunku. Po drodze krzyczał:

— Ty gałgańskie nasienie, ty będziesz udawał stróża nocnego?!

Marsz do kozy, aby ci stróżowanie na zawsze z głowy wywietrzało. — Z temi słowami wepchnął biednego Izydora do jakiejś ciemnej nory. Całą noc myślał nad tem dziwnem zdarzeniem. A kiedy dzień nastał, zazgrzytał w zamku klucz, drzwi się otwarły, a zdziwiony



...spuścił się ostrożnie z wozu...

Izydor zobaczył we drzwiach swego kolegę po zawodzie z sąsiedniej wsi, Koziej wólki. Niemniejsze też było zdziwienie stróża, odmykającego drzwi.

— O do stu dyabłów rogatych! — zawołał, przecież ty jesteś mój kum Izydor z Psiej wólki.

— A ty przecież jesteś mój kolega Józef Burnot z Koziej wólki — mówił Izydor, patrząc na niego, jakby na jakiego stracha.

— A co ty tu w Koziej wólce masz do roboty! Przecieżem cię w nocy wsadził do ciupy, a ty?...

A Izydor, któremu już zaczęło w głowie świtać, zawołał:

– A przeklęta historya!.. Jeżeli nikomu o tem nic nie powiesz, to funduję kwartę okowity.

Obaj przyjaciele wysuszyli kwartę sprawiedliwie, ale Józef widocznie nie utrzymał języka w gębie, bo skądbym ja to wiedział i mógł kochanym czytelnikom opowiedzieć?! *Franciszek Orłowski.*

KRAKOWIAKI POLITYCZNE.

Sprzykrzyło się Francyi
Długie wojowanie
Więc Foch Niemcom sprawił
Generalne lanie.

Narody pobite
Srogo się zemściły
Bo cesarzy, króle
Na urlop puściły.

Więc Wiluś nieboże
Uciekł na wygnanie
I w Holandyi kończy
Swe głupie kazanie.

Zawsze lubiał szczekać
Niechże dalej szczeka,
Teraz nieszkodliwie,
A czas sobie zwleka.

Posmutniał nieboże,
Posmutniały lica
Bo wie, że go czeka
Za grzech szubienica.

*

Pijaczyna Karol
Jakoś się pociesza
Choć go ściga kalek
I dłużników rzesza.

I by sobie skrócić
„Wygnaniową" nudę
Trąbi nie kieliszkiem
Lecz flaszkami wódę.

*

Nikita opasły
Poszedł w góry hasać
I swe tłuste wieprze
Na halach wypasać.

*

Ferdynand bułgarski,
Głupkowaty tata
Z róż przez się sadzonych
Olejek wygniata.

*

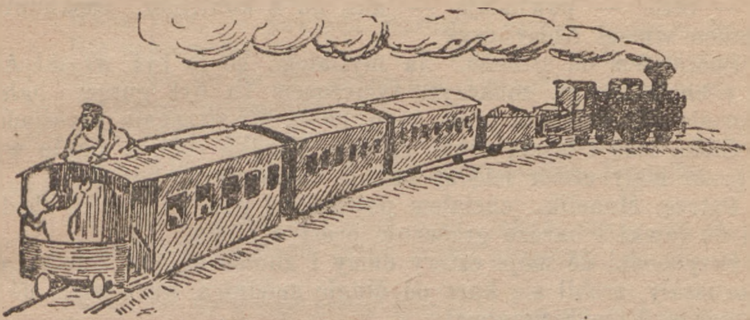
Na świecie dziś spokój,
Ludzie powiadają,
Lecz sobie w pysk biją
I łby urywają.

Petlura hajdamak
Gnębił Polskę biedną
I w nagrodę za to
Dostał spicem w sedno.

Lenin zaś wraz z Trockim
Bolszewik hołota
Chciał sobie otworzyć
I do Polski wrota.

Nim jednak przekroczył
Naszych granic progi
Dostał lanie, uciekł,
Gubiąc w drodze nogi.

(*Z. j.*).



Jazda na gapę.

Zabawne zdarzenie na kolei żelaznej w Rosyi.

— Koleje! koleje! — wołają ludzie — i bardzo kontente są od ten wynalazek! — odsapnął żyd po opłaceniu kary na stacyi, do której go przedstawił pan kontroler, jako podróżnego bez biletu.

— A ja państwu powiadam, co to wszystko nie warte jest zwyczajnej żydowskiej furmanki! — ciągnął dalej. — Prawda, co się z żydowską furmanką wolno jedzie, ale bezpiecznie, bez żadne konduktory i kontrolery; żydek ma czas obliczyć podróżnych, namyślić się do każdego interesu i nie leci na zbity łeb, jak z temi kolejami.

— Konduktory, kontrolery, naczelniki takie robią w drodze piekło, jakby się cała ziemia trzęsła. Wskakują, wyskakują i ciągną niewinne żydki z wagony, wołają o bilety, a jak niema bilety, to każą płacić dubeltowe pieniądze za rozjechaną drogę.

Ładny porządek! Jak biedny żydek zrobił komu wygodę na pięćdziesiąt procent i złapią go, to robią sprawę o lichwę i piszą o tem we wszystkich gazetach, — a koleje, jak znajdzie pasażera bez biletu, to mu każe płacić za sto i jeszcze robi nieprzyjemność...

Raz ja i mój przyjaciel, Mordka Batelnik, potrzebował pilno jechać na jedną licytacyę, a nie mieliśmy drobne pieniądze. Portyer kiwnął z ręką na trzeci dzwonek, mi wskoknęli sobie cichaczem na koleje. Mordka wlazł do taki przedział „z przeproszeniem“, a ja wsunęłem się pod ławkę, co na niej siedziały cztery starozakonne damy, z bardzo szerokie suknie.

Pojechaliśmy!

Na jednej stacyi zrobił się wielki krzyk: Menelik! Menelik!

— Wus ist a Menelik? — pytam się mojej damy, bo jeszcze nie wiedziałem, co to ma znaczyć.

— Still — powiadają — dus ist a kontroler, paskudnik! to nic żaden włoski Abisyńczyk.

Spotniałem od strachu. Ja myślałem, co to był włoski Abisyniec, i chciałem go zobaczyć, tymczasem to był gorszy hałaśnik i tylko się tak nazywał przez tego, co żydki strasznie prześladował.

Cicho leżę i myślę sobie, co tam Mordka robi, a ciągle wyglądam przez mały otwór między suknie dame starozakonne.

Patrzę: Menelik... chciałem powiedzieć pan kontroler, chodzi od ławki do ławki i bardzo grzecznie prosi o bilety.

Przychodzi do moje cztery damy i znowu ogląda bilety; damy się poruszały, zrobił się kurz od długie spódnice, kurz wlazł do nosa i tak zakręcił, że kichnąłem!

— Kto tu kichnął? — pyta się pan kontroler.

— To ja, panie kontrolerze! — powiada słodko jedna dama.

— Ona ma ogromnego kataru — mówi druga.

— Kiedy ja słyszałem głos z innej strony! — gada Menelik.

— Pan kontroler potrzebuje się nie zapominać! My jesteśmy bardzo delykatne damy! — krzyczą wszystkie cztery.

— Mimo to, proszę wstać z ławki — powiada brzydki uparciuch.

Damy zaczęły się kłócić, kontroler razem z niemi — i, na moje nieszczęście wstały.

— No, kochaneczku — przemawia słodko do mnie kontroler (coby moje wargi całe życie taką słodkość miały!) — pokaż bilet.

Ja się zrobiłem cichy, jak ten, co wcale gadać nie potrafi, poruchałem trochę z oczami, zrobiło mi się bardzo zimno, potem znów trochę gorąco, powiedziałem, co nie mam bilet, i zostałem nieżywy!

Co się potem zrobiło — ja nie wiem. Obudziłem się, słucham, co kolej nie idzie, i widzę, co jest bardzo wielka ciemność.

Macam się z ręką na głowie — mokro jest, macam się na serce — bije, ale też mokro jest! To ja zrozumiałem, co mnie ten gwałtowny Menelik zabił!

Zrobiłem wielki krzyk — otworzyły się drzwi, co ja ich przedtem nie widziałem, i wszedł kolejny stróż z latarką.

— Zabił mnie! zabił? — zacząłem rzewnie płakać.

— Kto cię zabił? cymbale jakiś! — powiada do mnie ten ordynarny chłop. — Wstawaj duchem i choć do pana zawiadowcy.

— Jak ja mogę wstać, kiedy się krew ze mnie leje!

— Głupiś! to nie krew, tylko woda, co cię nią polewałem!..

Paskudny cham, on myśli, co ja jestem kwiatek, a on odemnie ogrodnik, — więc już się wcale z nim nie rozmawiałem, tylko poszedłem prosto do pana zawiadowcy. Spotkałem się tam z Mordką.

— Mordka! bist du auch hier? — wykrzyknąłem zdziwiony.

— Halte pisk! — powiada Mordka i mruga z okiem na mnie.

— Nie szwargotać mi tu po żydowsku! — woła pan naczelnik.

Przeprosiłem go bardzo grzecznie, ale sobie pomyślałem, co on musi być kawałek antysemitnika.

No, i co państwo na tę całkie awanturę powiedzą? Musieliśmy oba z Mordką zapłacić po sześć rubli pięćdziesiąt kopiejki! Nie podarowali ani grosza!

— No, ale z Mordką gorzej było, jak ze mną; on się przed Menelikiem schował na dach, tylko zrobił głupstwo, co się tam nie położył!

— Iwrej! — krzyknął zaraz Menelik, jak go tam zobaczył.

— Co pan kontroler odemnie potrzebuje? — pyta się go Mordka.

— Co ty tam robisz?

— Jadę sobie, panie kontroler!

— Złaź!

— Mnie tu dobrze jest! — powiedział Mordka, a trząsł się jak kipiący rosół w garnku.

— Złaź mi zaraz! — wołał Menelik.

— Niech się pan kontroler nie boi, ja nie spadnę! Ja potrzebuję trochę świeże powietrze! — woła Mordka.

— Pokaż bilet!

— Na co bilet? Przecież ja nie jadę we wagonie.

— Jak on to powiedział, akuratnie maszynę stanęło sobie na stacyi, zrobił się krzyk — kontroler, zawiadowca i konduktorzy urządzali polowanie, jak na jaki dziki pies; Mordka chciał ucieknąć, spadł z wagonu na ziemię, wykręcił sobie dwa zęby, zbił kolano, złamał nos i lewe oko...

Czy to może być taki gwałt i rozbójstwo na kolei?

Od tego czasu ja i Mordka zawsze jedziemy bez biletu, bo my nie możemy być stratni.

Ciężka operacya.

— Bój się Boga! Jak ty wyglądasz? Podrapany!... Czyś się bił z kim?

— Nie! Byłem u dentysty, aby mi wyrwał zęba!

— I on się tak urządził?

— Tak!... Ale trzeba ci jego widzieć, jak on wygląda!

Nieszczęsne pantofle.

W Arabii żył pewien bogaty kupiec, nazwiskiem Alibachem, znany powszechnie jako nader wielki skąpiec, a przytem wszystkiem suknie jego były tylko łatami i gałganami. Zaś największą uwagę z pomiędzy wszystkich jego części ubrania obudzały jego pantofle. Ich przyszwy były wielkimi gwoździami okute, same zaś składały się jedynie z kawałków i to takich, iż najzręczniejsi szewcy nie umieli sobie dać rady, jakby te kawałki razem złatać. Przez to były takie ciężkie, iż jeżeli coś niezgrabnego opisać chciano, powoływano się na pantofle Alibachema.

Zdarzyło się, iż pewnego dnia kupił nasz Alibachem bardzo tanio znaczny zapas sprzętów szklannych, zaś w kilka dni potem wyzyskał nieszczęście zakłopotanego perfumiarza i kupił od niego większe ilości wody różanej za bezcen. Ucieszony tym szczęśliwym handlem, postanowił sobie zrobić przyjemność. Nie trzymając się wcale zwyczaju wschodniego, według którego wydać powinien był ucztę przyjacielską, poszedł on raczej do kąpieli, której już od dawna nie odwiedzał. Wszedłszy do zakładu kąpielowego (oczywiście w swoich pantoflach), trącił go tam jego dobry znajomy i powiedział z uśmiechem, aby wreszcie podziękował starym pantoflom a kupił sobie parę nowych.

— O tem ja już dawno myślę, — odrzekł Alibachem — ale, jeżeli im się dobrze przypatrzę, to nie są one jeszcze tak złe, aby mi służby robić nie mogły.

Z tem udał się do kąpieli.

Nie trwało długo, a przyszedł także sędzia z tamtejszej miejscowości oczyścić się z pyłu i potu, a rozebrawszy się, poszedł do wody.

W międzyczasie skończył Alibachem swą kąpiel, poszedł do ubieralni, a znalazłszy na miejscu swoich starych pantofli parę nowych, włożył je sobie na nogi i wyszedł w mniemaniu, że to jest podarunek od jego dobrego przyjaciela. Kiedy zaś sędzia z kąpieli wyszedł i włożyć chciał swoje pantofle, nie znaleźli ich jego słudzy, za to jednak spostrzegli parę złych pantofli, które też natychmiast poznano jako własność Alibachema. Pobiegł zaraz odźwierny za nim i przyprowadził go, jako złodzieja przed sędziego. Ten rozgniewany nad bezwstydnością sknery, nie słuchał wcale jego obrony, lecz rozkazał wtrącić go zaraz do więzienia, którą to karę Alibachem jednak opłacił wielką sumą pieniędzy, aby nie zostać publicznie ukaranym jako złodziej. Sto par pantofli mógłby był kupić za te pieniądze!

Przybywszy cotylko do domu, postanowił Alibachem wykonać zemstę na biednych pantoflach i rzucił je do rzeki, płynącej tuż pod

jego oknami. Lecz niestety, rybacy wyciągnęli je z wody, a poznawszy jako własność Alibachema, rzucili je w jego otwarte okno z zemsty, gdyż im pantofle sieć zupełnie poszarpały. Ciężkie pantofle upadły na nieszczęście na flaszki kryształowe, a pachnąca, wspaniała woda popłynęła z nich na ziemię.

Spostrzegłszy to sknera, wykrzyknął z oburzeniem:

— Nieszczęsne pantofle! wy mi już na przyszłość nie wyrządzicie szkody, o to się już postaram!


...poprowadził go, jako złodzieja.

Wziął natychmiast łopatę i pobiegł do ogrodu. Tam wykopawszy dziurę, wrzucił w nią pantofle i zakopywał, spostrzeżony jednak przez swego sąsiada, z którym żył w nieprzyjaźni. Ten widząc co się robi, pobiegł prędko do namiestnika i oznajmił mu, iż Alibachem wykopał w ogrodzie swoim ogromny skarb.

Przywołany sknera przysięgał się napróżno na wszelkie świętości, że nic nie znalazł, i że to tylko swoje pantofle tam zakopał, napróżno je znowu wykopał, aby wyświadczyć się niemi przed sądem. Chciwy namiestnik uwziął się na pieniądze i Alibachem musiał znowu wielką sumą to okupić.

Pełen rozpaczy przeklinał swoje pantofle i wrzucił je do wodociągu, w pobliżu pałacu, w którym mieszkał namiestnik. Tam znowu wpędzone zostały do zamulonej rury wodociągowej tak, iż po kilku godzinach zatrzymały wodę, która wystąpiła i zalała wszystko, a szczególniej sklepienie namiestnika. Wszędzie zapanowała trwoga i zamieszanie. Studniarze badali wodociąg i znaleźli pantofle w mule przez nich zaniedbanym, czem się dostatecznie przed odpowiedzialnością usprawiedliwili.

Tego jeszcze potrzeba było! Namiestnik, już i tak niechętny ku Alibachemowi, mniemał, iż ten uczynił mu to ze zemsty. Kazał go tedy uwięzić, a on chcąc ujść przed wstydem, musiał jeszcze większą karą pieniężną odpokutować, aniżeli poprzednie razy.

Otrzymawszy zaś z powrotem swoje pantofle, rzekł:

— I cóż mam więc z wami robić, wy nieszczęsne pantofle?

Ponieważ tak całkiem mułem napełnione jesteście, wyniosę was na dach dla wysuszenia, a potem spalę; lecz do domu swego was przynieść będę się należycie strzegł.

Z temi słowami wszedł na płaski dach swego domu i tam je położył.

Lecz nieszczęście sprzysięgło się przeciw niemu! Pies bowiem sąsiada wskoczył na dach i igrał z pantoflami ogryzając je. Wtem pociągnął jeden aż na brzeg dachu. a ten upadł przechodzącej kobiecie z dzieckiem na głowę, tak gwałtownie ją uderzając, iż się powaliła na ziemię i mocno poraniła. Tedy mąż jej zaniósł skargę przed sędziego, a Alibachem musiał teraz jeszcze surowiej odpokutować, niż kiedykolwiek, bo go obwiniono, iż chciał dwoje ludzi na śmierć zabić. Kiedy już zapadł wyrok sądowy, odezwał się Alibachem poważnym i bolesnym głosem w te słowa:

— Sędzio sprawiedliwości! Wszystko oddam i cierpieć będę na co skazany zostałem, proszę tylko o opiekę prawa przeciw moim śmiertelnym wrogom, którzy byli sprawcami mej zgryzoty i mego nieszczęścia aż do tej godziny. Te nieszczęsne pantofle popchnęły mnie w ubóstwo, w hańbę, a nawet w niebezpieczeństwo życia, a kto wie, co one mi jeszcze wyrządzić mogą? Bądź przeto sprawiedliwym, o sędzio, i uczyń postanowienie, żeby wszelkie nieszczęścia, które jeszcze bez wątpienia te narzędzia złych duchów wyrządzą, nie mnie, lecz im przypisane zostały.

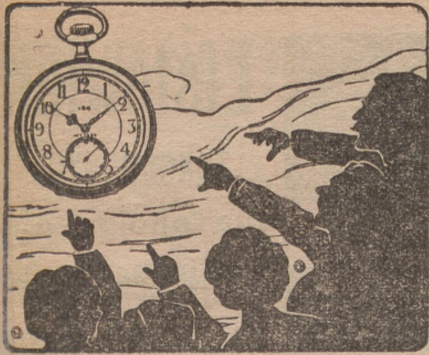
Sędzia, pobudzony słowami temi do śmiechu, lecz zarazem i do litości, nie mógł odmówić jego prośbie. Zatrzymał więc nieszczęśliwych burzycieli publicznego i domowego spokoju u siebie, a staremu sknerze dał naukę, iż prawdziwa oszczędność zależy tylko od właściwego użycia pieniędzy, ale nie od gromadzenia tychże.

I grzech i dobry uczynek.

Kochać się w starej babie, jest to ciężko grzeszyć,
Bo i Boga obrazić i dyabła rozśmieszyć.
Kochać się w starej babce, jestto duszę zbawić,
Bo już w samym uczynku pokutę odprawić.

„Pies szczekał na złodzieja, narobił hałasu“
O tem w bajce Krasicki pisał swego czasu,
Dziś — chociażby to zrobił Burek albo Łatka —
Na nicby się przydało, gdy szczekał bez... świadka!

Nadesłane.



Przezorność.

Pan Gospodarski wrócił z biura sług ogromnie zadowolony.

— Zgodziłem dwie kucharki — powiada on do żony.

— Poco dwie? Jedna nam zupełnie wystarczy.

— To też jedna przyjdzie jutro, a druga za tydzień.

Nieszczęście.

— Oh! tak się źle czuję!

— Co ci jest?

— Zosia powierzyła mi jakiś sekret, a ja nie mogę sobie go przypomnieć!

Wykład poglądowy.

Mania: Papo, co to jest monolog?

Ojciec: Przysłuchaj się mojej rozmowie z mamą... to się nazywa monolog..

Im gorsze, tem lepiej.

Kupiec: Za dobroć tych jajek po koronie nie mogę ręczyć, proszę pani.

Kupująca: To nic; ja ich potrzebuję dla sąsiadów, aby im dać, jak przyjdą pożyczać.

W porządku.

Nowa służąca: Czy pani bardzo szczędzi?

Stara kucharka: Mówi, że trzeba szczędzić i każe nam używać w kuchni margaryny.

Nowa: A sama jej nie używa?

Stara: Sobie każe gotować na maśle, bo mówi, że jej żołądek by nie zniósł margaryny. Ale to nieprawda, bo ja jej przecież gotuję na margarynie, a nam na maśle i jakoś nic jej się nie stało.